Pożegnanie Bogusława Kaczyńskiego z Krynicą

Chata pełna dzieci

NOWY SĄCZ | GORLICE | STARY SĄCZ | LIMANOWA | KRYNICA-ZDRÓJ | GRYBÓW | MSZANA DOLNA | PIWNICZNA-ZDRÓJ | MUSZYNA | BIECZ

Sądeczanin

MIESIĘCZNIK REGIONALNY

MAJ 2012 Nr 5 [52] | Rok V Cena 5 zł (w tym 8% VAT) | NR INDEKSU 259071 www.sadeczanin.info

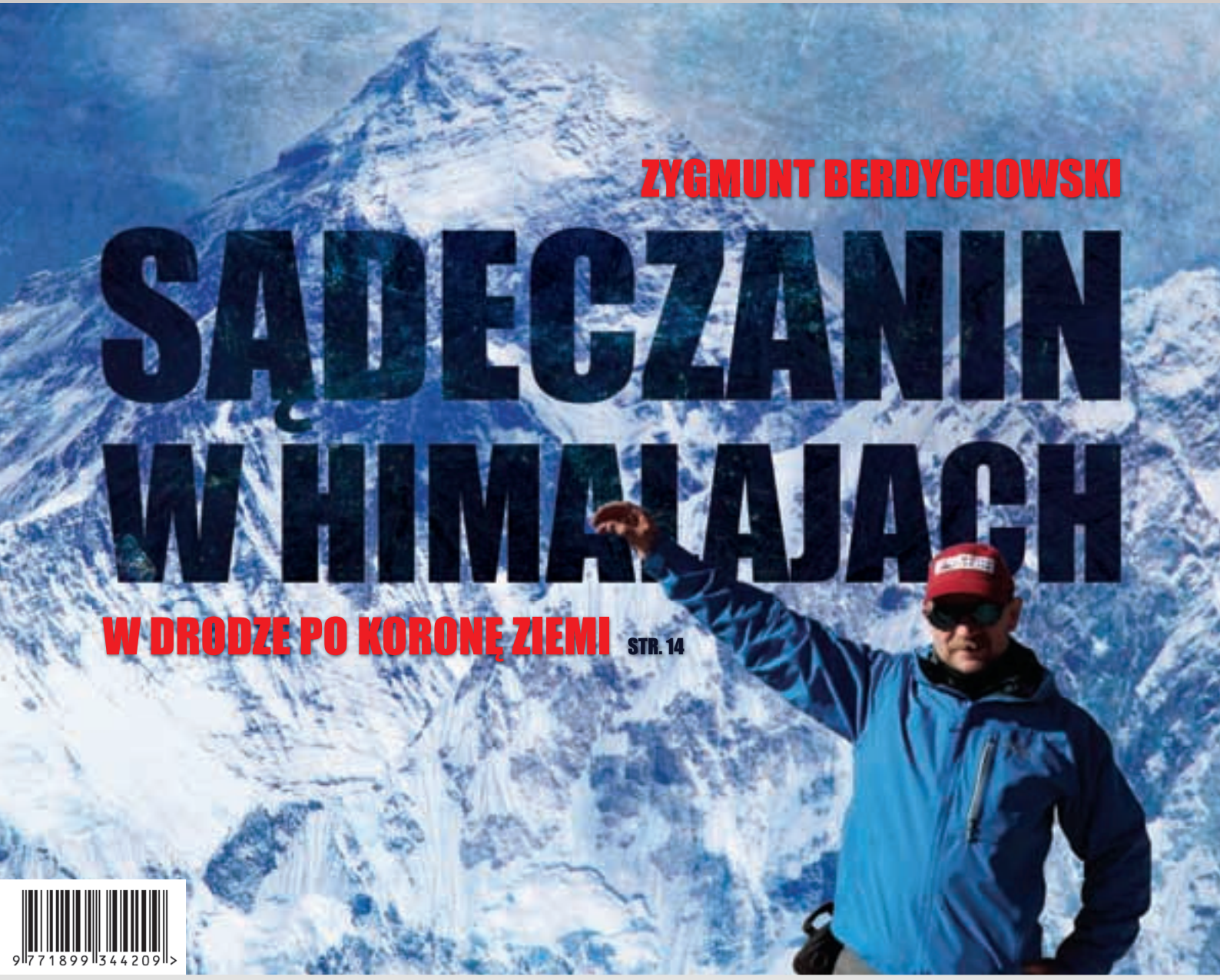

ZYGMUNT BERDYCHOWSKI

SĄDECZANIN W HIMALAJACH

W DRODZE PO KORONĘ ZIEMI STR. 14

Smoleńczycy do apelu!

Pomysły dla Sądecczyzny

Skarby Orzechowskiego

Czołg wójta Janczaka

Religia w szkole

Piekło wybrukowane nadziejami

PIKNIK

NA GÓRZE PARKOWEJ

3 MAJA 2012

INFO: 018 471 35 98

ZACZYNAMY OD 12.00

WSTĘP WOLNY

- prowadzący Krzysztof Bochenek -aktor teatru „Bagatela" w Krakowie
- Zabawa w niezapomnianej scenerii na WOLNYM POWIETRZU
- muzyka dla wszystkich BONEY M. • ABBA SHOW
- w przerwie koncertu pokaz iluzjonisty CZĘŚĆ I
- konkursy z nagrodami dla dzieci i dorosłych

Przy polanie na górze Parkowej odbędzie się
AKCJA KRWIODAWSTWA od 12.00-16.00

GOŚĆ HONOROWY
PAWEŁ KOŁODZIEJ (PREZENTACJA PASÓW MISTRZOWSKICH)

KIBICUJEMY ŻYCIU

email: biuro@kuchniaubabcimaliny.pl
www.kuchniaubabcimaliny.pl

WYJAZD I ZJAZD KOLEJKĄ DO GODZ. 23.00

BYŁ TAM GDZIE LUDZKIE ŻYCIE NIC NIE ZNACZYŁO

Życiorys prof. Andrzeja Łepkowskiego to wzruszająca powieść, sam spisał swe najboleśniejsze wspomnienia. Urodzony w Nowym Sączu swe życie zawodowe związał ze Śląskiem – pisze Bernadeta Waszkielewicz.

CHATA PEŁNA DZIECI!

Przez ich dom przewinęło się dziesięcioro dzieci. Niektóre powróciły do biologicznych rodzin, inne znalazły rodziców adopcyjnych. Został Franek... – pisze Kinga Bednarczyk.

FELIETON

Pamiętam wszystkich swoich katechetów 4

WYDARZENIA

Wydarzenia 5
Opinie 9

Marsz pamięci ofiar tragedii smoleńskiej 11
Czuwaj, Harcmistrzu! 12
Zabrakło Jerzego Gizy 13
Smoleńczycy do apelu 14
Sądeczanin w Himalajach 15

GOSPODARKA

Strażnica na finiszu 18
Wybudują nową siedzibę sądu w Nowym Sączu? 19
Drogi, internet, ochrona przeciwpowodziowa 21
Pomysły dla Sądecczyzny 27
Cycoń zbudował lotnisko medialne, nasze starczy 30

RELIGIA

Katecheza w życiu młodego człowieka 33
Nauczanie religii w szkole gwarantuje ustawa 34
Myśmy tej sprawy nie przegapili! 37

SĄDECZANIE

Był tam, gdzie życie ludzkie nic nie znaczyło 41
Artysta nie jestem, lubię sobie pograć 44
Piękno gór usidla alpinistę 45

WOKÓŁ NAS

Cudze chwalicie... 49
Czołg wójta Janczaka 50
Skarby Orzechowskiego 53
Pojedziemy na koniec świata, żeby Artur stanął na nogi 56
Chata pełna dzieci 57
Miłość po 62. latach 60

KULTURA

Kalejdoskop kulturalny 61
Wywiad z Andrzejem Stasiukiem 65
Bogusław Kaczyński żegna się z Krynicą 67
Marta Eggerth-Kiepura ma 100 lat! 70
Kalendarium Muzeum Okręgowego w Nowym Sączu 71

HISTORIA

Katyń – ciąg dalszy nastąpi 73
Piekło wybrukowane nadziejami 77
Chaim znaczy życie 82
Stanisław Pióro „Emir" – Bohater Wyklęty 83
Kapelan Rodziny Katyńskiej 87

ROZMAITOŚCI

Poczet pszczelarzy sądeckich – Krzysztof Tuleja 90
Najmłodsze schronisko w Beskidzie Sądeckim 92
Hokej w Krynicy przed 81 lat 94
Świat fotografii Alicji Przybyszowskiej 95

Pamiętam wszystkich swoich katechetów

Henryk Szewczyk

Wyprowadzenie religii ze szkoły, a do tego sprowadza się zamysł przerzucenia ciężaru opłacania katechetów na samorządy, obecny w rozporządzeniu minister edukacji narodowej, to uderzenie w samo serce narodu, bo od wychowania dziecka wszystko się zaczyna. Należę do pokolenia, które religii uczyło się w salkach katechetycznych, ale to było za komuny, a dziś jest wolna Polska.

W przedszkolu chodziłem na religię do kaplicy Przemienia Pańskiego na ul. Św. Ducha. W pierwszych klasach podstawówki („Mickiewicz") wdrapywałem się na strych kościoła św. Małgorzaty. Kiedy zostałem uczniem „13", lekcje religii mieliśmy na stryszku kościółka na Starym Cmentarzu, a w ogólniaku (Druga Buda) w salce sióstr felicjanek przy ul. Długosza.

Pamiętam wszystkich swoich katechetów, począwszy od siostry Serafiny (służebniczki starowiejskiej), która dawała nam malowanki do zakolorowania, po ks. dr. Henryka Strugałę, który natarł mi uszy przed maturą, za co mu jestem dozgonnie wdzięczny.

Wywiadówki i świadectwa były wówczas podwójne. Pamiętam, że podział godzin tak był układany w szkole, aby znalazło się „okienko" na religię. Pomimo bowiem oficjalnej linii ateistycznego państwa, dyrekcje szkół „kolaborowały" z proboszczami. Ale ta konspiracja miała miejsce w czasach państwa totalitarnego, które na sztandarach wypisało hasła walki z Kościołem. Powrót religii do szkół, po przewrocie ustrojowym w 1989 roku, był powrotem do normalności.

Cóż takiego dziecko dowiaduje się na religii w szkole, aby go tego przedmiotu pozbawiać? Że nie wolno kłamać, kraść, że trzeba pomagać słabszym, szanować starszych i słuchać rodziców. Na innych lekcjach nie ma miejsca na opowiadanie przez nauczycielu o tym, co jest dobre, a co złe, choć mądry pedagog z łatwością przemyci Dekalog na lekcji języka polskiego, historii, nauki o społeczeństwie a nawet wf-u, bo czymże innym jest zasada fair play w sporcie? W dziejach Polski nie było innej aksjologii niż chrześcijańska, a historii nie da się powtórzyć.

Poza wszystkim, nauka religii to także wypisy ze Starego i Nowego Testamentu, a to jest kultura i dziedzictwo ludzkości. W literaturze, muzyce, malarstwie znajdują się tysiące odniesień do biblijnych opowieści. Skutek jest taki, że najwięksi nawet wrogowie Kościoła używają figur biblijnych nawet o tym nie wiedząc, żeby już nie wspomnieć, że lata naszej ery liczą się od narodzenia Chrystusa.

***

W tym numerze „Sądeczanina" publikujemy analizę prawną pracowników KUL na temat obecności religii w szkole. Drukujemy też zapis ciekawej dyskusji panelowej doświadczonych sądeckich kapłanów (niektórzy z nich już nie żyją), jaka się odbyła przed trzema laty na konferencji zorganizowanej przez Fundację Sądecką z okazji 5. rocznicy śmierci ks. prof. Bolesława Kumora, wybitnego historyka Kościoła, pochodzącego z podsądeckiej Niskowej. Zacni kapłani wspominali wtedy czasy PRL, m.in. salki katechetyczne, w których odbywały się lekcje religii. Nie chcemy powrotu tych czasów, żyjemy przecież w wolnej Polsce!

FOT. ARCH. ZYGMUNTA BERDYCHOWSKIEGO

ISSN 1899-3443a

Sądeczanin

miesięcznik niezależny,
ukazuje się od stycznia 2008 r.
na terenie Sądecczyzny.

Redaguje zespół:
Henryk Szewczyk – red. naczelny
(henrykszew@poczta.onet.pl)
Kinga Bednarczyk, Janusz Bobrek, Jerzy Cebula, Małgorzata Cygnarowicz, Iga Michalec, Ireneusz Pawlik, Bernadeta Waszkielewicz, Edyta Zając.

Reklama i prenumerata:
Grzegorz Piechotka (dyrektor)
tel. (18) 475 16 32
e-mail: g.piechotka@fsns.pl
Kamila Jeleń-Kumor
tel. (18) 475 16 22
e-mail: k.jelen@sadeczanin.info

Reklama i dystrybucja:
Marcin Pawłowski
tel. (18) 475 16 30
e-mail: dystrybucja@sadeczanin.info

Wydawca:
Fundacja Sądecka
ul. Barbackiego 57
33-300 Nowy Sącz
tel. (18) 475 16 20, fax (18) 475 16 50
e-mail: redakcja@sadeczanin.info

Skład: IPRESS STUDIO WWW.IPRESS.PRO
Druk: Flexergis, Nowy Sącz

Zastrzegamy sobie prawo skracania i redagowania nadsyłanych tekstów oraz opatrywania ich własnymi tytułami. Redakcja nie ponosi odpowiedzialności za treść reklam i tekstów sponsorowanych.

FOT. SYLWESTER ADAMCZYK

TŁUMY NA MARSZU W OBRONIE TELEWIZJI TRWAM

Ponad tysiąc osób wzięło udział w niedzielę 22 kwietnia w Nowym Sączu w marszu w obronie katolickich mediów i Telewizji Trwam. Demonstrację zorganizowali posłowie Solidarnej Polski: Arkadiusz Mularczyk i Andrzej Romanek. Marsz poprzedziła msza św. odprawiona w kościele św. Kazimierza w intencji Radia Maryja i Telewizji Trwam. Liturgii przewodniczył ks. proboszcz Jan Siedlarz w asyście m.in. proboszcza parafii św. Małgorzaty, ks. prałata Jana Piotrowskiego. Po mszy uformował się pochód. W drugim szeregu jechał na wózku inwalidzkim ks. Stanisław Olesiak, a za nim kilku innych niepełnosprawnych. – Dla wózkowiczów, ludzi chorych i cierpiących Telewizja Trwam jest wszystkim, nie odbierajcie nam ostatniej pociechy – mówił przez tubę ks. Olesiak. Śpiewano pieśni religijne i skandowano: „Nie oddamy wam Telewizji Trwam". Wiele osób niosło flagi narodowe, były też transparenty Solidarnej Polski i Samoobrony oraz Kół Radia Maryja, również z Krynicy. Wśród maszerujących przeważały starsze osoby, ale byli też ludzie w średnim wieku, młodzież i nawet całe rodziny z małymi dziećmi. Pochód przeszedł ulicami: Kościuszki i Jagiellońską na Rynek. Pod ratuszem przemawiał ks. Olesiak oraz parlamentarzyści SP. Wznoszono hasła: „Dość Palikotów!", „Nie chcemy Tuska!" i „Wolna Polska – wolne media!".

Na koniec złożono kwiaty pod pomnikiem Jana Pawła II i odśpiewano hymn „Boże coś Polskę".

JAK GŁOSOWALI W SEJMIE?

Posłowie Andrzej Czerwiński, Marian Cyconi i Andrzej Gut-Mostowy (wszyscy PO) głosowali za odrzuceniem wniosku „Solidarności" o przeprowadzenie referendum w sprawie wydłużenia wieku emerytalnego dla kobiet i mężczyzn do 67 lat. Wniosek poparli posłowie: Barbara Bartuś, Wiesław Janczyk, Anna Paluch i Piotr Naimski (wszyscy PiS) oraz Arkadiusz Mularczyk, Andrzej Romanek i Edward Siarka (cała trójka SP).

Wniosek o pierwsze czytanie poselskiego projektu uchwały w sprawie zobligowania władz Federacji Rosyjskiej do oddania Polsce dowodów katastrofy z dnia 10 kwietnia 2010 roku, w tym przede wszystkim wraka samolotu TU-154M, poparli sądeccy posłowie PiS i SP, przeciw głosowała trójka posłów PO z okręgu 14.

ZA KRZYŻEM POSZLI TURYŚCI I... WIĘŹNIOWIE

Wśród uczestników wielkopiątkowej Drogi Krzyżowej na Mogielicę, najwyższy szczyt Beskidu Wyspowego (1170 m n. p. m.), zorganizowanej po raz trzynasty przez Polskie Towarzystwo Tatrzańskie, była 50-osobowa grupa z Oddziału PTT w Nowym Sączu. Panowały trudne warunki, w górach leżał świeży śnieg. Pod rozmieszczonymi na drzewach stacjami Drogi Krzyżowej, rozważania tradycyjnie prowadził były prezes Zarządu Głównego PTT, a teolog z wykształcenia – Krzysztof Kabat z Nowego Targu. Ostatnia 14. stacja mieściła się na szczycie Mogielicy.

Ponad 60. więźniów uczestniczyło w Wielki Piątek w nabożeństwie Drogi Krzyżowej, odprawionym na dziedzińcu Zakładu Karnego w Nowym Sączu w Drodze Krzyżowej przez kapelana więziennego ks. Mirosław Depka. Więźniowie czytali rozważania przy stacjach Drogi Krzyżowej, wykonanych przez kilku osadzonych na zajęciach koła rękodzielnictwa. Oni też przygotowali Grób Pański, przy którym Jezusa adorowali wspólnie więźniowie i funkcjonariusze Służby Więziennej. W Wielki Czwartek część osadzonych uczestniczyła w Mszy Świętej Wieczerzy Pańskiej, podczas której kapelan obmył nogi dwunastu mężczyznom.

WYSZLI NA ULICE STARÓWKI SĄDECKIEJ

W Wielką Sobotę w parafii Ducha Świętego w Nowym Sączu, po raz pierwszy procesja rezurekcyjna wyszła poza dziedziniec kościelny i przeszła ulicami starówki: Franciszkańską, Berka Joselewicza, Bóżniczą i Piotra Skargi. Na przedzie procesji niesiono figurę Chrystusa Zmartwychwstałego. Pod baldachimem szedł z monstrancją ks. proboszcz Andrzej Baran SJ, za nim kapłani, ministranci, strażacy ze Świniarska, którzy pełnili wartę przy Grobie Pańskim w Sanktuarium MB Pocieszenia, a następnie kilkuset

wiernych. Wiele osób niosło zapalone świece. Procesję poprzedzał radiowóz policyjny, porządku pilnowała także Straż Miejska.

MARSZAŁEK WYBUDUJE OBWODNICĘ PÓŁNOCNĄ?

Starosta nowosądecki Jan Golonka, prezydent Nowego Sącza Ryszard Nowak oraz dwóch wójtów: Chełmca – Bernard Stawiarski i Łososiny Dolnej – Stanisław Golonka napisali wspólne wystąpienie do marszałka Marka Sowy. Proszą o uwzględnienie w Strategii Rozwoju Województwa Małopolskiego na lata 2011–2020 budowy połączenia drogowego pomiędzy drogą krajową nr 28 w Biczycach a drogą krajową nr 75 (tzw. obwodnica północna Nowego Sącza) i przejęcie przez marszałka wiodącej roli w tej inwestycji.

DOŻYWIAJĄ 800 UCZNIÓW

W zaadaptowanych pomieszczeniach po Kopalni Surowców Skalnych w Klęczanach Gminny Ośrodek Pomocy Społecznej w Chełmcu uruchomił kuchnię, która przygotowuje bezpłatne posiłki dla 800 dzieci. Koszt jednego wynosi 6 zł. Obiady są finansowane przez Urząd Marszałkowski w Krakowie w ramach programu Pomoc Państwa w Zakresie Dożywiania. Dopłaca do nich gmina. Do tej pory korzystano z usług firmy cateringowej. – Zatrudniamy szefa kuchni, jego zastępcę, a także cztery osoby do pomocy. Mamy swojego dietetyka i księgową. Dwóch kierowców rozwozi obiady do szesnastu szkół – mówi Aneta Kuźma, kierownik placówki.

BABY-BOOM W KRYNICY

W krynickim szpitalu panuje prawdziwy baby-boom. Liczba rodzących jest większa o 20-30 proc. w miesiącu w porównaniu do zeszłego roku.

– *W tamtym roku mieliśmy w sumie 760 porodów, jeśli tegoroczna tendencja się utrzyma, to w 2012 roku będziemy mieli grubo powyżej 800* – cieszy się Sławomir Kmak, dyrektor Szpitala im. J. Dietla. Średnio było dotąd po 55 porodów, a teraz jest po 70.

Dyrektor szpitala sądzi, że boom zaczął się co prawda od podawania kobietom przy porodzie tzw. gazu rozweselającego (nieszkodliwy podtlenek przynosi ulgę w bólu), ale tendencję pomaga utrzymać dobra atmosfera. – Gaz przyciągnął pacjentki i spowodował, że wiele osób się przekonało, iż w szpitalu może być miło, sympatycznie, a pielęgniarka nie musi być sfrustrowana – dodaje Sławomir Kmak.

ŚWIĘTOWALI ZŁOTE I DIAMENTOWE GODY

W sali reprezentacyjnej sądeckiego ratusza 10 par małżeńskich odebrało gratulacje, a także medale od prezydenta RP za długoletnie pożycie małżeńskie.

Życzenia jubilatom przekazali prezydent Ryszard Nowak oraz kierownik Urzędu Stanu Cywilnego Małgorzata Antkiewicz-Wójs. Na zakończenie rodziny i przyjaciele odśpiewali Jubilatom „Sto lat".

Jubileusz 60-lecia pożycia małżeńskiego obchodzili: Janina i Stanisław Jakubowscy oraz Aniela i Wincenty Ziemiankowie. Złote Gody świętowali: Władysława i Tadeusz Bąbowie, Barbara i Bogusław Budzyńscy, Lidia i Jan Gajewscy, Maria i Józef Kasinowie, Halina i Stanisław Kuligowie, Apolonia i Franciszek Mentelowie, Irena i Franciszek Wójcikowie oraz Krystyna i Stanisław Wójcikowie.

REKORD MAŁYCH KOLĘDNIKÓW

Prawie 1 mln 380 tys. zł zebrali mali kolędnicy, którzy w okresie między świętami Bożego Narodzenia a Nowym Rokiem odwiedzili domy mieszkańców diecezji tarnowskiej. To o ok. 170 tys. zł. więcej niż przed rokiem i jak dotąd najwyższa suma zebrana podczas wszystkich edycji. Akcja przeprowadzana jest od 19 lat i ciągle się rozwija. W tym roku kolędowało prawie 20 tys. dzie-

DRUGI BASEN W NOWYM SĄCZU

Gotowy już jest basen w Instytucie Kultury Fizycznej Państwowej Wyższej Szkoły Zawodowej przy ul. Kościuszki w Nowym Sączu. Na razie pływają w nim tylko studenci. W lecie będą mogli korzystać z niego także mieszkańcy miasta – deklarują władze uczelni. Jednak otwarcie obiektu dla sądeczan nie jest wcale sprawą łatwą, ponieważ budowa krytej pływalni, jak i całego kompleksu sportowego Państwowej Wyższej Szkoły Zawodowej, jest finansowana ze środków Unii Europejskiej.

– *W ciągu pięciu lat od uruchomienia obiektów mamy do czynienia z tak zwanym okresem trwałości projektu. Nie można w tym czasie prowadzić działalności, która będzie przynosić zysk* – wyjaśnia Zbigniew Zieliński, kanclerz PWSZ w Nowym Sączu. Władze miasta mają nadzieję, że uda się wypracować zasady, które pozwolą na korzystanie z obiektu nie tylko przez studentów.

ci. Odwiedziły one ok. 142 tys. mieszkań w 409 parafiach.

– *Dzięki zaangażowaniu dzieci i ich opiekunów oraz hojności diecezjan będziemy mogli zrealizować na misjach 16 projektów ewangelizacyjnych, edukacyjnych i medycznych* – mówi ks. Krzysztof Czermak, dyrektor Wydziału Misyjnego w tarnowskiej kurii. Dzieci pomagały w tym roku szczególnie najmłodszym, wśród których pracują tarnowscy misjonarze m.in. w Kamerunie, Republice Środkowoafrykańskiej, Brazylii i Peru, a także w Zambii, gdzie pracują siostry służebniczki starowiejskie.

RODZICE PRZEJMUJĄ SZKOŁY

Mieszkańcy Zarzecza, gdzie decyzją Rady Gminy Łącko, z przyczyn ekonomicznych, zlikwidowano Szkołę Podstawową z ogromnymi tradycjami, zawiązali stowarzyszenie oświatowe, które przejmie placówkę w zarząd. Na czele komitetu organizacyjnego stanął sołtys Józef Tokarz. Do podobnego kroku szykują się mieszkańcy Niskowej, gm. Chełmiec, gdzie radni zlikwidowali szkołę, która w zeszłym roku obchodziła jubileusz stulecia istnienia.

PASAŻ KLUSKI

Roman Kluska, b. prezes „Optimusa", a dziś producent serów owczych, otworzył w Krynicy-Zdroju pasaż handlowy. Centrum handlowo – usługowe znajduje się w dawnym biurowcu Uzdrowiska Krynica – Żegiestów SA przy ul. Kraszewskiego, niedaleko wejścia na Deptak i w pobliżu Urzędu Miejskiego. Do czteropiętrowego gmachu dobudowano dodatkową kondygnację. W nowym obiekcie mieszczą się sklepy, apteka, punkty usługowe oraz biura. Powstały stoiska z wyrobami rzemieślniczymi, a także regionalnymi produktami spożywczymi, m.in. serami właściciela obiektu. Jest też parking na 60 samochodów. Pasaż Krynicki ma powierzchnię 8 tys. m kw., z czego 4 tys. przeznaczono pod handel.

DOPŁATY DO ZWROTU

Agencja Restrukturyzacji i Modernizacji Rolnictwa w Nawojowej monituje rolników o zwrot nienależnie pobranych dopłat obszarowych. Sprawa dotyczy 2,5 tys. rolników. – *Całe zamieszanie wzięło się z powodu zmiany map, które wskazują, jakie obszary kwalifikują się do przyznania płatności* – mówi Antoni Kiełbasa, kierownik Agencji w Nawojowej. – *W 2011 r. dostaliśmy polecenie, żeby zweryfikować dopłaty za 2009 i 2010 r. już na podstawie nowych map. I wyszły rozbieżności. Rolnikom zmniejszyły się powierzchnie, na które otrzymywali dopłaty. Problem dotyczy szczególnie tych obszarów, które znajdują się w pobliżu lasu. Drzewa zarosły część pola i obszar do dopłat zmniejszył się.*

Rolnicy muszą zwrócić kwoty od 2 zł 64 groszy do nawet 5 tys. zł. W najgorszej sytuacji są osoby, które po zmianie map wykazują się obszarem mniejszym niż hektar. – Wtedy muszą oddać całość dopłaty. Mamy przypadki rolników, którym brakuje niespełna 10 arów – dodaje kierownik.

MNIEJ SĄDÓW REJONOWYCH

Wg rozporządzenia Ministerstwa Sprawiedliwości, znoszącego 120 sądów rejonowych w całym kraju, Sąd Rejonowy w Limanowej, podobnie jak i Sądy Rejonowe w Gorlicach i Muszynie, mają się stać wydziałami zamiejscowymi Sądu Rejonowego w Nowym Sączu. Natomiast Sąd Rejonowy w Zakopanem – wydziałem zamiejscowym Sądu Rejonowego w Nowym Targu. Według tej propozycji, w okręgu Sądu Okręgowego w Nowym Sączu pozostałyby dwa Sądy Rejonowe: w Nowym Sączu i Nowym Targu. Przy takiej planowanej reorganizacji mogą stracić rację bytu niektóre agendy administracyjne znoszonych sądów rejonowych. Właściwość sadów rejonowych pozostałaby bez zmian. Nie zmieniłaby się także obsada sędziowska, ubyłoby prezesów sądów.

KASA NA TRUDNĄ CHWILĘ

– *W ubiegłym roku nasza kasa udzieliła 280 pożyczek na łączną kwotę prawie 800 tysięcy złotych* – mówił z dumą Dominik Wójcik na zjeździe Kasy Wzajemnej Pomocy w Chełmcu. Gminne koło Stowarzyszenia Kasa Wzajemnej Pomocy jest największe, liczy 471 członków. Chełmiecka Kasa dysponuje kapitałem w wysokości 493 tys. zł, uzbieranym z wpisowego i składek członkowskich. Pieniądze są w ciągłym ruchu, aktualnie kasa udziela nieprocentowanych pożyczek do 3,5 tysiąca zł.

Założycielem Stowarzyszenia i jego prezesem jest Zygmunt Berdychowski. Pierwsze Kasy powstały w połowie lat 90. w Łużnej i Gródku nad Dunajcem na bazie kas zapomogowo-pożyczkowych, działających przy NSZZ „Solidarność" RI. Obecnie w całym regionie działa 41 kas, a ich łączny kapitał wynosi ok. 4 mln zł.

Uczestnicy zjazduowacyjnie powitali po dłuższej nieobecności, spowodowanej chorobą, Michała Wójciaka, wieloletniego skarbnika chełmieckiej Kasy, którego obecnie zastępuje syn Dominik. Pan Michał podpisywał zeszyt poetycki, w którym znalazły się również jego utwory, gdyż w wolnych układa wiersze.

ELEKTROWNIA WODNA W ŚWINIARSKU

W Świniarsku, gm. Chełmiec, ruszyła pierwsza w regionie mała elektrownia wodna na Dunajcu. Elektrownia wykorzystuje istniejący w tym miejscu próg wodny, gdzie swoje ujęcie posiadają Sądeckie Wodociągi. Woda skierowana jest kanałem wlotowym do sztolni z turbiną o mocy 500 kilowatów, a później wraca do Dunajca kanałem wylotowym. Wyprodukowany prąd pozwala na zasilenie 50 typowych gospodarstw domowych. Inwestor zamierza sprzedawać prąd firmie Tauron.

Elektrownię uruchomiła firma „Eko-Energia Małopolska", zarejestrowana w Bilsku. Roboty budowlane trwały od jesieni 2010 r. Wykonała je Chemobudowa Kraków.

LIKWIDOWANY PKS LIKWIDUJE KURSY

Od 1 kwietnia sądecki PKS nie obsługuje mieszkańców Tropia, Ptaszkowej i Muszyny. Mieszkańcy i samorządowcy są oburzeni, bo nikt ich o planach likwidacji kursów nie poinformował. PKS jest w trakcie procesu likwidacyjnego, pracownicy otrzymują wypowiedzenia, a majątek firmy idzie pod młotek. Załoga przedstawiła propozycję zawiązania spółki pracowniczej, co pozwoli utrzymać miejsca pracy i zagwarantować przewozy dla mieszkańców Sądecczyzny. O tym, kto przejmie funkcję przewoźnika, rozstrzygnie przetarg. Przejęciem schedy po PKS zainteresowane są również firmy: Litwiński z Tęgoborzy, Zet Transport z Nowego Sącza oraz hiszpańskie konsorcjum.

PATROLE NA DWÓCH KÓŁKACH

Na ulicach Nowego Sącza pojawiły się rowerowe patrole Straży Miejskiej. Można je spotkać w centrum miasta i na osiedlach, choć dużo zależy od pogody. – *Patrole rowerowe sprawdzają się w coraz bardziej zatłoczonym mieście* – uważa Mariusz Prechitko ze Straży Miejskiej. – *O wiele szybciej docierają na miejsce zdarzenia, mogą jeździć po osiedlach i wąskich ulicach.*

Na razie w posiadaniu SM są cztery rowery, a wkrótce do jednostki trafią kolejne cztery jednoślady.

POLICJA CORAZ SKUTECZNIEJSZA

– *Od 2004 roku o 30 procent spadła liczba ujawnionych przestępstw w siedmiu najważniejszych kategoriach, a równocześnie o 50 procent wzrosła ich wykrywalność* – mówił mł. insp. Henryk Koział, szef Komendy Miejskiej Policji w Nowym Sączu, składając sprawozdanie za 2011 rok na sesji Rady Powiatu Nowosądeckiego. Chodzi m.in. kradzieże, rozboje i wymuszenia, bójki i pobicia, uszkodzenia mienia, kradzieże samochodów, przestępstwa narkotykowe i drogowe. Jeśli chodzi o samochody, to w 2011 roku w Nowym Sączu i powiecie nowosądeckim skradziono 115 aut, a odzyskano 109 – wykrywalność wynosiła aż 95 proc., rok wcześniej – 87 proc.

Jedno co nie maleje, to liczba wypadków drogowych ze skutkiem śmiertelnym. W 2009 i 2010 roku na drogach Sądecczyzny śmierć poniosło po 25 osób, w ub. r. – 27. Sprawcami wszystkich byli kierowcy w wieku 17-25 lat.

ODESZLI:

5 kwietnia w swoim domu w Brzeznej po długiej i ciężkiej chorobie zmarł Ryszard Marcinek, były naczelnik i wójt gminy Podegrodzie. Miał 66 lat. Pochodził z Żołyni k. Łańcuta. Ukończył Technikum Ogrodnicze w Bielsku-Białej. Pracę w Urzędzie Gminy w Podegrodziu rozpoczął w 1968 roku. Najpierw był agronomem gromadzkim, potem kierownikiem gminnej służby rolnej, a w 1981 roku został naczelnikiem gminy. Po przełomie ustrojowym objął funkcję zastępcy wójta, na następnie przez 12 lat był wójtem gminy Podegrodzie (1994-2006).

***

19 marca, w wieku 89 lat zmarł ks. Paweł Tyrawski, w kapłaństwie przeżył 62 lata. Pochodził z Gródka Jagiellońskiego (obecnie Ukraina). Dzieciństwo i młodość spędził w Nowym Sączu. Przez kilkanaście lat katechizował w Nowym Sączu, był proboszczem i dziekanem w Łącku (1972-1984), a potem proboszczem w Świniarsku (1985-1999). Po przejściu na emeryturę zamieszkał jako rezydent przy parafii św. Elżbiety w Starym Sączu, gdzie m.in. redagował pismo parafialne „Z grodu św. Kingi". Był ojcem duchownym dekanatu Stary Sącz. Przyjaciel „Solidarności" rolniczej w najtrudniejszym dla związku okresie.

***

29 marca, w wieku 72 lat, zmarł Stanisław Skrzypiec, wieloletni sołtys Paszyna i radny gminy Chełmiec. Funkcję sołtysa pełnił przez 28 lat, przejął urząd po swoim wujku. Radnym gminnym był od 1988 roku z przerwą w kadencji 2002-2006. Zawodowo, do przejścia na emeryturę, pracował w sądeckiej mleczarni. Był wzorem społecznika wiejskiego.

***

20 kwietnia, w wieku 64 lat, zmarł w Starym Sączu Stanisław Skoczeń, instruktor harcerstwa, zasłużony wychowawca dzieci i młodzieży w duchu ideałów skautingu, związany z Hufcem ZHP w Starym i Nowym Sączu i Kręgiem Seniorów „Szumiący Bór". Pozostał wierny przyrzeczeniu harcerskiemu do końca swoich dni.

OPR. (HSZ)

ZDOBYŁY NOWY ZAWÓD NA EMERYTURZE

FOT. BW

Trzy sądeckie emerytki zdobyły nowy zawód: opiekuna medycznego. Nowe kompetencje będą im pomocne w rodzinie, pracy, jaką wykonują jako wolontariuszki, ale też – jeśli będzie taka potrzeba – dzięki temu mogą podjąć pracę jako opiekunki osób chorych. Komentuje Wiesława Borczyk, prezes Sądeckiego Uniwersytetu Trzeciego Wieku.

– To bardzo pozytywny i optymistyczny przykład edukacji przez całe życie. Absolwentki: Elżbieta Wójs-Karpiel, Leokadia Sławecka i Jadwiga Klimek są bowiem słuchaczkami Sądeckiego Uniwersytetu Trzeciego Wieku, który podpisał porozumienie z policealną szkołą prowadzoną przez Towarzystwo Edukacji Bankowej. Panie z wyróżnieniem ukończyły kierunek „Opiekun medyczny" i zdały egzamin państwowy. Zajęcia teoretyczne odbywały się przez dwa semestry, dwa razy w tygodniu po cztery godziny. Panie odbyły też 30-dniową praktykę, która polegała na opiece nad pensjonariuszami Domu Spokojnej Starości „Dar Boży" w Dąbrowie, opiece pielęgniarki środowiskowej nad chorymi w domu przy Ośrodku Zdrowia w Wielogłowach, pracy w szpitalu rehabilitacyjnym „Tukan" w Nawojowej oraz prowadzeniu warsztatów terapii zajęciowej w stowarzyszeniu „Mada" w Zabełczu, prowadzonym przez Fundację Pomocy Osobom z Autyzmem. **(BW)**

O KACZMARSKIM W BIBLIOTECE

FOT. JB

Piotr Wiroński, doktor nauk humanistycznych z zakresu językoznawstwa na UJ w Krakowie, spotkał się z czytelnikami w piwnicach Sądeckiej Biblioteki Publicznej. Autor publikacji „Wbrew, pomimo i dlaczego" opowiadał o swojej fascynacji Jackiem Kaczmarskim, niezapomnianym pieśniarzem Solidarności.

– Swoje pierwsze spotkanie z Jackiem Kaczmarskim przeżyłem jeszcze jako czternastolatek w 1992 roku, kiedy udało mi się przeprowadzić z bardem wywiad do szkolonej gazetki. Miałem wtedy wrażenie, że z tym człowiekiem bym się nie zaprzyjaźnił. Bliższe spotkanie z idolem pogłębiło moje zainteresowanie twórczością autora „Pochwały łotrostwa", co zaowocowało wydaną w „Księgarni Akademickiej" książką. Jest to analiza 115 piosenek Jacka Kaczmarskiego z ponad 600, jakie napisał, a które pogrupowałem tematycznie w motywy. Chciałem napisać książkę dla uniwersalnego odbiorcy, po którą sięgnie zarówno pasjonat Kaczmarskiego, jak i ktoś, kto chciałby jego twórczość dopiero poznać. Jestem pomysłodawcą i współorganizatorem konkursu wiedzy o życiu i twórczości Jacka Kaczmarskiego, a także liderem zespołu, który wykonuje jego piosenki.

(JB)

NIE SZUKAJCIE GAZU ŁUPKOWEGO W DOLINIE POPRADU!

FOT. ARCH.

W Polsce trwa gorączka poszukiwań gazu łupkowego, jednak nie wszyscy są nią zachwyceni. Niechętnie patrzą na takie inwestycje włodarze sądeckich uzdrowisk. Wspiera ich hydrolog Andrzej Szczepański z Katedry Hydrogeologii i Geologii Inżynierskiej Akademii Górniczo-Hutniczej w Krakowie.

– Przeraziłem się, że ktoś w ogóle wpadł na pomysł, by szukać gazu łupkowego w malowniczej dolinie Popradu, tuż przy granicy ze Słowacją. Jako członek Komisji Dokumentacji Hydrogeologicznych wystąpiłem przeciwko amerykańskim firmom, które chcą to robić akurat tutaj. To piękna okolica, bogata w lasy, z urokliwymi polanami. Nie chciałbym, by została zdewastowana. Gdziekolwiek zostanie podjęta eksploatacja gazu łupkowego, wjedzie ciężki sprzęt, powstaną wiertnie, instalacje rurociągowe. To już nie będzie ten sam krajobraz. Do doliny Popradu należą tereny gmin Muszyna, Piwniczna czy Krynica, bogate w znakomite i unikalne w skali Polski wody mineralne. To bogactwo tej ziemi. Poszukiwanie gazu łupkowego naraża te tereny na poważne ryzyko. Wniosek o koncesję w dolinie Popradu pokazuje, że niewiele brakuje, byśmy dopuścili do nieodwracalnych strat w zasobach naszych najlepszych wód. Przypominam, że Polska jest stosunkowo uboga w wodę, w przeliczeniu na jednego mieszkańca jesteśmy na przedostatnim miejscu w Europie pod względem zasobów wody pitnej. Od lat obserwujemy spadek średniej intensywności opadów. W ubiegłym roku susza trwała od sierpnia aż do grudnia. Tak długiego okresu bez opadów, zwłaszcza na południu kraju, nie notowano, odkąd prowadzi się pomiary. Ilość wody płynącej rzekami maleje. Trzeba o nie dbać. **(BW)**

FOT. SYLWESTER ADAMCZYK

FOT. SYLWESTER ADAMCZYK

Marsz pamięci ofiar tragedii smoleńskiej

Od Mszy św. w kościele NSPJ w intencji ofiar katastrofy lotniczej pod Smoleńskiem rozpoczęły się 10 kwietnia wieczorem w Nowym Sączu główne obchody drugiej rocznicy tragedii narodowej, zorganizowane przez miejscowy Klub Gazety Polskiej. Po mszy nastąpił przemarsz ulicami miasta na Rynek. Takiej manifestacji Sącz dawno nie widział.

Naród musi czcić swoich bohaterów, aby zachować pamięć i tożsamość – mówił na kazaniu o. Paweł Adamarek SJ, duszpasterz akademicki, który celebrował Eucharystię. Oprawę muzyczną liturgii stworzył duet organistowski: Stanisław Wolak z synem Tomaszem. Po mszy zabrała głos Antonina Węglarz, przewodnicząca Klubu Gazety Polskiej 2 w Nowym Sączu, a następnie Jakub Cięciel ze Świdnika, uczeń I LO im. Jana Długosza w Nowym Sączu, wygłosił wiersz.

Wcześniej przez media byłeś zadręczany/Teraz przez Polskę jesteś uwielbiany/Wielbią Cię także Mieszkańcy Sądecczyzny/ Boś zginął męczeństwem/ Na ołtarzu Ojczyzny – deklamował licealista.

Po mszy uformował się pochód, który przeszedł ulicami miasta (al. Batorego, al. Wolności, Mickiewicza, Długosza, Kościuszki, Jagiellońska) na Rynek. W pochodzie szło około 300 osób. Maszerowali w milczeniu, nie wznoszono żadnych haseł, ani nie śpiewano pieśni, panowała atmosfera żałoby i powagi. Na przodzie pochodu niesiono transparent „Smoleńsk – pamiętamy!". W drugim rzędzie szedł Andrzej Gwiazda z małżonką Joanną, legendy pierwszej „Solidarności" z Gdańska, parę metrów dalej wiceprezydent Bożena Jawor, a poza tym kwiat patriotyczny Nowego Sącza: m.in. Leszek Zakrzewski, prezes sądeckiego oddziału PTH, Jarosław Rola, prezes Sądeckiej Rodziny Katyńskiej. Maszerowali weterani „Solidarności" i animatorzy Duszpasterstwa Ludzi Pracy przy parafii kolejowej, na czele z Piotrem Masłowskim. Byli radni miejscy PiS: Artur Czernecki, Patryk Wicher i Krzysztof Żyłka. Powiewało wiele flag narodowych. Policja wzorowo konwojowała manifestantów, na przodzie pochodu i z tyłu jechał radiowóz. Wielu przechodniów dołączyło do maszerujących. Najmłodszą uczestniczką pochodu była 3-letnia Kasia Kalina, córka znanego grafika i fotografika, również z łam naszego miesięcznika (Pan Paweł pstrykał zdjęcia). Aż po około 30 minutach, demonstranci dotarli na Deptak na Jagiellońskiej, a za chwilę na Rynek sądecki.

W holu Ratusza Antonina Węglarz złożyła w imieniu zebranych, wieniec pod tablicą upamiętniającą obu prezydentów, Honorowych Obywateli Nowego Sącza.

– *„Non omnis moriar (Nie wszystek umrę). Ich śmierć nie poszła na marne, z tej tragedii wykluwa się dobro, prawdziwa wspólnota narodowa* – mówiła szefowa Klubu Gazety Polskiej. Podziękowała zebranym za obecność i świadectwo pamięci o ofiarach tragedii smoleńskiej. W tym momencie Andrzej Piszczek, prezes znanego Stowarzyszenia Parafiak z Marcinkowic, zaintonował Mazurka Dąbrowskiego, co obecni podchwycili. Następnie wiceprezydent Bożena Jawor zaprosiła wszystkich do sali obrad, celem obejrzenia kamiennych popiersi zmarłych prezydentów, odsłoniętych przez Karolinę Kaczorowską, wdowę po ostatnim prezydencie RP na Uchodźctwie trzy godziny wcześniej, podczas uroczystej akademii smoleńskiej. Na tym zgromadzenie zakończono.

***

– *Musimy pomyśleć o postawieniu w Nowym Sączu, ze składek mieszkańców, bez angażowania budżetu miasta, pomnika smoleńskiego. Jesteśmy to winni swoim Honorowym Obywatelom, prezydentom: Lechowi Kaczyńskiemu i Ryszardowi Kaczorowskiemu. Proponuje lokalizację monumentu na Placu 3 Maja* – powiedział reporterowi naszego pisma znany zegarmistrz sądecki Henryk Dobrzański. I od razu zadeklarował pierwszą wpłatę na konto komitetu budowy pomnika. Pan Henryk w witrynie swojego salonu zegarmistrzowskiego przy Jagiellońskiej postawił 10 kwietnia portret Pary Prezydenckiej, przy którym do wieczora paliły się znicze...

(**HSZ**)

FOT. SYLWESTER ADAMCZYK

Wspomnienia wdowy w drugą rocznicę tragedii smoleńskiej

Czuwaj, Harcmistrzu!

Karolina Kaczorowska, wdowa po ostatnim prezydencie RP na Uchodźstwie, była gościem honorowym obchodów drugiej rocznicy katastrofy w Nowym Sączu.

W katastrofie samolotu rządowego pod Smoleńskiem Nowy Sącz stracił dwóch honorowych obywateli: Lecha Kaczyńskiego i Ryszarda Kaczorowskego. W drugą rocznicę tragedii włodarze miasta ufundowali alabastrowe popiersia zmarłych prezydentów w sali obrad (dzieło rzeźbiarza Adama Janczego), a Karolina Kaczorowska, wdowa po ostatnim prezydencie RP na Uchodźstwie, dokonała ich odsłonięcia. Uroczystość w ratuszu zgromadziła tłumy gości: samorządowców, parlamentarzystów, przedstawicieli lokalnych instytucji i młodzież. Rozpoczęto filmowym wspomnieniem o honorowych obywatelach miasta.

– *Każdy z nas ma w swoim życiu takie dni, które szczególnie wyryły się w jego pamięci. Dla mnie taką datą był z pewnością 10 kwietnia 2010 roku, kiedy zginął mój mąż, ale szczególną będzie również dzisiejszy dzień 10 kwietnia 2012 r., kiedy ja, prosta dziewczyna mogę uczestniczyć w tak podniosłej i pięknej uroczystości* – mówiła Karolina Kaczorowska nie kryjąc wzruszenia.

Spoczął w Świątyni Opatrzności Bożej w Warszawie.

– *Takie było jego życzenie, by być pochowanym w polskiej ziemi. Choć jest daleko, wiem, że nie zapominają o nim harcerze. Szczególnie wzruszający dla mnie dzień, to gdy jeden z nich nad grobem męża powiedział „Czuwaj*

Wdowa złożyła kwiaty pod tablicą upamiętniającą katastrofę smoleńską. – *To bardzo przykre, że ta tragedia dzieli Polaków. Wierzę, że przyjdzie czas kiedy nas połączy* – dodała w rozmowie z dziennikarzami.

– *Miałem przygotowane specjalne przemówienie na tę okazję, ale powiem tylko jedno: będziemy pamiętać!* – mówił Ryszard Nowak, prezydent Nowego Sącza.

Ryszard Kaczorowski, żołnierz armii Andersa, po wojnie pozostał w Wielkiej Brytanii. W 1986 r. w rządzie emigracyjnym został ministrem do spraw krajowych, a trzy lata później objął urząd Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej na Uchodźstwie. W 1990 r., po wyborach powszechnych, przekazał insygnia prezydenckie Lechowi Wałęsie. Jeszcze przed wybuchem wojny należał do harcerstwa i silne związki z ZHP zachował przez całe życie. Rok przed tragiczną śmiercią został Harcmistrzem Rzeczypospolitej.

Harcmistrzu" – wspominała Karolina Kaczorowska.

Wdowa złożyła kwiaty pod tablicą upamiętniającą katastrofę smoleńską. – *To bardzo przykre, że ta tragedia dzieli Polaków. Wierzę, że przyjdzie czas kiedy nas połączy* – dodała w rozmowie z dziennikarzami.

EDYTA ZAJĄC

ZABRAKŁO JERZEGO GIZY

Na uroczystości odsłonięcia popiersia śp. prezydenta RP Ryszarda Kaczorowskiego w sądeckim Ratuszu zabrakło Jerzego Gizy. Nie przyjechał z Krakowa (gdzie mieszka i pracuje) w tym szczególnym dniu obchodów drugiej rocznicy tragedii smoleńskiej do rodzinnego miasta, bo – jak ustaliliśmy- nie dostał zaproszenia. Trudno to inaczej nazwać niż grubym nietaktem gospodarzy magistratu. Można się tylko domyślać, że nie lubią wnuka gen. Józefa Gizy za jego publiczne enuncjacje w sprawie haniebnego pomnika Armii Czerwonej przy Al. Wolności i nie przepuściły okazji do odegrania się na nim. Jakie to niskie...

To autor „Sądeckiej Listy Katyńskiej" i innych publikacji historycznych o Sądecczyźnie był inicjatorem uchwały Rady Miasta Nowego Sącza w sprawie Honorowego Obywatelstwa dla Ryszarda Kaczorowskiego. A wcześniej musiał przebić mur obojętności, a nawet niechęci niektórych osób i środowisk, bo wbrew temu, co można dzisiaj sądzić, sprawa wcale nie była oczywista, o czym się można przekonać przeglądając prasę lokalną z tego okresu.

To Jerzy Giza wygłosił w 27 marca 2008 roku laudację na cześć Ryszarda Kaczorowskiego w ratuszu, gdy Pan Prezydent odebrał wyróżnienie. To Jerzy Giza cieszył się przyjaźnią Pana Prezydenta, współpracując z Nim jeszcze jako ministrem ds. Kraju w Rządzie RP na Uchodźstwie.

Nie jest tajone, że Jerzy Giza był człowiekiem wielkiego zaufania Ryszarda Kaczorowskiego. To jemu Prezydent powierzył reprezentowania Go w Balatonboglar w 2004 roku podczas polsko-węgierskich uroczystości ku czci hr. Pala Telekiego, czy gdy przyszło zorganizować wizytę w Budapeszcie w 2006 roku i przekazanie Braciom Węgrom dokumentacji polskiej emigracji dotyczącej Powstania Węgierskiego w1956 roku.

Pani Karolina Kaczorowska miała prawo oczekiwać, iż towarzyszyć jej będzie w swoim rodzinnym mieście Jerzy Giza, zwłaszcza z takiej okazji. Dla Jej pokolenia z pewnością niezrozumiała mogła być taka nieobecność Jerzego Gizy, którego Pan Prezydent traktował jak swego wnuka, jak swego przyjaciela...

Stawianie Jerzego Gizę poza nawias – w jego rodzinnym mieście, któremu tyle wysiłków poświęcił – bycia w kręgu przyjaciół Pana Prezydenta Ryszarda Kaczorowskiego, nie tylko za Jego pięknego życia, ale i po Jego tragicznej śmierci, wywołuje oburzenie i protest.

Panie Prezydencie Ryszardzie Nowak, tak się nie traktuje najlepszych synów Nowego Sącza! **HENRYK SZEWCZYK**

Smoleńczycy do apelu

Około setka osób wzięła udział w Apelu Poległych w drugą rocznicę katastrofy rządowego samolotu w Smoleńsku. Sądeczanie spotkali się o godz. 8.41 przy obelisku, poświęconym ofiarom tragedii obok kaplicy św. Antoniego w Nowym Sączu – Falkowej.

Uroczystość zorganizowali radni miejscy Prawa i Sprawiedliwości: Artur Czernecki i Patryk Wicher. Do zebranych krótko przemówił Czernecki, mówiąc m. in., że żadne inne państwo na świecie nie straciło w jednej chwili swojej elity, a żadne inne miasto polskie nie straciło w jednej chwili aż dwóch swoich Honorowych Obywateli: śp. prezydenta RP Lecha Kaczyńskiego i śp. prezydenta RP na Uchodźctwie Ryszarda Kaczorowskiego.

Apel Poległych, w którym wymieniono nazwiska wszystkich 96. ofiar katastrofy smoleńskiej, poprowadził porucznik Sławomir Kmak z Karpackiego Oddziału Straży Granicznej. Był werblista i trębacz, który odegrał „Ciszę" oraz pieśń „Śpij kolego w ciemnym grobie", a dwóch funkcjonariuszy SG trzymało wartę przy głazie smoleńskim. Następnie złożono przy nim kwiaty i zapalono znicze, m.in. od posła Andrzeja Romanka, a w imieniu Rodziny Katyńskiej uczynił to Jarosław Rola.

W lasku na Falkowej dobrze było słychać syreny w centrum Nowego Sącza, które z woli prezydenta miasta odezwały się w godzinie tragedii smoleńskiej.

Wśród obecnych dostrzegliśmy m.in. posła Andrzej Czerwińskiego (PO), Antoninę Węglarz, przewodniczącą sądeckiego Klubu Gazety Polskiej i Jana Świtonia, działacza „Solidarności" Rolników Indywidualnych z Łukowicy.

(HSZ)

Dotychczas 52-letni założyciel Fundacji Sądeckiej i wydawca naszego miesięcznika zdobył 6 najwyższych gór poszczególnych kontynentów: Mont Blanc i Elbrus (Europa), Kilimandżaro (Afryka), Aconcagua (Ameryka Południowa), Mount Vinson (Antarktyda) i Piramida Carstensza (Australia i Oceania). Do pełni szczęścia pozostaje mu jeszcze postawienie stopy i zatknięcie polskiej flagi na Mount Everest oraz na najwyższej górze Ameryki Północnej, McKinley, znajdującej się na Alasce. Tym razem w swojej drodze na Dach Świata Zygmunt Berdychowski uczestniczy w ekspedycji Klubu 7 Szczytów.

***

W Wielką Sobotę Zygmunt Berdychowski pakował się w swoim domu w Niskowej, a nawet na próbę przebrał się w „strój wyjściowy" na Mount Everest. Zabrał na wyprawę dwa plecaki: jeden ogromny, 24-kilogramowy i drugi, mniejszy. W plecakach lądowała odzież, w tym puchowe spodnie i kurtka, karimata, śpiwór, bielizna z gorteksu, skondensowane mleko, lekarstwa, maść przeciwsłoneczna, witaminy i różne mikstury spożywcze, które nie zajmują dużo miejsca. Zapakował też czekan, buty z rakami, liny i uprząż do wspinaczki i nie zapomniał o książkach. Wziął w Himalaje trzy pozycje: o Berii, o Putinie (Rosja go zawsze fascynowała) oraz... „Ewangelię według Jezusa Chrystusa" Jose Saramando. Na koniec zaś wsadził do plecaka flagi: polską i Małopolski.

– Więcej nie ma sensu, bo z poprzednich wypraw wiem, że jest bardzo mało czasu na wyciąganie flag i pstrykanie zdjęć, gdyż to grozi odmrożeniem rąk – tłumaczył.

Udział w 4-godzinnej Wigilii Paschalnej w Wielką Sobotę, zakończonej procesją rezurekcyjną wokół kościoła parafialnego w Niskowej, to było jego pożegnanie z Sądecczyzną, bo na drugi dzień po wielkanocnym obiedzie pojechał do Warszawy.

– Idziemy na Mount Everest w dziewięcioosobowej grupie: ja, pięciu Rosjan, dwóch Amerykanów i jeden Irlandczyk. Będą nam towarzyszyć Szerpowie, jako przewodnicy i tragarze. Nie

Sądeczanin w Himalajach

W poniedziałek wielkanocny (9 kwietnia) Zygmunt Berdychowski wyruszył na przedostatni szczyt w swojej drodze po Koronę Ziemi. Jeżeli mu się powiedzie, będzie 34. Polakiem i pierwszym Sądeczaninem, który zdobył Mount Everest, najwyższą górę naszej planety Gdy ten numer „Sądeczanina" przygotowywaliśmy do druku, nasz bohater znajdował się w stolicy Tybetu – Lhasie.

jestem bynajmniej najstarszym uczestnikiem wyprawy – wyjaśniał.

Towarzystwo Rosjan jest o tyle dobre, że pan Zygmunt biegle mówi po rosyjsku i nie będzie kłopotów ze skomunikowaniem się z kompanami, gdy w sercu Himalajów przyjdzie mu ochota na pogaduchy. Przed wyprawą życia nie czytał żadnych opisów ludzi, którzy przed nim postawili nogę na Mount Everescie, a jest na ten temat już bogata literatura, również w języku polskim.

– Po co sobie nerwy szarpać, za każdym razem jest inaczej. Wiem, że łatwo nie będzie i psychicznie jestem przygotowany na najgorsze warunki – mówił.

Tak scharakteryzował stopień trudności wyprawy: „Mimo, że trasa na Everest nie stwarza ogromnych trudności technicznych, to jednak kryje w sobie wiele niebezpieczeństw związanych głównie z ogromnym wysiłkiem fizycznym i psychicznym oraz ze stale groźną i często nieprzewidywalną pogodą, w tym szczególnie niebezpiecznym porywistym wiatrem. Wejście na Dach Świata jest trudne, a dzień ataku szczytowego długi i męczący, lecz urok wspinaczki na Everest od strony Tybetu jest trudny do opisania".

Czy pan Zygmunt nie odczuwał lęku?

– Mam ogromny respekt przed Mont Everestem – przyznał – *ale nie mogę nie podjąć się tego wyzwania. Ta góra zahipnotyzowała już wielu wspinaczy…*

A co na to wszystko małżonka naszego śmiałka, czy nie protestowała przeciwko wyprawie na Mount Everest?

– Protestować to ja mogłam, gdy wyruszał na swoja pierwszą wyprawę, na Mont Blanc, a teraz, gdy zdobył już sześć szczytów Korony Ziemi i idzie na najwyższy, to możemy z naszą trójką dzieci: Jasiem, Małgosią i Honoratką tylko kciuki trzymać za Tatę i gorąco się modlić, aby wrócił do domu cały i zdrowy – mówi Mariola Berdychowska.

***

Z Warszawy Sądeczanin poleciał do Frankfurtu n. Menem, skąd przesiadł się na samolot do Kataru, a stamtąd poleciał do Katmandu, stolicy Nepalu, gdzie spotkał się z pozostałymi uczestnikami wyprawy.

Pierwsze wrażenia były optymistyczne. *– Przylecieliśmy do stolicy Nepalu – Katmandu* – relacjonował telefonicznie Zygmunt Berdychowski. *– Piękne i egzotyczne dla Europejczyka miejsce. Po przylocie okazało się, że musimy uzupełnić swój ekwipunek. Więc mimo, że w domu dwa razy się pakowałem, to konieczne było ponowne przepakowanie i dodanie nowych elementów wyposażenia. Dziś nasza główna część ekwipunku zostanie zabrana ciężarówkami do miejsca wymarszu. Jednak sporą część musimy mieć przy sobie. W trakcie lotu najbardziej dokuczliwa była klimatyzacja, która umęczyła mnie*

potwornie – stąd chyba czuję lekkie przeziębienie. Na miejscu uderza ogromna liczba amatorów wysokogórskich wspinaczek, ale większość z nich przyjechała na tzw. trekking, czyli przejście do bazy głównej i wędrówkę szlakami wokół Everestu. Czasem wiąże się to z wejściem na okoliczne, łatwe do zdobycia szczyty, mierzące niewiele ponad 6000 m n.p.m. Śmiałków, którzy przyjechali zdobywać Mount Everest mierzący 8848 m n.p.m. jest tylko kilku.

***

– Jesteśmy już w historycznej stolicy Tybetu – Lhasie – relacjonował dwa dni później Zygmunt Berdychowski. *– Różnica wysokości daje powoli o sobie znać, trochę zaczyna mi szumieć w głowie, wszak Katmandu to 1400 m. n.p.m., a Lhasa to już 3600 m n.p.m. Pokonanie w ciągu jednego dnia wysokości 2200 metrów nie może pozostać niezauważone. Od jutra wyruszamy jeszcze wyżej, przez kolejne miasta Tybetu, by zgodnie z planem za cztery dni dotrzeć do Bazy Głównej na wysokości położonej na wysokości 5200 m n.p.m. Zanim jednak wyruszymy w góry, zwiedzimy Lhasę. Zobaczymy górujący nad miastem Pałac Potala – dawną siedzibę Dalajlamy, oraz Pałac Norbulingka, który otoczony jest największym w Tybecie parkiem i przez wiele lat służył jako letnia rezydencja Dalajlamy. Zaraz po przylocie ogromne wrażenie zrobił na mnie kontrast jaki można zauważyć pomiędzy bardzo biednym Katmandu, a dobrze prezentującą się Lhasą. W stolicy Nepalu ulice były wąskie i panował trudny do zaakceptowania nieporządek. Natomiast w Lhasie przywitały nas szerokie, czyste ulice i odnowione fasady domów. Jednak gdy z ciekawości zajrzeliśmy głębiej, okazało się, że już tak ładnie to nie wygląda* – relacjonował Zygmunt Berdychowski, dodając, że nie jest to w stanie popsuć wspaniałego wrażenia, jakie ma na pewno każdy odwiedzający to piękne miasto „tym bardziej, że humory dopisują, gdyż wszyscy członkowie wyprawy czują się świetnie i już nie mogą się doczekać rozpoczęcia wspinaczki".

Z Lhasy wyprawa w ciągu 4 dni, przez Xigatse (3900 m) i Xegar (4200 m) przemieszczała się transportem samochodowym do Obozu Głównego (Base Camp) pod Mount Everestem, znajdującego się na wysokości 5200 m n. p. m.: *– Po dwóch trzech dniach odpoczynku, przeniesiemy się do Bazy Wysuniętej (ABC – Advanced Base Camp) na wysokość 6400 m. n.p.m. Po założeniu przez Szerpów Obozu 1 na Przełęczy Północnej na wysokości 7000 metrów, spędzimy w nim jedną noc dla aklimatyzacji. Następnie zejdziemy do Obozu Głównego na 3-4 dniowy odpoczynek. W tym czasie Szerpowie założą Obóz 2 na wysokości 7700 metrów. Będzie on celem naszej kolejnej wspi-*

naczki, tak, by przyzwyczaić organizm do wielkich wysiłków i ogromnych wysokości. Po tym jak uda się zdobyć Obóz 2, znów wrócimy do Obozu Głównego, na dłuższy odpoczynek. W tym czasie Szerpowie założą Obóz 3 na wysokości 8300 m n.p.m. Od połowy maja

– Atak szczytowy rozpocznie się w środku nocy, by na wierzchołek dotrzeć przed południem i by zdążyć zejść do Obozu 3 jeszcze przed zmrokiem.

ZYGMUNT BERDYCHOWSKI

w Bazie Wysuniętej, będziemy czekali na sprzyjającą pogodę do decydującego szturmu. Atak szczytowy rozpocznie się w środku nocy, by na wierzchołek dotrzeć przed południem i by zdążyć zejść do Obozu 3 jeszcze przed zmrokiem.

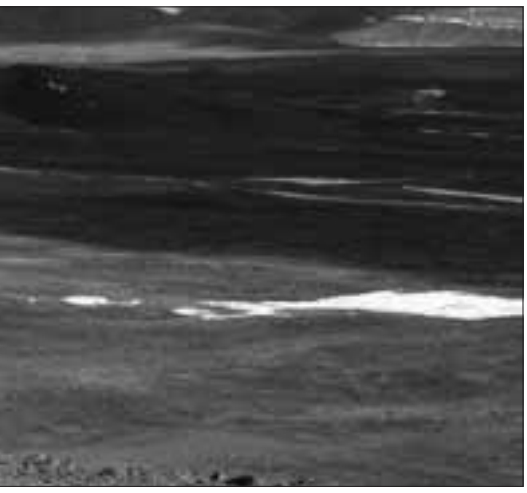

Ale może się zdarzyć, że nie będzie ani jednego „okienka" pogodowego, pozwalającego na bezpieczny atak szczytowy i wyprawa spali na panewce. Na tej wysokości wspinacze maszerują z aparatem tlenowym na twarzy. W butli jest tyle tlenu, aby zdążyć wyjść na szczyt i wrócić do obozu.

***

Poprzednie ekspedycje wysokogórskie, w ramach zdobywania Korony Ziemi (czytaj obok), Zygmunt Berdychowski finansował z własnej kieszeni. Wyprawa na Mount Everest go przerosła, dlatego musiał poszukać sponsorów, których znalazł pośród dużych polskich firm. Partnerami wyprawy są: Festiwal Biegowy Forum Ekonomicznego oraz firmy Maspex, PZU na Życie, Energa SA, Fakro, Enea SA i Ruch.

Wyprawa na Mount Everest potrwa ok. dwóch miesięcy. Nasz śmiałek prowadzi dziennik wyprawy. Pełną relację Z. Berdychowskiego, bez względu na jej wynik, opublikujemy w „Sądeczaninie".

PAWEŁ PISZCZEK, (HSZ)

MOUNT EVEREST 2012

TIGER Energa FAKRO Enea

MOUNT EVEREST

Najwyższy szczyt Ziemi. Wznosi się na wysokości 8848 m n. p. m. w Himalajach Centralnych, na granicy Nepalu i Tybetu. Ma kształt trójgraniastej piramidy, spod której spływają trzy lodowce: na północ Rongbuk, w kierunkach zachodnim i południowym Khumbu oraz na wschód Kangchung. Ze szczytu rozchodzą się trzy wielkie granie: północno-wschodnia biegnie w stronę przełęczy Raphu La; grań zachodnia – z wyróżniającym się tzw. Ramieniem Zachodnim (West Shoulder) – biegnie do przełęczy Lho La; trzecia – południowo-wschodnia – w stronę Przełęczy Południowej i Lhotse. W tej ostatniej wyraźnie zaznacza się Wierzchołek Południowy, niższy (8748 m.) wierzchołek Mt. Everestu.

Do roku 1865 nosił nazwę Szczyt XV, nadaną przez Indyjską Służbę Topograficzną. W roku 1865 na cześć walijskiego geodety i kartografa sir George'a Everesta, który zainicjował prace nad mapą Indii, nadano szczytowi nazwę Mount Everest.. Po tybetańsku nosi nazwę Czomolungma, czyli Bogini Matka Śniegu lub Bogini Matka Ziemia, a po nepalsku Sagarmatha, czyli Czoło Nieba. Często jest nazywany również Dachem Świata.

W dniu 29 maja 1953 roku pierwszymi zdobywcami Mount Everestu zostali: Nowozelandczyk Edmund Hillary oraz Norgay Tenzing – Szerpa z Dardżylingu. Pierwsze polskie wejście miało miejsce 16 października 1978 roku a dokonała tego nasza najlepsza alpinistka Wanda Rutkiewicz. Warto wspomnieć, że tego samego dnia kardynał Karol Wojtyła został wybrany na papieża Jana Pawła II. W 1980 roku polscy alpiniści – Leszek Cichy i Krzysztof Wielicki dokonali pierwszego zimowego wejście na szczyt Everestu – był to także pierwszy ośmiotysięcznik zdobyty zimą.

W latach 1953–1969 na szczycie stanęło 21. wspinaczy. W latach siedemdziesiątych – ponad osiemdziesięciu, w latach osiemdziesiątych – prawie dwustu, w ostatniej dekadzie ubiegłego wieku – niemal tysiąc.

Według danych ze stycznia 1997 r. w sumie 391 ekspedycji próbowało wejścia na szczyt. 167 z nich osiągnęło wierzchołek. Sukcesem wspinaczkowym zakończyło się 56% spośród 214 ekspedycji wyruszających od strony Nepalu oraz tylko 26% spośród 176 wypraw atakujących górę od strony Tybetu. Do stycznia 1997 wierzchołek zdobyło 676 osób, w tym czasie zginęło 148 wspinaczy, w tym 50 Nepalczyków.

Do końca roku 2008 około 3600 wspinaczy stanęło na szczycie, liczba ofiar sięga 210.

Strażnica na finiszu

Budowa Komendy Miejskiej Państwowej Straży Pożarnej w Nowym Sączu szybko posuwa się do przodu. Jeśli uda się znaleźć brakujące około 3,5 mln złotych, to być może obiekt uda się ukończyć jeszcze w tym roku.

Nowa siedziba sądeckich strażaków nabiera szybko ostatecznego wyglądu. Na plac budowy przy ul. Witosa przyjechali przedstawiciele Komendy Wojewódzkiej Państwowej Straży Pożarnej w Krakowie, która od kilku miesięcy jest inwestorem tego przedsięwzięcia. Razem m.in. z komendantem miejskim PSP w Nowym Sączu bryg. Januszem Basiagą zapoznawali się z postępem robót, omawiali różne sprawy, związane z trwającą budową. Przypomnijmy, że od kilku miesięcy wykonawcą inwestycji jest sądecka firma Erbet, która budowała w Małopolsce kilka komend policji, w tym również oddaną do użytku w lipcu ub. br. nową siedzibę sądeckiej policji przy ul. Grottgera.

– *Wartość inwestycji przy ul. Witosa opiewa na 22 mln złotych* – powiedział nam mł. bryg. Piotr Stępień z Komendy Wojewódzkiej PSP w Krakowie. – *Umowę z wykonawcą mamy spisaną do maja 2013 roku. W tym roku do przerobienia jest 3,2 mln złotych. Prace postępują z harmonogramem.*

Inwestycja zaawansowana jest w osiemdziesięciu procentach. Budynek nowej komendy PSP nabiera ostatecznego wyglądu. Przed siedzibą sądeckich strażaków układana jest kostka brukowa, montowano słupy oświetleniowe.

– *Do wykonania jest jeszcze sporo prac wewnątrz obiektu* – mówi bryg. Janusz Basiaga, komendant miejski PSP w Nowym Sączu. – *Brakuje jeszcze około 3,5 mln złotych do domknięcia budżetu inwestycji. Muszą to być środki z budżetu państwa. Czynione są starania o ich pozyskanie. W tym roku na realizację zadania mamy 3,2 mln zł (2 mln zł z budżetu państwa i 1,2 mln zł przekazane przez samorząd Nowego Sącza). Wierzę, że brakujące fundusze się znajdą i, że być może z końcem tego roku uda się dokończyć budynek i zacząć go użytkować. Wszystko będzie zależeć, czy znajdą się potrzebne pieniądze. Liczymy na to, że się znajdą.*

Obecnie sądecka straż pracuje w skrajnie trudnych warunkach. Siedziba jednostki ratowniczo-gaśniczej nr 1 przy ul. Grybowskiej jest ciasna. Specjalistycznego sprzętu przybywa, samochody nie mieszczą się w tamtejszych budynkach. Do tego dochodzi fatalny wyjazd z placu jednostki, znajdującej się koło Maślanego Rynku. Dodajmy, że do nowej strażnicy z ul. Grybowskiej zostanie przeniesiona wspomniana jednostka, ale też znajdzie się tam miejsce m.in. dla administracji, Zarządu Powiatowego Związku Ochotniczych Straży Pożarnych RP. Będzie też duża sala do ćwiczeń.

(**MIGA**)

WARTO WIEDZIEĆ

Nowa siedziba KM PSP będzie miała powierzchnię użytkową 4510 m^2, kubaturę – 20.600 m^3. Wysokość budynku bez wieży – 14,2 m, z wieżą – 18,8 m.

Wstępna koncepcja budynku Sądu Rejonowego w Nowym Sączu – opracował specjalista ds. inwestycji i remontów Sądu Okręgowego w Nowym Sączu mgr inż. arch. Stanisław Górski

Wybudują nową siedzibę sądu w Nowym Sączu?

Kilkanaście firm budowlanych z Warszawy, Tarnowa, Krakowa i Nowego Sącza, a także banków, zainteresowanych jest budową na własny koszt nowej siedziby Sądu Rejonowego w Nowym Sączu. Inwestycja ma pochłonąć szacunkowo 67 mln złotych. Jest to kwota niemała i z niecierpliwością trzeba oczekiwać na to, czy któryś z tych potencjalnych podmiotów zdecyduje się na jej wyłożenie. Czas pokaże.

Wszystko zależeć będzie od wielu czynników, przede wszystkim od tego, czy Sąd Okręgowy w Nowym Sączu, jako inwestor i prywatna firma, dojdą do porozumienia. Zadanie inwestycyjne pod nazwą „Budowa budynku Sądu Rejonowego w Nowym Sączu przy ulicy Grunwaldzkiej" ma być realizowane, bowiem w formule partnerstwa publiczno-prywatnego. Oznacza to, że, zgodnie z systemem DBFOT (Desing-Build-Finance-Operate-Transfer – partner prywatny musi zaprojektować i wybudować obiekt z własnych pieniędzy, a potem nim zarządzać. Sąd Okręgowy, jako podmiot publiczny ma wnieść do tej inwestycji pozyskaną w czerwcu 2008 roku działkę, przy ul. Grunwaldzkiej o powierzchni 8.115 m kw., na, której ma stanąć nowa siedziba sądu rejonowego. Teren ten, pozostający obecnie w trwałym zarządzie sądu, ma być przekazany inwestorowi prywatnemu na czas obowiązywania umowy.

Od ubiegłego roku Sąd Okręgowy w Nowym Sączu czyni starania, by to zadanie w takiej formule udało się zrealizować. Z przedsięwzięciami, które poczyniono już w tej sprawie, zapoznawał się goszczący 11 kwietnia w Nowym Sączu Stanisław Chmielewski, sekretarz stanu w Ministerstwie Sprawiedliwości.

– Robimy wszystko, co w naszej mocy, aby to niełatwe zadanie udało się zrealizować – mówi Józef Kiełbasa, dyrektor Sądu *Okręgowego w Nowym Sączu. – Wymaga ono jednak przeprowadzenia wielu analiz, zasięgnięcia opinii specjalistów.*

***

W ubiegłym roku na zlecenie Sądu Okręgowego w Nowym Sączu została przygotowana analiza prawna dotycząca planowanej inwestycji. Teraz trzeba przygotować kolejne dokumenty, m. in.: opinię finansowo-ekonomiczną i techniczną zadania, a także wstępną analizę ryzyka. Są one wręcz niezbędne, zanim zostanie ogłoszony przetarg na wykonawstwo inwestycji w procedurze dialogu konkurencyjnego.

Budowa nowej siedziby Sądu Rejonowego w Nowym Sączu, jak mówiono

na konferencji prasowej, jest pilną koniecznością. Sądecki wymiar sprawiedliwości boryka się, niestety, z ciasnotą. Obecnie funkcjonuje on w kilku budynkach przy ul. Pijarskiej, Strzeleckiej oraz Mickiewicza.

O potrzebie budowy nowej siedziby Sądu Rejonowego w Nowym Sączu w formule partnerstwa publicznego-prywatnego i podjętych w tym kierunku działaniach, z kierownictwem Sądu Okręgowego w Nowym Sączu rozmawiał Stanisław Chmielewski, sekretarz stanu w Ministerstwie Sprawiedliwości. Jeśli to przedsięwzięcie dojdzie do skutku, będzie ono miało charakter pilotażowy.

– *Czy to przedsięwzięcie się uda, czy osiągniemy sukces w negocjacjach i czy zgłosi się partner prywatny, który przedstawi ofertę, w oparciu o którą powstanie obiekt, a później będzie udostępniony na potrzeby sądownictwa – czas pokaże* – mówił Stanisław Chmielewski na konferencji prasowej w Sądzie Okręgowym w Nowym Sączu. – *Chcemy w tym roku przygotować ostateczne stanowisko w tym zakresie. Mam tu na myśli pełną wiedzę, aby móc ogłosić przetarg na realizację tego zadania. W przyszłym roku staralibyśmy się ogłosić konkurs, który wyłoni oferenta.*

– Projekt w Nowym Sączu byłby pierwszym pilotowanym przez administrację rządową. Byłby on bowiem firmowany przez ministra sprawiedliwości.

KRZYSZTOF SIWEK, DYREKTOR DEPARTAMENTU PRZYGOTOWANIA PROJEKTÓW INDYWIDUALNYCH MINISTERSTWA ROZWOJU REGIONALNEGO

Nowa siedziba SR ma powstać w południowej części miasta, przy drodze wylotowej do Starego Sącza, nieopodal nowej siedziby Komendy Policji oraz Wyższej Szkoły Biznesu. Lokalizacja budynku, z dala od centrum miasta i sądu okręgowego, może jednak budzić pewne kontrowersje. Jeśli dojdzie do podpisania umowy między inwestorem, czyli Sądem Okręgowym w Nowym Sączu, a partnerem prywatnym, wówczas działka będzie wkładem tego pierwszego w tę inwestycję. Zaprojektowanie, budowa, eksploatacja, utrzymanie i wyposażenie obiektu spocznie natomiast na barkach partnera prywatnego. Umowa ma być zawarta na 23 lata. W tym czasie w budynku będzie funkcjonował Sąd Rejonowy. Przez ten okres partner prywatny będzie pobierać od Skarbu Państwa comiesięczne opłaty, w zamian za udostępnienie obiektu dla SR w Nowym Sączu.

Po 23 latach działka wróciłaby albo w trwały zarząd Sądu Okręgowego, albo prywatna firma dalej zarządzałaby nią, ale na warunkach uzgodnionych między stronami.

***

Jeśli partnerzy publiczny i prywatny dojdą do porozumienia, inwestor prywatny będzie mieć 1,5 roku na zrealizowanie przedsięwzięcia. Przy nowej siedzibie SR planowane są parkingi: zewnętrzny i podziemny na około 120 miejsc. Jest to o tyle istotne, że obecnie przy siedzibach Sądu Rejonowego i Okręgowego z miejscami parkingowymi jest niestety krucho.

Warto wspomnieć, że do tej pory w Polsce nie wznoszono budynków sądowych w ramach partnerstwa publiczno-prywatnego. Nowy Sącz byłby

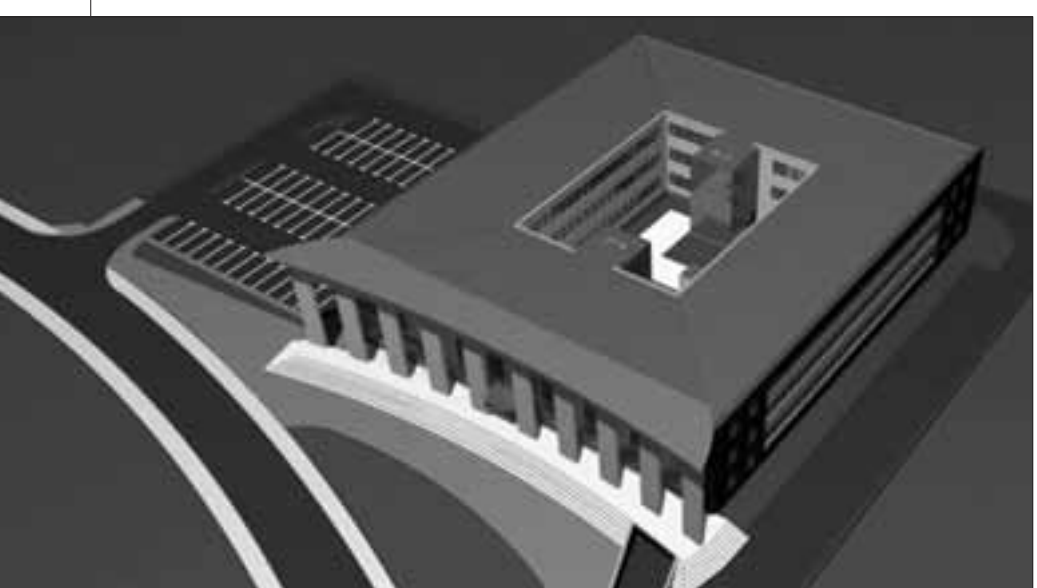

zatem pierwszym miastem, w którym taka inwestycja zostałaby realizowana. W formule prywatno-prawnej został wybudowany na przykład kompleks budynków sądowych w Irlandii, czy budynków sadowych w Kanadzie.

Obecnie w Polsce realizowanych jest 19 projektów w formule partnerstwa publiczno-prywatnego.

– *Są to zazwyczaj projekty małe, realizowane przez samorządy* – mówi Krzysztof Siwek, dyrektor Departamentu Przygotowania Projektów Indywidualnych Ministerstwa Rozwoju Regionalnego. – *Projekt w Nowym Sączu byłby pierwszym pilotowanym przez administrację rządową. Byłby on bowiem firmowany przez ministra sprawiedliwości. Sąd Okręgowy w Nowym Sączu posiada już pogram funkcjonalno-użytkowy, analizę prawną realizacji tego zadania, a to już jest dobry punkt wyjścia, by założyć, że pod koniec tego roku realne jest rozpoczęcie procedury wyboru partnera prywatnego. Jak długo ona potrwa? Idealnie byłoby, gdyby zakończyła się wiosną przyszłego roku.*

IGA MICHALEC

WARTO WIEDZIEĆ

Powierzchnia całkowita nowej siedziby Sądu Rejonowego w Nowym Sączu – ok. 11.200 m^2.
Kubatura – około 39 tys. m^3.

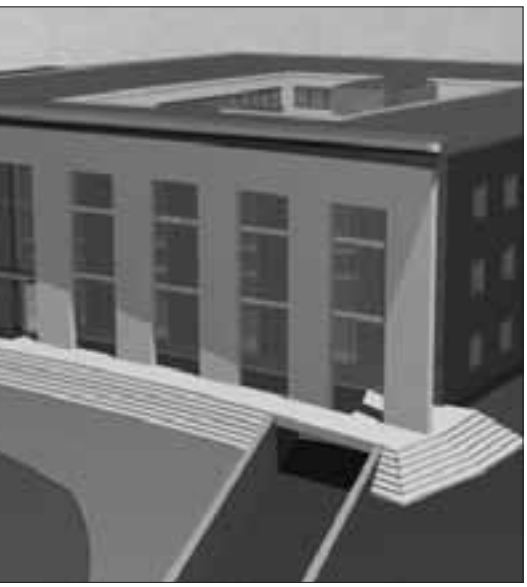

Konferencja subregionalna w Nowym Sączu

Drogi, internet, ochrona przeciwpowodziowa

FOT. ARCH.

Marszałek Małopolski Marek Sowa, w piątek 30 marca, otworzył w Nowym Sączu kolejne spotkanie z cyklu konferencji subregionalnych.

Debata z udziałem najważniejszych partnerów społecznych i gospodarczych, w tym lokalnych samorządów, ma pomóc w wytyczeniu ram dla indywidualnej ścieżki rozwoju tej części Małopolski. W dyskusji o przyszłości subregionu nowosądeckiego wziął także udział członek Zarządu Województwa Małopolskiego Stanisław Sorys.

Konferencja w Nowym Sączu to trzecie z pięciu spotkań w subregionach. Pozostałe dotyczyły rozwoju subregionów tarnowskiego i podhalańskiego. Wcześniej spotkania odbyły się już w Krakowie i Oświęcimiu. Konferencje subregionalne rozpoczynają prace nad wspólnym przygotowaniem programu rozwoju dla poszczególnych obszarów województwa, uwzględniających niepowtarzalny charakter subregionu, unikalne potencjały oraz specyficzne potrzeby jego mieszkańców zgodnie z założeniami Strategii Rozwoju Województwa Małopolskiego na lata 2011-2020. Istotną częścią rozpoczętych w trakcie spotkania prac była dyskusja o najważniejszych projektach, które powinny zostać uzgodnione w ramach partnerstwa subregionalnego i mogłyby uzyskać wsparcie z przyszłego programu regionalnego w latach 2014-2020, finansowanego z funduszy europejskich.

Otwierając konferencję w Nowym Sączu marszałek Marek Sowa przypomniał, że w uchwalonej niedawno

FOT. ARCH.

Strategii Rozwoju Województwa Małopolskiego 2011-2020 przyjęto bardzo indywidualne podejście do polityki subregionalnej. – *Tego nie było w poprzednich strategiach rozwoju województwa. Dziś przyszedł czas na nowe wyzwania. Małopolska jest już innym regionem niż to miało miejsce w 1999 roku. Udało się zbudować bardzo solidny fundament do myślenia o rozwoju regionu* – powiedział marszałek.

– *Ogromne zróżnicowanie, które wówczas wydawało się problemem, dziś jest ogromną siłą Małopolski, bowiem możemy się wzajemnie uzupełniać, czerpać z różnorodnego bogactwa, z różnych doświadczeń i na tym budować siłę Małopolski w perspektywie roku 2020* – dodał Marek Sowa.

Konferencję subregionalą poprzedziły badania focusowe przeprowadzone 7 marca, w których wzięli udział przedstawiciele wybranych instytucji i środowisk o istotnym znaczeniu dla rozwoju Sądecczyzny. I tak na liście najważniejszych spraw dla rozwoju subregionu sądeckiego znalazły się m. in.: projekty związane z infrastrukturą komunikacyjną, rozbudowa sieci szerokopasmowej w subregionie; system ostrzegania i zabezpieczenia przeciwpowodziowego, stworzenie na terenie Krynicy-Zdrój Wschodnioeuropejskiego Centrum Edukacji i Dokumentacji Unii Europejskiej, wysoce specjalistyczne ośrodki kształcenia zawodowego.

Jak informował członek Zarządu Stanisław Sorys, władze regionu przygotowały specjalną ofertę dla partnerów subregionalnych w perspektywie 2014-2020. Miałby to być kontrakt na rzecz realizacji uzgodnionego pakietu przedsięwzięć subregionalnych. To pomysł samorządu na uruchomienie oddolnych inicjatyw, służących specjalizacji subregionalnej i sposób na budowanie szerokiej współpracy na bazie wspólnych interesów i korzyści. Samorząd chce wspierać głównie projekty wzmacniające potencjał danego subregionu i mające zasięg ponadlokalny, czyli obejmujące obszar więcej niż jednej gminy lub powiatu. Nowością będzie tzw. grant subregionalny, czyli wydzielona pula środków z programu regionalnego, dedykowana subregionom. Kalendarz prac nad specjalną ofertą przewiduje utworzenie 5 forów subregionalnych, które zajmą się wytypowaniem wstępnych list projektów dla każdego z subregionów. Już w przyszłym roku pomysły miałyby zostać zweryfikowane pod kątem dopuszczalności wsparcia tych zadań z funduszy europejskich na lata 2014-2020.

W spotkaniu w Nowym Sączu wzięli udział samorządowcy, parlamentarzyści i przedstawiciele instytucji otoczenia biznesu. Obecni byli radni województwa z okręgu nowosądeckiego: Marta Mordarska, Zygmunt Berdychowski, Grzegorz Biedroń i Leszek Zegzda.

Źródło: UM W KRAKOWIE

STRATEGIA ROZWOJU

Strategia Rozwoju Województwa Małopolskiego na lata 2011-2020 wyróżnia pięć subregionów wchodzących w skład województwa: subregion tarnowski, sądecki, podhalański, Małopolska Zachodnia oraz Krakowski Obszar Metropolitalny. Zapisy strategii definiują odrębne ścieżki rozwoju dla każdego z nich, uwzględniając lokalny potencjał i wskazując obszary wymagające wsparcia. Wdrażanie strategii obejmuje między innymi prace nad spójnymi z nią programami rozwojowymi, wykorzystywanymi, by zapewnić większą spójność i ukierunkowanie podejmowanych działań, w tym finansowania wybranych przedsięwzięć z funduszy europejskich. Wymaga to dalszego weryfikowania i uszczegóławiania kierunków zawartych w strategii, a także kontynuacji dialogu z szerokim gronem osób reprezentujących poszczególne subregiony i znającym ich specyfikę.

Odpowiedzią na to zapotrzebowanie jest seria spotkań i konferencji poświęconych wykorzystaniu znajomości lokalnych potrzeb i uwarunkowań oraz różnorodności perspektyw reprezentowanych przez uczestników po to, by zaprojektować możliwie najbardziej adekwatne, dopasowane do potrzeb oddziaływania rozwojowe.

SWISS CONTRIBUTION

PROJEKT WSPÓŁFINANSOWANY PRZEZ SZWAJCARIĘ W RAMACH SZWAJCARSKIEGO PROGRAMU WSPÓŁPRACY Z NOWYMI KRAJAMI CZŁONKOWSKIMI UNII EUROPEJSKIEJ

PROJECT SUPPORTED BY A GRANT FROM SWITZERLAND THROUGH THE SWISS CONTRIBUTION TO THE ENLARGED EUROPEAN UNION

Bezpłatne szkolenia dla przedsiębiorców.

Uwaga: Właściciele i pracownicy mikro, małych i średnich firm z powiatów gorlickiego i nowosądeckiego!

„KADRY I PŁACE"
14-15 MAJA 2012 R., GORLICE

Nauczysz się jak umiejętnie korzystać ze źródeł prawa, poznasz obowiązki pracodawcy, opanujesz zasady prawidłowego nawiązywania i rozwiązywania umów o pracę, dowiesz się jak naliczać wynagrodzenia i zasiłki oraz sporządzać dokumentację do ZUS i US.

„PROFESJONALNE KSZTAŁTOWANIE WIZERUNKU FIRMY"
21-22 MAJA 2012 R., NAWOJOWA

Poznasz skuteczne techniki public relations, dowiesz się jak przygotować strategie zarządzania marką, czym są: tożsamość, wizerunek i reputacja marki, a także nauczysz się jak przeprowadzić badania marketingowe na potrzeby kształtowania wizerunku firmy.

„OBSŁUGA RUCHU TURYSTYCZNEGO"
28-29 MAJA 2012 R., GORLICE

Dowiesz się jak promować walory turystyczne subregionu. Poznasz nowe metody zarządzania informacją. Nauczysz się jak przygotować profesjonalny informator turystyczny.

Do udziału zapraszamy mikro, małe i średnie firmy, zarejestrowane lub posiadające strukturę organizacyjną (jednostkę, oddział, filię, przedstawicielstwo) na terenie powiatu gorlickiego lub nowosądeckiego. Uczestnikami szkoleń mogą być właściciele, kadra zarządzająca i kierownicza oraz pracownicy.

Rejestracja online: **www.marr.pl/swiss**

więcej informacji:
Małopolska Agencja Rozwoju Regionalnego
Lokalne Biuro Projektu w Nowym Sączu
ul. Kościuszki 9, 33-300 Nowy Sącz
tel. 18 262 12 76
e-mail: szkoleniaMSP@marr.pl

marr Małopolska Agencja Rozwoju Regionalnego SA
POWIAT GORLICKI
POWIAT NOWOSĄDECKI

SZKOLENIA WSPÓŁFINANSOWANE W RAMACH PROJEKTU „LOKALNE INICJATYWY NA RZECZ ROZWOJU REGIONALNEGO POWIATU GORLICKIEGO I NOWOSĄDECKIEGO"

RZEMIEŚLNICY I ARTYŚCI. KAMIENIARSTWO Z TRADYCJĄ I PASJĄ

– *Wysoka jakość produktów, świetne wzornictwo i gotowość do realizacji wszelkich wizji klienta* – to recepta państwa Janików na sukces handlowy. Firma kamieniarska „Janik" to lider na rynku sądeckim.

KAMIEŃ, PO KAMIENIU ZBUDOWALI MARKĘ...

To, co szczególnie cenią klienci u państwa Janików to kompleksowość usług. Firma realizuje zlecenia od momentu przygtowania projektu po jego wykonanie. Własna hala produkcyjna i nowoczesny sprzęt pozwalają na realizację niemal wszystkich projektów z kamienia nautalnego. Oprócz gotowych produktów państwo Janikowie relizują zlecenia indywiudalne, te kierowane potrzebami i fantazją klienta. Firma kamieniarska z siedzibą przy ul. Lwowskiej w Nowym Sączu, to niekwestionowany lider w regionie.

Tu oferują nie tylko kompleksowe przygotowania nagrobków, ale także produkty kamieniarstwa budowlanego: parapety, blaty kuchenne, posadzki z kamienia, schody, kominki i elementy małej architektury.

– *Wyroby kamnierskie muszą być najwyższej jakości, bo służą klientom na dziesięciolecia, dlatego do wykonania naszych prac używamy kamieni najwyższej jakości, importowanych z całego świata. Na specjalne zamówienie jesteśmy w stanie sprowadzić najbardziej wyszukane materiały* – mówi Wioletta Janik.

Firma „Janik" wypracowała sobie już markę wśród sądeckich klientów. To firma rodzinna z dwu pokoleniową już tradycją, a to wzbudza zaufanie. Początki działalności handlowej sięgają lat 70. Od tamtej chwili od małej rodzinnej firmy, zbudowali jedną z rozpoznawalnych markę. Firma cały czas się rozwija oferując usługi nie tylko na rynku lokalnym, ale w całej Polsce, a także zaczyna podbijać rynki sąsiadów: zaczynają od Słowacji. Najlepszy surowiec, połączony z nowoczesną technologią obróbki – dają w efekcie produkty najwyższej jakości. To ważne, bo państwa Janików intersuje nie tylko estetyka przedmiotów, ale ich trwałość, dlatego na swoje produkty udzielaja wieloletniej gwarancji.

NIE TYLKO RZEMIOSŁO, ALE I SZTUKA...

Każdy detal podczas produkcji jest istotny. Dlatego korzystając z oferty innych producentów, wybieraja najlepszych na świecie. Dostawcą elementów z brązu jest firma CAGGIATI, lider na rynku włoskim, zatrudniający najlepszych włoskich plastyków. A państwa Janików intersuje tylko najwyższa jakość.

„Janik" to nie tylko czyste rzemieślnictwo, tu spod dłuta artystów rzeźbiarzy wychodza również arcydziełk sztuki użytkowej: rzeźby i elementy ozodbne z kamienia.

– *Żeby trafić w potrzeby klientów musimy oferować szeroki wachlarz produktów i usług. Od tych prostych doskonałych rzemieślniczo, ale i tych, które wyszły spod ręki arystó o o oryginalnych, również tych wymyślonych przez klienta formach* – mówi Wioletta Janik.

Nowoczesne zaplecze produkcyjne pozwala na realizację niemal wszelkich projektów: ograniczeniem jest tylko wyobraźnia klienta, a najlepszy surowiec, połączony z nowoczesną technologią obróbki – dają w efekcie produkty najwyższej jakości.

To ważne, bo państwa Janików intersuje nie tylko estetyka przedmiotów, ale ich trwałość, dlatego na swoje produkty udzielają wieloletniej gwarancji.

– *W dobie sporej konkurencji jakość jest szczególnie ważna i to ona zadecyduje o tym, czy klienici do nas wróca, alno nas polecą. To, że z powodzeniem działamy na rynku od blisko trzydziestu lat jest dowodem na to, że oferujemy najwyższą jakość* – mówi Wioletta Janik.

Pasek Auto-Centrum
Nowy Sącz, ul. Krakowska 66
tel: 18-440-45-45
kom. 602-270-666
pon-pt- 8:00-20:00, sob. 8:00-15:00
- OKRĘGOWA STACJA KONTROLI POJAZDÓW
- autoserwis
- geometria 3d - komputerowy pomiar, ustawianie kół i zawieszenia
- bieżące naprawy mechaniczne i elektroniczne
- sprzedaż i serwis ogumienia
- serwis i napełnianie klimatyzacji
- przyczepy, lawety - wypożyczalnia / sprzedaż / serwis / produkcja / części

NIEPUBLICZNE PRZEDSZKOLE
BAJKA
DYSPONUJEMY JESZCZE WOLNYMI MIEJSCAMI! ZAPRASZAMY!
Zapisy dzieci do przedszkola
od poniedziałku do soboty
w godz.: pn-pt: 10-16, sob: 10-14
ul. Barbackiego 81, Nowy Sącz
tel. (18) 443 77 28
e-mail: efekt1szkola@op.pl
www.przedszkole-nowysacz.pl
Promocja na 2012 rok!
Miesięczne czesne tylko 200 zł!
Prowadzimy zajęcia przez całe wakacje!
NASZYM PRIORYTETEM JEST UŚMIECH NA TWARZY TWOJEGO DZIECKA!

RESTAURACJA 4 Pory Roku
Restauracja
„4 Pory Roku"
ul. Witosa 10
(obwodnica na Kraków)
33-300 Nowy Sącz
tel. 018 447 67 68
kom. 0 503 038 639
rest.4poryroku@op.pl
www.restauracja.sacz.pl

„Sądeczanin" co miesiąc w Twojej skrzynce pocztowej
ZAMÓW PRENUMERATĘ!
od dowolnego miesiąca
do domu, biura, urzędu, firmy, szkoły, parafii...
- dla siebie
- jako prezent dla przyjaciół i rodziny.
szczegóły: tel. 18 475 16 22, www.sadeczanin.info

Bar
SMACZNA DOMOWA KUCHNIA
ze świeżych produktów
Lwowska 56
pon.-pigt. 9.30-17.00, sob.- niedz. 9.30 -15.00
Wiśniowieckiego 129
pon.-pigt. 8.30-19.00, sob.-niedz. 10.00-17.00
Jagiellońska 31
pon.-pigt. 9.30-17.00, sobota 9.30-14.30
Franciszkańska 7
pon.-pigt. 9.30-17.00, sobota 9.30-14.30

INTELSYSTEM - INTELIGENTNY BUDYNEK

KOMFORT | BEZPIECZEŃSTWO | OSZCZĘDNOŚĆ ENERGII

To co było standardem jeszcze kilka lat temu, dziś nie jest już w stanie sprostać wymaganiom stawianym nowoczesnej instalacji elektrycznej.

Energooszczędne i o niemal nieograniczonych możliwościach ***systemy inteligentnego budynku****, coraz częściej instalowane są w domach i mieszkaniach, ponieważ odciążają one swoich właścicieli od wielu codziennych, rutynowych czynności, oszczędzają ich czas, równocześnie podnoszą komfort pracy i wypoczynku. Zapewniają najwyższy poziom bezpieczeństwa i ograniczają zużycie energii.*

Właśnie efektywne wykorzystanie energii to kluczowy czynnik kształtujący popyt na tego typu rozwiązania w świetle rosnącej świadomości ekologicznej i rosnących kosztów energii.

Inteligentny budynek w sposób naturalny zaprogramowany jest na ograniczenie jej zużycia. Poprzez integrację, inteligentne i zoptymalizowane sterowanie możliwe jest obniżenie zużycia energii nawet o 60%.

Daje to właścicielowi znaczące korzyści finansowe podczas bieżącej eksploatacji, a w dłuższej perspektywie czasowej użytkowania budynku (5-8 lat) całkowity zwrot poniesionych na początku wydatków.

Inteligentny budynek w zasięgu Twojej ręki

System inteligentnego budynku łączy i integruje w sobie wszystkie instalacje i urządzenia w budynku. Komunikują się one między sobą, umożliwiając wzajemną współpracę.

Sprawdź nas!
Nowy Sącz - Kraków

600 633 500
600 619 500

www.intelsystem.pl

OsiedleEnklawa

Budujemy Dobrą Atmosferę

Twoje Mieszkanie

przy ul. Barbackiego 121b

(dzielnica WÓLKI)

- Mieszkania bezczynszowe
- Osiedle zamknięte
- Udział w gruncie
- Wysoki standard wykończenia
- Energooszczędna technologia budowy
- Parking

Kontakt **tel. 887 887 887**

www.osiedleenklawa.eu

Pomysły dla Sądecczyzny

Stadion sportowy z bieżnią tartanową, duża hala sportowa oraz pole golfowe z prawdziwego zdarzenia; zbiorniki wodne o funkcjach retencyjnej i rekreacyjnej, centrum rehabilitacji po leczeniu onkologicznym, nacisk na regionalizm w kulturze, a przede wszystkim droga ekspresowa: Brzesko – Nowy Sącz, to propozycja dla subregionu sądeckiego autorstwa Zygmunta Berdychowskiego.

Radny wojewódzki zgłosił te projekty podczas niedawnej konferencji na temat subregionu sądeckiego, zorganizowanej przez zarząd województwa w Miasteczku Galicyjskim w Nowym Sączu. Takie konferencje, organizowane we wszystkich stolicach subregionów (m. in. podhalańskim, tarnowskim, oświęcimskim), mają na celu opracowaniu listy priorytetów inwestycyjnych Małopolski, w związku z nową perspektywą finansową Unii Europejskiej na lata 2014-2020. Poniżej rozmowa z Zygmuntem Berdychowskim.

***

Jakie projekty dopisał pan do listy marszałka Małopolski?

– Zacznijmy od tego, że w Krynicy, Muszynie i Piwnicznej jest doskonała, największa po Zakopanem, nie licząc Krakowa, baza hotelowa i medyczna, natomiast brakuje infrastruktury sportowej, która by pozwoliła na organizację obozów dla sportowców. Nie ma u nas stadionu z bieżnią tartanową, ani hali sportowej z prawdziwego zdarzenia. Do Krynicy i Muszyny chętnie by przyjeżdżali sportowcy najwyższej klasy, aby u nas przygotować się do ważnych startów, bo jest gdzie spać, nie brakuje lekarzy, masażystów etc., lecz nie mają gdzie trenować. Niedawno rozmawiałem z Józefem Wojciechowskim, właścicielem klubu Polonia Warszawa, prezesem potężnej firmy deweloperskiej J. W. Construction Holding SA, która w Czarnym Potoku przebudowała dawny obiekt tarnowskich Azotów na nowoczesny hotel na 300 łóżek w standardzie cztero- i pięciogwiazdkowym, który niedługo zostanie otwarty. Mówił, że chętnie by przywiózł swoich piłkarzy na obóz szkoleniowy do Czarnego Potoku, ale problem w tym, że nie mają gdzie trenować. To samo jest z lekkoatletami. W całym regionie sądeckim nie ma bieżni lekkoatletycznej z prawdziwego zdarzenia.

Nabiera rozmachu organizowany przez nas Festiwal Biegowy, którego trzecia edycja odbędzie się w Krynicy we wrześniu tego roku, po zakończeniu Forum Ekonomicznego. W Polsce przybywa ludzi biegających dla zdrowia, i w ogóle uprawiających jakiś sport, dbających o kondycję fizyczną, rośnie rynek sprzętu sportowego. Oni wszyscy chętnie by do nas przyjechali na dłużej, bo jest gdzie spać i atrakcyjnie spędzić wieczór, ale nie mają gdzie ćwiczyć. Zgłosiłem pomysł budowy pola golfowego. W Polsce istnieją tylko dwa pełnowymiarowe pola golfowe, jedno jest pod Warszawą, drugie na Pomorzu Zachodnim, dlaczego trzecie nie miałoby powstać w okolicy Krynicy i Muszyny? A zapewniam, że chętnych do grania w golfa, nawet po wyśrubowanych cenach, nie brakuje.

Samorząd wojewódzki miałby budować pole golfowe?

– To jest pomysł i propozycja. Nie ma znaczenia, czy to zrobiłaby gmina Krynica, powiat nowosądecki, czy zapewne podmiot prywatny w porozumieniu z gminą. Tu chodzi o ustalenie listy sensownych projektów, jako podstawy rozwoju subregionu sądeckiego w oparciu o pieniądze, które przyjdą do nas z Unii Europejskiej. Dobrym przykładem jest Krzysztof Pawłowski, były rektor WSB-

Tak jak kiedyś Bill Clinton rzucił w swojej kampanii wyborczej hasło: „Gospodarka, głupcze!", tak my powinniśmy krzyknąć: "Droga ekspresowa Brzesko-Nowy Sącz, głupcze!".

-NLU, który na bazie swojej uczelni rozwinął projekt Miasteczka Multimedialnego, budowanego obecnie za pieniądze unijne. To pokazuje, że gospodarzem projektu niekoniecznie musi być samorząd, aby ściągnąć do nas naprawdę duże środki unijne. Można sobie wyobrazić różne konfiguracje prawno-organizacyjne. Najważniejsze, to przekonanie, że tego rodzaju propozycja powinna być wpisana w strategię rozwoju województwa. Justyna Kowalczyk nie może w Krynicy trenować, bo poza hotelami i znakomitą kadrą medyczną, a także bogatej oferty kulturalnej, nie ma tam infrastruktury sportowej. Świetnie, że zaczynają powstawać ścieżki biegowo-rowerowe. W tym roku Sejmik z mojej inicjatywy zapisał 200 tysięcy złotych w budżecie województwa na opracowanie koncepcji takich ścieżek. Zaczyna się coś dziać w tym temacie.

Jakie jeszcze projekty zgłosił pan na konferencji w Miasteczku Galicyjskim?

– Budowę na Sądecczyźnie małych zbiorników wodnych, które z jednej strony spełniałyby funkcje rekreacyjne i przyciągały gości i turystów, a z drugiej – zatrzymały wodę, aby samorządy gminne mogły realizować podstawowe zadanie, jakim jest zaopatrzenie mieszkańców w wodę. Sytuacja pod tym względem jest dramatyczne, co pokazała ostatnia, długotrwała susza, kiedy w bardzo wielu miejscowościach naszego regionu trzeba było ludziom dowozić wodę w beczkach. Pierwszy taki zbiornik, o którym się mówi od przedwojnia, powinien powstać we wspomnianym już Czarnym Dunajcu.

Dobrym przykładem jest Krzysztof Pawłowski, były rektor WSB-NLU, który na bazie swojej uczelni rozwinął projekt Miasteczka Multimedialnego, budowanego obecnie za pieniądze unijne.

W którym miejscu postawiłby pan tamę w Czarnym Potoku?

– Nie wiem, czy wodę należałoby spiętrzyć na terenie obecnych ogródków działkowych, czy gdzie indziej, to wskażą specjaliści, którzy się na tym znają. Dalej, należałoby rozbudować baseny na Zapopradziu w Muszynie, bo to, co powstało, jest malutkie. Padł, póki co projekt budowy zbiornika Grodno w Siołkowej. Wójt gminy Grybów twierdzi, że dopełnił wszystkich procedur, a regionalny dyrektor ochrony środowiska uważa, że samorządowcy grybowscy w swoich planach nie uwzględnili obostrzeń środowiskowych, wynikających z Natury 2000 i potrzebna jest nowa decyzja środowiskowa. Ciekawy, warty wsparcia środkami unijnymi jest projekt budowy „Wenecji" w Nowym Sączu, nawiązujący do przedwojennej przystani wioślarskiej. Przez całe lata trzymana była rezerwa gruntów na budowę zbiornika wodnego na Kamienicy nawojowskiej we Frycowej, od ćwierćwiecza mówi się o zbiorniku w Młynnem na rzece Łososina. Generalnie, wszystkie nasze gminy mają problemy z wodą. Grozi nam zapaść cywilizacyjna, jeżeli takie zbiorniki nie powstaną.

Co jeszcze chodzi panu po głowie?

– Stworzenie na terenie Miasta i Gminy Krynica – Zdrój Wschodnioeuropejskiego Centrum Edukacji i Dokumentacji Unii Europejskiej, ośrodka zajmującego się badaniem, analizowaniem i dokumentowaniem sytuacji za wschodnią granicą Unii. Jesteśmy stosunkowo blisko granicy wschodniej, pod Górą Parkową odbywa się od ponad 20 lat Forum Ekonomiczne z udziałem gości ze Wschodu i Krynica jest dobrym miejscem na lokalizację zespołu eksperckiego, analizującego procesy dokonujące się za naszą wschodnią granicą.

Ponadto zgłosiłem pomysł dofinansowania grup producenckich rolników w kierunku przetwórstwa. W całej Małopolsce działa kilka takich grup, między innymi Droga Łącka, zrzeszająca sadowników z Łącka i okolicy. Niestety ich działalność kończy się na sprzedaży jabłek, prostym koncesjonowaniu swoich produktów, a przecież mogliby produkować dżemy.

Dalej, w całej Małopolsce nie ma centrum medycznego zajmującego się rehabilitacją ludzi po leczeniu onkologicznym. Rośnie zachorowalność na choroby nowotworowe, medycyna jest coraz skuteczniejsza w zwalczaniu tej strasznej choroby, pod warunkiem, że zostanie w porę wykryta. Nie ma ośrodka dla ludzi po chemioterapii i innych tera-

piach onkologicznych. Ludziom wypadają włosy, mają zdeformowane twarze, chirurgia szczękowa bardzo się rozwinęła, ale brakuje ośrodka, gdzie ci ludzie dochodziliby do siebie. To mogła by być oferta dla całej Polski. I znowu, samorząd wojewódzki nie zorganizuje takiego ośrodka, ale jeśli go zapisze w strategii Małopolski, na który powinny być skierowane pieniądze europejskie, to mógłby się tym zająć na przykład szpital w Krynicy lub w Nowym Sączu.

Czy to już koniec pomysłów?

– Naszą szansą jest również niepowtarzalna, bogata kultura. Mamy ogromny potencjał, jeśli chodzi o różnego rodzaju zespoły folklorystyczne i twórców ludowych. Dlatego na szeroko rozumiany regionalizm też powinna być przeznaczona część pieniędzy europejskich. W Podhalańskiej Wyższej Szkole Zawodowej w Nowym Targu uruchomiono studia regionalistyczne, gdzie młodzi ludzie uczą się góralszczyzny: studiują język, strój, obyczaje, architekturę. Podobny kierunek powinien powstać w sądeckiej PWSZ. Rzuciłem hasło powołania Towarzystwa Kulturalno-Oświatowego „Sądeczanin" i temat jest mi bardzo bliski.

Nic pan nie mówi o drogach?

– Bo to jest oczywista oczywistość, jak mawiał klasyk. Od tego powinniśmy właściwie rozpocząć tę rozmowę i tak jak kiedyś Bill Clinton rzucił w swojej kampanii wyborczej hasło: „Gospodarka, głupcze!", tak my powinniśmy krzyknąć: „Droga ekspresowa Brzesko-Nowy Sącz, głupcze!". To absolutny priorytet priorytetów i podstawa wszelkich działań, mających na celu rzeczywisty rozwój subregionu sądeckiego. Cieszę się, że sprawa budowy nowej arterii, która w zamierzeniu powinna skrócić czas dojazdu z Nowego Sącza do autostrady w Brzesku do pół godziny, wyszła ze sfery luźnych dyskusji. Pod wpływem sądeckiego lobby w Sejmiku wojewódzkim, do którego się nieskromnie zaliczam, trasa ekspresowa do Sącza została wpisana do strategii województwa. Rozstrzygnięty został przetarg na opracowanie koncepcji tej drogi. Firma, która go wygrała prowadzi już prace w terenie, badając po jakiej trasie taka droga powinna biegnąć. Czy to będzie w całości nowa trasa w stosunku do obecnej drogi krajowej, czy na niektórych odcinkach będzie się pokrywać, jeszcze nie wiadomo. Najważniejsze, aby samorząd województwa przejął odpowiedzialność za powstanie tego szlaku komunikacyjnego, gdyż Generalna Dyrekcja Dróg i Autostrad oraz minister infrastruktury już ogłosili, że do 2020 roku nie mają trasy ekspresowej z Brzeska do Sącza w planie. W tej chwili na tapecie jest zjazd z autostrady w Jasieniu, z czym są niemałe problemy.

***

– Wszystko to świetne pomysły, ale jaka jest szansa ich realizacji, na jakie pieniądze europejskie może Małopolska liczyć w nowym „rozdaniu" unijnym na lata 2014-2020? W kampanii wyborczej politycy Platformy Obywatelskiej rzucili cyfrę 350 miliardów złotych, które w tym czasie miałyby napłynąć do Polski, co opozycja uznała za nierealne?

– Realne podejście, to moim zdaniem, wzięcie za punkt wyjścia kwoty, jaką Polska otrzymała w dobiegającej końca perspektywie finansowej Unii Europejskiej na lata 2007-2013. A było tego 60 miliardów euro, czyli około 240 miliardów złotych. Ze względu na to co się obecnie dzieje w strefie euro, takie podejście wydaje się realistyczne. Zatem może nie dostaniemy z Brukseli owych 350 miliardów złotych, ale też na pewno nie poniżej 100 miliardów, jak mówi opozycja. Dla nas, tu na dole, ważne jest, że te pieniądze będą inaczej dzielone, niż dotąd. W obecnej perspektywie finansowej Unii Europejskiej 70 procent pieniędzy poszło do Warszawy, do ministerstw i urzędów centralnych, gdzie je podzielone na wielkie projekty infrastrukturalne; autostrady, stadiony itd. ważne z punktu widzenia państwa, a tylko 30 procent przekazana do szesnastu województw na regionalne programy operacyjne. Teraz ma być odwrotnie. Gros środków zostanie przekazanych do regionów. I o ile Małopolska miała w pierwszej transzy do zagospodarowania 5-6 miliardów złotych, to teraz mielibyśmy przynajmniej dwa razy więcej.

Rzuciłem hasło powołania Towarzystwa Kulturalno-Oświatowego „Sądeczanin" i temat jest mi bardzo bliski.

W jakiej fazie opracowania znajduje się nowa lista wojewódzkich priorytetów?

– Jesteśmy na etapie konsultacji i temu służyło konferencja w Miasteczku Galicyjskim. W oparciu o materiał zebrany po pierwszej serii konsultacji we wszystkich subregionach, zostanie opracowana wstępna, orientacyjna lista projektów, które powtórnie zostaną przedyskutowane podczas drugiej serii konsultacji. I na jesieni powstałaby już ostateczna lista inwestycji. Decyzję podejmie Sejmik wojewódzki. Szansę na wsparcie środkami unijnymi mają tylko duże projekty o charakterze ponadlokalnym, więc tu konieczne jest współdziałanie wójtów, starostów, radnych wojewódzkich, parlamentarzystów.

Rozmawiał HENRYK SZEWCZYK

Cycoń zbudował lotnisko medialnie, nasze starczy

Budowa lotniska pod Starym Sączem jest wydarzeniem tylko medialnym, na obecne potrzeby wystarczy lotnisko w Łososinie Dolnej – uważa wójt Stanisław Golonka.

Zapowiada modernizację aeroportu i budowę pasa startowego, a potrzebę budowy większego, starosądeckiego widzi dopiero za 20 lat. Gospodarz Łososiny Dolnej i szef Związku Gmin Jeziora Rożnowskiego ubolewa, że wsparcie rozwoju akwenu i jego odmulania pozostają w sferze deklaracji władz państwowych i nie idzie za nimi konkretne działanie. Opowiada też o działaniach gminy dla poszkodowanych w wyniku powodzi z 2010 roku i o nowoczesnym monitoringu na rzece, dzięki któremu można śledzić poziom wody w Łososinie.

***

Coraz głośniej o budowie lotniska pod Starym Sączem, podobno Łososina już się z tym pogodziła. Tak jest?

– Były burmistrz, dziś poseł Marian Cycoń już wybudował lotnisko medialnie. Lobbing zrobił odpowiedni i w sumie chwała mu, podziwiam go za charyzmę. Pomysł jest dobry, ale jeszcze – jak na dzisiejsze czasy – zbyt wczesny. Ponieważ nie ma w Polsce dużego zapotrzebowania na loty i ta komunikacja lotnicza na poziomie regionu jeszcze nie jest powszechna.

Może nie ma zapotrzebowania dlatego, że mamy za małą ofertę?

– Koszty utrzymania lotniska pasażerskiego, nawet mini, regionalnego, są bardzo wysokie. Nie wiem dokładnie jakie, ale jestem realistą i zdaję sobie sprawę, że sporo kosztują urządzenia lotniskowe, przeglądy, kontrole itd. Dwa – ileż tych ludzi może tu przylecieć, jeżeli bilet lotniczy nie może konkurować cenowo z autokarowym?

FOT. BW

Ale chodzi o czas, to jest czasem ważne.

– To są wyjątki. Jakiś procent ludzi ma pieniądze, a ci mają prywatne samoloty i nimi się przemieszczają. Natomiast jeśli chodzi o nasze lotnisko, to my budować nie musimy, bo już je mamy. Myślimy o modernizacji tego lotniska, ale nie jako konkurencyjnego do Starego Sącza. Pas startowy u nas może mieć maksymalnie 800 metrów…

Na większe samoloty – za krótki.

– Na większe. Ale na dzisiejsze potrzeby nasze lotnisko po zmodernizowaniu wystarczy. W pełni może zaspokoić popyt na przeloty, który jest teraz. W międzyczasie świat pójdzie do przodu, bo wiemy, co zrobił wiek XX, a ten XXI też nie będzie stał w miejscu. I dla tych przyszłych potrzeb może powstawać lotnisko w Starym Sączu, nasze by się już wtedy dusiło. Może za 20 lat nasze lotnisko będzie już za ciasne, więc jak znalazł będzie to w Starym Sączu. Tam prawdopodobnie jest możliwość budowy lotniska o dłuższym pasie startowym, choć nie bez trudności. Ale to na razie gdybanie, są na początku bardzo długiej drogi, od spraw własnościowych poczynając.

A pieniądze na modernizację łososińskiego skąd chce pan wziąć?

– Rzecz jasna to nie będą małe pieniądze, więc zabiegać będziemy o wsparcie unijne. Nasza koncepcja jest bardziej realną do wykonania niż ta w Starym Sączu, bo gmina jest właścicielem gruntu, czyli sprawy własnościowe mamy uregulowane, księgę wieczystą założoną i możemy decydować.

Po modernizacji lotniska powinno być więcej turystów. Gmina będzie uatrakcyjniać Jezioro Rożnowskie i teren wokoło dla turystów?

– Związek Gmin Jeziora Rożnowskiego już od wielu lat prowadzi prace związane z rekultywacją zbiorników Rożnowa i Czchowa i otrzymuje środki w ramach programów Unii Europejskiej. Ale to kropla w morzu potrzeb, zwłaszcza wobec szkód, które wyrządza każda powódź. Już nie mówiąc o tym, co przez ponad 60 lat woda naniosła do Jeziora Rożnowskiego. Cały czas Dunajec nanosił różne muły. Niestety polityka państwa nie jest spójna i nie idzie w kierunku utrzymania, rekultywacji tych akwenów, które są, tylko raczej budowy nowych zbiorników retencyjnych. Mamy przykład Świnnej Poręby, są plany budowy mniejszych

zbiorników, a zadania związane z odmulaniem istniejących zbiorników ciężko wcisnąć do programu rządowego.

Kiedy w Tęgoborzy była minister rozwoju regionalnego Elżbieta Bieńkowska, powstał wspólny plan kilku burmistrzów na rozwój okolic jeziora i była mowa o wypromowaniu tego terenu.

– Tak. Pani minister była przychylna, ale temat zamknął się na spotkaniu i nie poszedł dalej. Powiem szczerze: mam wiele innych ważnych spraw, typu wodociągi dla mieszkańców, infrastruktura, kanalizacja, drogi. Jezioro jest bardziej dla turystów, mieszkańcy zyskują pośrednio poprzez ich pobyt, jednak spraw pilnych mam więcej.

Mamy wiosnę, o tej porze rosną zagrożenia powodziowe. Czy po powodzi z 2010 roku jesteśmy bardziej na to przygotowani?

– Po tamtej powodzi i osuwiskach, jakie uruchomiły się w jej następstwie, musieliśmy reagować na niektóre przypadki bardzo szybko. Zniszczone były drogi, kilka rodzin straciło dach nad głową. Musieliśmy więcej czasu tym ludziom poświęcać i zabiegać o środki. Byliśmy, po Kłodnem, pierwszą gminą, gdzie ludzie otrzymali pomoc i odbudowywali sobie domy sami. Poszedłem w innym kierunku, nie korzystałem z pomocy rządowej w trybie „budujemy i oddajemy ludziom", tylko „przekazujemy pieniądze przez ośrodek pomocy społecznej ludziom, oni budują, rozliczają się i dostają następną transzę".

Może za 20 lat nasze lotnisko będzie już za ciasne, więc jak znalazł będzie to w Starym Sączu.

Nie budowali się już w tych samych miejscach, w których powstały osuwiska?

– Nie mogli w tych samych! Muszą mieć pozwolenia na budowę, badania geologiczne, no i bez sensu by było budować w tym miejscu, gdzie dom im niedawno popłynął.

Czyli problem osuwiskowy ma pan zamknięty?

– Nie, nic błędniejszego! On jest częściowo zażegnany dla tych ludzi, których domy uległy zniszczeniu i mieli nakazy rozbiórki. Ale to jest duży problem, który jest i będzie, bo całe tereny, hektary gruntów pojechały, już nie mówiąc o infrastrukturze, kanalizacyjnej, wodociągowej, czy gazu ziemnego. Trzeba wyjść z założenia następującego: osuwiska nie da się zatrzymać. Z osuwiskami należy nauczyć się żyć.

Jak?

– Przede wszystkim nie budować w miejscach, które są zagrożone osuwiskami. Budować w miejscach pewnych, geologicznie zbadanych. Można uprawiać tamte tereny, na ile jest to możliwe, ale nie powodując ich erozji. Czyli zakładać łąki, pastwiska czy ewentualnie lasy, a nie robić półek, gruntów ornych, to wszystko bowiem powoduje, że woda wsiąka i teren jest narażony na osunięcie się.

Z powodu osuwisk trzeba było zmienić plan zagospodarowania?

– Nie zmienialiśmy miejscowego planu, jedynie w kilku przypadkach wyłączyliśmy tereny, które były budowlane, a są na terenach osuwiskowych. Natomiast generalnie nie przymierzamy się do zmiany planu, bo musielibyśmy bardzo dużo terenów wyłączyć spod budownictwa mieszkaniowego. A w ustawie o planowaniu przestrzennym jest zapis: jeżeli w wyniku zmiany planu działka traci wartość, to gmina ma obowiązek wypłacić odszkodowanie, tę różnicę między wartością gruntu jako terenu budowlanego a jako rolnego. Ja na to pozwolić sobie nie mogę, bo pieniędzy na to nie ma.

A jeśli ktoś będzie się tam chciał pobudować?

– To po pierwsze musi mieć badania geologiczne i jeżeli geolog podpisze się pod tym, to oczywiście administracja – w tym wypadku starostwo – nie może mu odmówić. Natomiast jedna trzecia terenów u nas to są tereny osuwiskowe. Czynne lub potencjalne osuwiska.

Czyli trzeba liczyć tylko na to, że ludzie z rozsądku nie będą się na nich budować.

– Ludzie powinni podejść do tego rozsądnie. Tłumaczyłem na zebraniach wiejskich, czym grozi robienie lobbingu, żeby przekwalifikować im te tereny na budowlane, choć według map geologicznych wychodziło, że tam są potencjalne osuwiska. Zawsze mówili: „Tam nigdy osuwiska nie było, drzewa rosną, domy stare wybudowane są". Dawałem im więc na zebraniach jako przykład zdjęcie: dom z okresu międzywojennego, drewniany, obok wybudowany nowy i co się okazuje – w 2010 roku pojechał jeden i drugi. Wyciągnijcie wniosek: Mówicie, że nigdy nie jechało? Nie jechało, aż przyszedł rok 2010 i pojechały oba domy.

Powodzi w niektórych miejscach też sto lat nie było, a w sto pierwszym roku przyszła...

– Tak. Bardziej do wyobraźni i rozsądku ludzi trzeba przemawiać, niż administracyjnie, gdyż ustawa o planowaniu przestrzennym nie przewiduje innych regulacji na wypadek klęsk żywiołowych. To po prostu jest prawo miejscowe i gmina decyduje, gdzie jaki teren ma być, ponosząc tego konsekwencje.

A co z zagrożeniem osuwiskowym dla komunikacji?

– To też jest problem, z którym się borykamy, borykać będziemy i musimy się nauczyć z tym żyć. Jedynie naprawiać możemy. Gdzie jest możliwość – zabezpieczać te osuwiska, stabilizować. Jest to bardzo kosztowne i czasem się nie opłaca stabilizacji wykonać, tylko naprawiać, lepić, by utrzymać przejezdność drogi. Najlepszym przykładem jest droga krajowa nr 75 z Justu – Generalna Dyrekcja Dróg Krajowych praktycznie nie planuje zabezpieczenia i stabilizacji tego odcinka drogi, tylko łata kolejne uskoki, aby utrzymać przejezdność. A ta góra płynie, w 2010 roku wykonawcy już sprzętu stamtąd nie zabierali, tylko trzymali obok, bo codziennie trzeba było coś poprawić. Według badań Państwowego Instytutu Geologicznego, ona ma poślizg na dwóch płaszczyznach: jeden jest na kilku metrach głębokości, drugi na kilkunastu. Dwa górotwory, które się przesuwają. Przy drodze były założone tzw. sondy, które w trakcie osuwisk po powodzi w 2010 r. zostały przerwane z powodu dużego przemieszczenia się tego odcinka drogi.

W ubiegłym roku gmina zainstalowała na rzece Łososina we Wronowicach monitoring powodziowy, wskazujący poziom wody.

System ostrzegania lepiej działa niż kiedyś?

– Jeśli chodzi o osuwiska, to nie ma systemu. A powodzie dotyczą tylko części gminy, od Justu w kierunku Brzeska. Rejon Tęgoborzy nie jest zagrożony z uwagi na jezioro – jeśli poziom wody będzie zbyt spiętrzony, muszą puścić wodę na zaporze. Zagrożeniem jest głównie rzeka Łososina. Ona robi największe szkody w czasie powodzi. Dlatego w ubiegłym roku gmina zainstalowała na rzece Łososina we Wronowicach monitoring powodziowy, wskazujący poziom wody. Każdy, wchodząc na stronę internetową gminy www.lososina.pl i klikając na baner „MONITORING POWODZIOWY" może śledzić poziom wody. Dzięki niemu obserwujemy historię stanu wody, a także prognozę i możemy podejmować odpowiednie decyzje.

Ściśle współpracujemy też z gminami Laskowa i Limanowa, w okresie wezbrań rzek kontaktujemy się, przekazujemy sobie, jaki jest u nich i u nas poziom wód. Jest także tradycyjne odczytywanie z łaty, która jest na moście w Łososinie Dolnej i już wiem, że jeżeli tam jest 190 cm to jest jeszcze bezpiecznie, ale jak wyjdzie 290 cm, to Witowice będą zalane. Od poziomu 190 cm cały czas kontrolujemy, czy zatrzymuje się, czy rośnie i jeśli trzeba – alarmujemy mieszkańców. Witowice mamy przy ujściu do Jeziora Czchowskiego i tam jest największy problem. Jak są ulewne deszcze, to też potoki wzbierają i robią szkody. I tak jesteśmy w tym szczęśliwym położeniu, że tylko jedna rzeka stwarza nam największe zagrożenie. Dunajec dla nas groźny nie jest.

Rozmawiała BERNADETA WASZKIELEWICZ

Katecheza w życiu młodego człowieka

Wiara odgrywa w życiu młodych ludzi bardzo ważną rolę, a ich religijność kształtuje przede wszystkim tradycja. Duży wpływ ma także katechizacja prowadzona na wszystkich etapach edukacji szkolnej.

W sądeckich szkołach praktycznie 100 proc. uczniów uczęszcza na lekcje religii. Ci, którzy z różnych powodów są zwolnieni z tych zajęć, to pojedyncze osoby.

– *Przez sam fakt uczestniczenia w katechezie można stwierdzić, że młodzież jest religijna. Ale deklaracja religijności nie zawsze przekłada się na praktykę* – mówi Józef, katecheta w jednej z sądeckich szkół.

Religia została wprowadzona do szkół we wrześniu 1990 r. na mocy instrukcji ministra edukacji narodowej z 30 sierpnia. Przez dwadzieścia lat obecności tego przedmiotu, kilkakrotnie zmieniała się jego podstawa programowa, nie zmieniał się natomiast cel lekcji: służenie uczniowi w jego pełnym rozwoju poprzez udzielanie odpowiedzi na najbardziej egzystencjalne pytania człowieka. Ogromna w tym rola katechetów, których podstawowym zadaniem jest wprowadzenie dzieci i młodzieży w świat wartości ewangelicznych, pomaganie im w odkrywaniu siebie i swoich talentów, wzmacnianie wiary, czy uczenie odpowiedzialności. Nie jest to łatwe w XXI wieku, kiedy rzeczywistość młodych kreują przede wszystkim media, w większości krytycznie nastawione do Kościoła.

– *Młodzi mają pewne pretensje, które wynikają z tego co pojawia w mediach. To jest obraz, który często trzeba korygować. Osobiście lubię, kiedy młodzież stawia trudne pytania, nawet te dotyczące Kościoła. Przy kontrowersyjnych tematach tłumaczę im, że Kościół to nie tylko kapłani, ale że tworzymy go my wszyscy. Próbuję im uświadomić, że więcej dobra wypłynie z chwili modlitwy, niż naiwnego powtarzania zasłyszanych w telewizji historii* – dodaje katecheta.

Lekcje katechezy uczą miłości do Boga i bliźniego, uczciwości, prawdomówności, czystości, pracowitości i modlitwy. Poruszają także kwestie społeczne takie jak obrona życia, eutanazja czy zapłodnienie in vitro. Katechetom trudno jest też uciec od wydarzeń, którymi w danej chwili żyje cała Polska.

– *Nie jest łatwo dotrzeć z przekazem ewangelicznym do młodych, bo żyją oni w świecie internetu, telefonów i telewizji. Dlatego tak ważny jest przykład dawany przez dorosłych. Bez względu na to co myślą i jak odbierają pewne kwestie, zawsze warto im też pokazywać pewne rzeczy poprzez obraz. Szkoda, że nowa podstawa programowa wyrzuca katechezę trochę poza nawias* – mówi katecheta.

– Przez sam fakt uczestniczenia w katechezie można stwierdzić, że młodzież jest religijna. Ale deklaracja religijności nie zawsze przekłada się na praktykę

JÓZEF, KATECHETA W JEDNEJ Z SĄDECKICH SZKÓŁ

Przypomnijmy, że rozporządzenie minister edukacji narodowej Krystyny Szumilas usuwa religię z ramowego programu nauczania w poszczególnych typach szkół, na który państwo zapewnia subwencję oświatową.

KINGA BEDNARCZYK

Nauczanie religii w szkole gwarantuje ustawa

W kwestii nauczania religii w szkole, stosowne rozporządzenia może wydawać minister edukacji narodowej, ale tylko w porozumieniu z Konferencją Episkopatu Polski. Prawo zabrania zatem jednostronnej zmiany obowiązującego rozporządzenia.

W związku z doniesieniami mediów, jakoby MEN chciał wyłączenia nauczania religii ze szkolnego planu przedmiotów – pracownicy KUL przygotowali analizę prawną tej sprawy.

Autorzy poprzez analizę głównych dokumentów prawnych dotyczących nauczania religii w polskiej szkole, tj. Konstytucji Rzeczypospolitej Polskiej, Konkordatu pomiędzy Stolicą Apostolską a Rzeczpospolitą Polską, ustawy o systemie oświaty oraz rozporządzenia ministra edukacji narodowej w sprawie warunków i sposobu organizowania nauki religii w publicznych przedszkolach i szkołach udowadniają, że obawy o pozycję religii w szkołach są bezpodstawne, a religia była (poza okresem komunizmu), jest i będzie prowadzona w przedszkolach i szkołach, bo tam jest jej właściwe miejsce.

PRAWO DO NAUCZANIA RELIGII

Nauczanie religii katolickiej w polskim systemie edukacji trwa już ponad 20 lat i zadomowiło się tam na dobre. Pomimo pojedynczych głosów krytyki religia w szkole jest odbierana pozytywnie zarówno przez dzieci i młodzież, jak i przez ich rodziców. Niestety w ostatnim czasie pojawiają się niepokojące opinie a nawet akty prawne zagrażające nauczaniu religii w przedszkolach i szkołach publicznych. Niestety nie są to już jedynie pojedyncze głosy politycznych desperatów, ale decyzje poważnych organów.

W celu ustalenia na ile stabilna jest obecność nauki religii w polskiej szkole i jakie ewentualne możliwości usunięcia religii ze szkoły mają jej przeciwnicy została podjęta szczegółowa analiza aktów prawnych dotyczących tej kwestii.

Według art. 87 ust. 1 Konstytucji Rzeczypospolitej Polskiej z 1997 roku: „Źródłami powszechnie obowiązującego prawa Rzeczypospolitej Polskiej są: Konstytucja, ustawy, ratyfikowane umowy międzynarodowe oraz rozporządzenia". Zostaną więc poddane analizie, pod kątem gwarancji nauczania religii w publicznym systemie oświaty, następujące dokumenty: Konstytucja Rzeczypospolitej Polskiej, Konkordat pomiędzy Stolicą Apostolską a Rzeczpospolitą Polską, Ustawa o systemie oświaty oraz Rozporządzenie Ministra Edukacji Narodowej w sprawie warunków i sposobu organizowania nauki religii w publicznych przedszkolach i szkołach.

KONSTYTUCJA RZECZPOSPOLITEJ POLSKIEJ

Obowiązująca aktualnie konstytucja została uchwalona 2 kwietnia 1997 r. przez Zgromadzenie Narodowe a jej tekst ogłoszono 16 lipca tego roku w Dzienniku Ustaw (Dz. U. Nr 78 poz. 483). Konstytucja ze względu na swój charakter nie zawiera szczegółowych rozstrzygnięć, lecz raczej określa pryncypia i wytycza kierunki. Tak też należy interpretować wszystkie zapisy tego dokumentu dotyczące omawianej kwestii.

Konstytucja RP już w art. 48 ust. 1 stwierdza: „Rodzice mają prawo do wychowania dzieci zgodnie z własnymi przekonaniami. Wychowanie to powinno uwzględniać stopień dojrzałości dziecka, a także wolność jego sumienia i wyznania oraz jego przekonania". Ten ogólny jeszcze zapis daje rodzicom prawo decydowania

o kierunku wychowania dzieci, także jeśli chodzi o wychowanie światopoglądowe i religijne. Bardzo istotny, w odniesieniu do nauczania religii w szkole jest art. 53. ustęp czwarty. Ze względu na jego ważność zostaje przytoczony w całości: „Religia kościoła lub innego związku wyznaniowego o uregulowanej sytuacji prawnej może być przedmiotem nauczania w szkole, przy czym nie może być naruszona wolność sumienia i religii innych osób".

To właśnie art. 53 ust. 4 Konstytucji Rzeczypospolitej Polskiej daje podstawę do nauczania religii w szkole, choć oczywiście nie zawiera jeszcze żadnych szczegółowych rozstrzygnięć. Konstytucja ze swej natury stanowi punkt odniesienia dla wszystkich późniejszych ustaw i rozporządzeń. Nie ulega zatem wątpliwości, że nauczanie religii w szkole jest zgodne z obowiązującą Konstytucją Rzeczypospolitej Polskiej. Ponadto Konstytucja w art. 25 ust. 4 stwierdza, że „stosunki między Rzeczpospolitą Polską a Kościołem Katolickim określają: umowa międzynarodowa zawarta ze Stolicą Apostolską i ustawy". W następnej kolejności zostaną więc poddane analizie: Konkordat, ustawy oraz rozporządzenia dotyczące omawianej kwestii.

(Trybunał Konstytucyjny odpowiadając na skargę Rzecznika Praw Obywatelskich dwukrotnie uznał zgodność nauczania religii w szkołach publicznych z obowiązującym porządkiem prawnym (30 stycznia 1991 r. oraz 20 kwietnia 1993 r.).

Konkordat pomiędzy Stolicą Apostolską a Rzeczpospolitą Polską

Konstytucja w art. 25 ust. 4 stwierdza, że „stosunki między Rzeczpospolitą Polską a Kościołem Katolickim określają: umowa międzynarodowa zawarta ze Stolicą Apostolską i ustawy".

Konkordat to „międzynarodowa umowa między Stolicą Apostolską a państwem, regulująca status prawny Kościoła katolickiego w danym kraju i będąca źródłem kościelnego prawa partykularnego na jego terenie". Konkordat ze swej natury traktuje o gwarancjach wolności religijnej w wymiarze indywidualnym oraz wspólnotowym i instytucjonalnym3 i służy zagwarantowaniu wolności religijnej w sposób sprecyzowany. Bardzo istotny jest fakt, że konkordat ma rangę umowy międzynarodowej.

Konkordat taki zawarto pomiędzy Stolicą Apostolską a rządem Rzeczypospolitej Polskiej 28 lipca 1993 r. Prezydent podpisał Konkordat 23 lutego 1998 r. a wszedł on w życie 25 kwietnia 1998 r. (Dz. U. Nr 51, poz. 319). Oprócz wielu różnych kwestii dokument ten odnosi się do nauczania religii w ramach systemu edukacji narodowej. Najistotniejsze ustalenia w tym względzie skupiają się w artykule 12 ust. 1, którego brzmienie zostaje przytoczone w całości: „Uznając prawo rodziców do religijnego wychowania dzieci oraz zasadę tolerancji Państwo gwarantuje, że szkoły publiczne podstawowe i ponadpodstawowe oraz przedszkola, prowadzone przez organy administracji państwowej i samorządowej, organizują zgodnie z wolą zainteresowanych naukę religii w ramach planu zajęć szkolnych i przedszkolnych".

Treść tego artykułu jest niezwykle istotna zważając na fakt, że konkordat ma rangę umowy międzynarodowej. Co ważne, konkordat gwarantuje nauczanie religii począwszy od przedszkola do szkół ponadpodstawowych (w dzisiejszym systemie edukacji w gimnazjach i szkołach ponadgimnazjalnych) włącznie a więc objęcie katechezą szkolną dzieci i młodzieży na przestrzeni kilkunastu lat. Ważne jest to, że Konkordat powagą umowy międzynarodowej gwarantuje obecność nauczania religii w publicznym systemie oświaty.

Wobec ostatnich wydarzeń pojawia się jednak pytanie o ewentualną możliwość zmiany takiego zapisu. Ze względu na fakt, iż Konkordat jest umową międzynarodową podlega przepisom dotyczącym takich właśnie umów.

Konstytucja RP w art. 89 dopuszcza możliwość wypowiedzenia umowy międzynarodowej i precyzuje, że zasady oraz tryb tego rodzaju zadań określa ustawa. Ustawa o umowach międzynarodowych została uchwalona 14 kwietnia 2000 r. (Dz.U. Nr 39, poz. 443) i określa, że do ewentualnego wypowiedzenia lub zmiany zakresu obowiązywania umowy międzynarodowej konieczna jest zgoda wyrażona w ustawie i zgoda prezydenta RP. (Art. 25 ust. 1-3).

Jednakże w odniesieniu do tej samej kwestii artykuł 91 ust. 2 Konstytucji RP stwierdza: „Umowa międzynarodowa ratyfikowana za uprzednią zgodą wyrażoną w ustawie ma pierwszeństwo przed ustawą, jeżeli ustawy tej nie da się pogodzić z umową". Według oceny prawników zapis ten jednoznacznie uznaje wyższość umów międzynarodowych nad prawem wewnętrznym.

Ponadto Konwencja Wiedeńska o Prawie Traktatów z 1969 r., która weszła w życie w stosunku do Polski 1 sierpnia 1990 r. (Dz. U. Nr 74 poz. 439. załącznik) w art. 56 stwierdza:

1. „Traktat, który nie zawiera postanowienia dotyczącego jego wygaśnięcia

i nie przewiduje wypowiedzenia ani wycofania się z niego, nie podlega wypowiedzeniu ani wycofaniu się z niego, chyba że:

a) ustalono, że strony miały zamiar dopuścić możliwość wypowiedzenia lub wycofania się, bądź

b) prawa do wypowiedzenia lub wycofania się można domniemywać się z charakteru traktatu.

2. Strona powinna notyfikować co najmniej na dwanaście miesięcy naprzód swój zamiar wypowiedzenia traktatu lub wycofania się z niego na dwanaście miesięcy naprzód swój zamiar wypowiedzenia traktatu lub wycofania się z niego na podstawie ustępu 1".

Konkordat nie zawiera ustaleń dopuszczających możliwość wypowiedzenia go lub wycofania się. Podpisany przez prezydenta ostateczny tekst tego dokumentu kończy się bowiem słowami:

„Po zaznajomieniu się z powyższym Konkordatem, w imieniu Rzeczypospolitej Polskiej oświadczam, że

– został on uznany za słuszny zarówno w całości, jak i każde z postanowień w nim zawartych,

– jest przyjęty, ratyfikowany i potwierdzony,

– będzie niezmiennie zachowywany".

W myśl więc art. 12 ust. 1 Konkordatu nauczanie religii w przedszkolu i szkole wydaje się być przesądzone. Jego gwarantem są umowy międzynarodowe a jest to jedno z najmocniejszych umocowań prawnych jakie istnieją.

USTAWA O SYSTEMIE OŚWIATY

Aktualnie obowiązująca ustawa o systemie oświaty została uchwalona 7 września 1991 r. (Dz.U. Nr 95, poz. 425) i była wielokrotnie nowelizowana. Ustawa z 25 lipca 1998 r. o zmianie ustawy o systemie oświaty (Dz.U. Nr 117, poz. 759) określa brzmienie artykułu 12 ust. 1. ustawy z 7 września 1991 r. na następujące: „Publiczne przedszkola, szkoły podstawowe i gimnazja organizują naukę religii na życzenie rodziców, publiczne szkoły ponadgimnazjalne na życzenie bądź rodziców, bądź samych uczniów; po osiągnięciu pełnoletności o pobieraniu nauki religii decydują uczniowie".

W myśl więc art. 12 ust. 1 Konkordatu nauczanie religii w przedszkolu i szkole wydaje się być przesądzone. Jego gwarantem są umowy międzynarodowe a jest to jedno z najmocniejszych umocowań prawnych jakie istnieją.

Powyższe sformułowanie gwarantuje nauczanie religii w publicznych przedszkolach, szkołach podstawowych, gimnazjach i szkołach ponadgimnazjalnych.

Rozporządzenie Ministra Edukacji Narodowej w sprawie warunków i sposobu organizowania nauki religii w publicznych przedszkolach i szkołach

Szczegółowe uwarunkowania nauczania religii w szkole określa Rozporządzenie Ministra Edukacji Narodowej z dn. 14 kwietnia 1992 r. w sprawie warunków i sposobu organizowania nauki religii w publicznych przedszkolach i szkołach (Dz.U. Nr 36, poz. 155). Zmiany do tego dokumentu wprowadziło rozporządzenie z dnia 30 czerwca 1999 r. (Dz.U. Nr 67, poz. 753). W rozporządzeniu tym par. 1. ust. 1 brzmi: „W publicznych przedszkolach organizuje się, w ramach planu zajęć przedszkolnych, naukę religii na życzenie rodziców (opiekunów prawnych). W publicznych szkołach podstawowych, gimnazjach, ponadpodstawowych i ponadgimnazjalnych, zwanych dalej „szkołami", organizuje się w ramach planu zajęć szkolnych naukę religii i etyki:

1) w szkołach podstawowych i gimnazjach – na życzenie rodziców (opiekunów prawnych),

2) w szkołach ponadpodstawowych i ponadgimnazjalnych – na życzenie bądź rodziców (opiekunów prawnych), bądź samych uczniów; po osiągnięciu pełnoletności o pobieraniu religii i etyki decydują sami uczniowie".

JEDNOSTRONNE ZMIANY ZŁAMANIEM PRAWA

Ustawa o systemie oświaty z 7 września 1991 r. w art. 12 ust. 2. określa, że rozporządzenie regulujące kwestie nauczania religii może wydać „Minister właściwy do spraw oświaty i wychowania w porozumieniu z władzami Kościoła Katolickiego i Polskiego Autokefalicznego Kościoła Prawosławnego oraz innych kościołów i związków wyznaniowych". Jak więc jednoznacznie wynika z powyższego zapisu rozporządzenie takie wydaje minister, ale w porozumieniu z Konferencją Episkopatu Polski. Prawo zabrania zatem jednostronnej zmiany obowiązującego rozporządzenia.

***

Poprzez analizę głównych dokumentów prawnych dotyczących nauczania religii w polskiej szkole tj. Konstytucji Rzeczypospolitej Polskiej, Konkordatu pomiędzy Stolicą Apostolską a Rzeczpospolitą Polską, Ustawy o systemie oświaty oraz Rozporządzenia Ministra Edukacji Narodowej w sprawie warunków i sposobu organizowania nauki religii w publicznych przedszkolach i szkołach dowiedziono, że głosy przeciwników religii w publicznym systemie oświaty w Polsce należy traktować jako bezpodstawne. Było ono (poza okresem komunizmu), jest i będzie prowadzone w przedszkolach i szkołach, bo tam jest jego właściwe miejsce.

Źródło: KATECHETYKA.EU

W dniach 6-7 grudnia w Nowym Sączu i Niskowej odbyło się sympozjum pt. „Ks. profesor Bolesław Kumor na tle epoki", zorganizowane przez Fundację Sądecką w piątą rocznicę śmierci wybitnego historyka Kościoła. Poniżej zapis jednej z debat zatytułowanej „Duchowni diecezji tarnowskiej w połowie XX wieku", która ukazała się w pokonferencyjnej publikacji, wydanej przez FS.

W dyskusji, moderowanej przez Henryka Szewczyka, uczestniczyli: ks. prałat Józef Babicz, ks. prałat Marian Stepień, ówczesny proboszcz Trzetrzewiny, ks. Jerzy Krzanowski z Podegrodzia i nieżyjący już ks. prałat Jan Pancerz, emerytowany proboszcz parafii św. Heleny w Nowym Sączu.

Myśmy tej sprawy nie przegapili!

Lata 50. zeszłego stulecia to czas wielkiej próby dla Kościoła w Polsce, poddanego prześladowaniom komunistycznego państwa, które wypisało na swoich sztandarach ateizm i walkę z religią. Kościół wyszedł zwycięsko z tej próby dzięki niezłomnej postawie uwięzionego przez komunistów księdza kardynała Stefana Wyszyńskiego, Prymasa Polski, oraz głębokiej religijności Polaków. Po okresie stalinowskich represji, w 1956 r. przyszedł czas krótkotrwałej „odwilży". Potem komuniści znowu „przykręcili śrubę", a le już nigdy walka z Kościołem nie przyjęła tak brutalnych form, jak w pierwszej połowie zeszłego stulecia. Prześladowania, paradoksalnie, wzmocniły Kościół polski. Wzrosła pobożność wiernych. Świątynie były pełne, narodziło się wiele nowatorskich inicjatyw duszpasterskich.

***

Ks. Jan Pancerz do seminarium tarnowskiego wstąpił w 1956 r. Pamięta „polski październik" i Powstanie Węgierskie. – *Po sześciu latach seminarium poszliśmy na parafie. Nic wtedy nie wolno było robić, komuniści chcieli zamknąć wiernych w kruchcie. Religię wyrzucono ze szkoły, nie wolno było organizować się w stowarzyszenia przykościelne ani zrzeszać młodzieży. Czy mieliśmy spuścić głowy i czekać co się będzie działo? Nie!* – powiedział twardo ks. Pancerz. Potrzebą chwili było zorganizowanie katechizacji uczniów poza szkołą. Dzieci uczyły się religii w zakrystiach, na wieżach kościelnych, w domach prywatnych. Jeżeli ktoś wynajął izbę na katechizację młodzieży, to był pod szczególną „kuratelą" władz. Ks. Pancerz pracował wtedy w parafii św. Małgorzaty w Nowym Sączu.

– Religię wyrzucono ze szkoły, nie wolno było organizować się w stowarzyszenia przykościelne ani zrzeszać młodzieży. Czy mieliśmy spuścić głowy i czekać co się będzie działo? Nie!

KS. PRAŁAT JAN PANCERZ

Ks. prałat Jan Pancerz

Uczył dzieci religii na wieży kolegiaty. Po 5, 6 raz dziennie wyprowadzał w górę i sprowadzał w dół swoje klasy. Po drodze trzeba było pokonać kilkaset krętych, stromych schodów. Należało bardzo uważać. Na szczęście żadnemu uczniowi nigdy nic złego się nie stało. Gdy później ks. Pancerz pracował w Tarnowie, to katechizował uczniów w Technikum Mechanicznego na drugim, niż szkoła, końcu miasta. – *Przychodzili na religię po lekcjach w szkole, kiedy im się już chciało iść do domu, a mimo to przychodzili. Nawet nie musiałem sprawdzać obecności. Kto był w szkole, był i na katechezie* – wspominał kapłan. W następnych latach rozpoczął się ruch oazowy, sól w oku władzy komunistycznej. Na Sądecczyźnie, w dolinie Popradu i dolnie Dunajca, przebywało latem wiele grup oazowych. Młodzież miała dzień wypełniony modlitwą i wypoczynkiem wg wskazań założyciela Ruchu „Światło życie", księdza Franciszka Blachnickiego, obecnie kandydata na ołtarze. Centrum ruchu znajdowało się na Kopiej Górce w Krościenku. Oazowicze kwaterowali po starych plebaniach, organistówkach, domach prywatnych. Gdy władze urządzały „naloty", pod pozorem kontroli legalności takich „obozów" i „kolonii", to dziewczęta i chłopcy chowali się do lasu. – *Zawsze jakaś dobra dusza w porę nas ostrzegła, często było to sołtys wsi, gdzie przebywaliśmy. Władze nachodziły sołtysów i rozpytywały o nas, ale w sołtysach mieliśmy sprzymierzeńców* – uśmiechnął się do wspomnień ks. Pancerz. Nie przypomina sobie żadnego nieszczęśliwego wypadku na prowadzonych przez siebie oazach, pomimo panujących tam spartańskich warunków. – *Myśmy tej sprawy, pracy z młodzieżą nie przespali, nie przegapili!* – zakończył z dumą emerytowany proboszcz parafii św. Heleny w Nowym Sączu.

***

– Przychodzili na religię po lekcjach w szkole, kiedy im się już chciało iść do domu, a mimo to przychodzili. Nawet nie musiałem sprawdzać obecności.

KS. PRAŁAT JAN PANCERZ

Ks. Józef Babicz, proboszcz parafii w Marcinkowicach, opowiedział, jak jego poprzednikowi, a zarazem wujowi, ks. prałatowi Janowi Górze, udało się wraz z parafianami wybudować piękny kościół w najczarniejsza noc stalinowską (1952). To była gehenna. Jeżeli proboszcz dostał pozwolenie na budowę kościoła, to nie znaczyło, że dostał zezwolenie na materiały budowlane. Panował wówczas system asygnat. Na budowę kościoła asygnaty nie przysługiwały. – *Nasz kościół budowano*

na sposób mrówczy – mówił ks. Babicz i zaraz wyjaśnił, co to znaczy. Parafianie dostawali asygnaty na materiał budowlany w celu postawienia stajni lub stodoły i zdobyty w ten sposób cement, wapno, drut zbrojeniowy znosili proboszczowi. „Nielegalny" materiał ukrywano w różnych miejscach. Ormowcy nie spali, na szczęście parafia była „zgrana". – *Opowiadał mi jeden z nieżyjących już gospodarzy* – ciągnął swoją opowieść ks. Babicz – *jak raz wiózł furmanką z Nowego Sącza materiał na kościół. Został ostrzeżony, że w Rdziostowie czeka na niego milicja. Zawrócił konia, przejechał całe miasto i przez Zawadkę, okrężną drogą szczęśliwie dojechał do Marcinkowic.*

Budowa kościoła raz po raz była wstrzymywana, a władza nakładała grzywny na proboszcza. Ks. Góra kar pieniężnych nie płacił, bo nie miał z czego. Skończyło się to wizytą komornika, który zajął wszystkie meble na plebanii. Wtedy ks. Góra poprosił parafian o nacięcie surowych pniaków i kazał je rozstawić w pokoju gościnnym. – *Ta ostentacja hańbiła władze* – uważa ks. Babicz. Gdy przejął parafię na początku lat 90. ub. wieku i zabrał się za budowę Domu Parafialnego im. Księdza Jerzego Popiełuszki, to się okazało, że kościół jest „nielegalny". W połowie zabudowania kościelne stały na gruncie skarbu państwa. Długo trwało wyprostowanie absurdów z przeszłości.

Ks. Jan Pancerz budował kościół pw. Krzyża Świętego na Helenie w Nowym Sączu w lepszych czasach. To były już lata 80. zeszłego stulecia, ale też lekko nie miał. – *Było pozwolenie na budowę, ale materiałów nie było. Nie było też pieniędzy, ale Pan Bóg był!* – oświadczył triumfalnie. Gdy pewnego razu proboszcza bieda docisnęła – musiał zapłacić w terminie wykonawcy większą kwotę pieniędzy, a kasa parafialna świeciła pustkami – to gorąco się modlił o wyjście z tej matni. Nieoczekiwanie, w drzwiach plebanii pojawił się znajomy ksiądz, staruszek, i wręczył gospodarzowi oszczędności całego życia. Bo jemu już są niepotrzebne. Dokładnie taką kwotę pieniędzy, jaką budowniczy kościoła potrzebował. – *Skąd on wiedział, że w takich jestem tarapatach. Historia nie do uwierzenia, ale tak było!* – stwierdził ks. Pancerz.

***

W czasach PRL powoływanie kleryków do wojska było jedną z form walki z Kościołem. Doświadczył tego na sobie ks. Józef Babicz. Istniały trzy jednostki kleryckie i różne taktyki postępowania z alumnami w mundurach. W Brzegu „rozmiękczano" kleryków cieplarnianymi warunkami. W Bartoszycach, gdzie odsługiwał wojsko ks. Jerzy Popiełuszko, postawiono na surowy reżim i gołą siłę. W Szczecinie, gdzie trafił ks. Babicz, jako alumn I roku seminarium tarnowskiego, też ostro postępowano z klerykami. – *Mieliśmy najgorsze jedzenie, nie dostawaliśmy urlopów w nagrodę, nie było możliwości awansu. Jeżeli kleryk wrócił z wojska z belką, to znaczyło, że poszedł na współpracę. Na czternastu kleryków z Tarnowa, tylko jeden się złamał* – zapamiętał ks. Józef. Klerykom urządzano mnóstwo zajęć politycznych. Oglądanie dziennika telewizyjnego było obowiązkowe, kapral pilnował, żeby nikt nie spał. „Pranie mózgu" nie dało żadnych efektów, również dlatego, że kadra politruków stała na bardzo niskim poziomie. – *Wróciliśmy z wojska rozmodleni, koszary bardzo wyidealizowały seminarium* – wspomina ks. Babicz. Ma żal, że dziś nikt już nie pamięta o klery-

Ks. prałat Marian Stępień

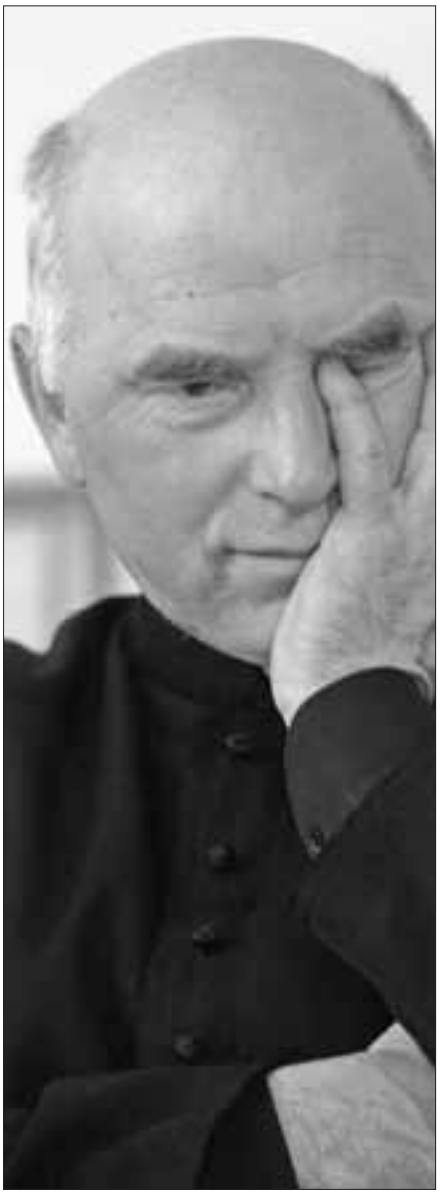
Ks. prałat Józef Babicz

Ks. Jerzy Krzanowski

kach na dwa lata „więzionych" w jednostkach wojskowych.

Kiedy reżim stalinowski był w rozkwicie, bezpieka szalała, tysiące najlepszych Polaków, nie wyłączając księży, siedziało w więzieniach, to seminarium tarnowskie pękało w szwach. W 1952 roku zgłosiło się 70 kandydatów do kapłaństwa, w 7 lat później teologię i filozofię studiowało w Tarnowie 184 alumnów.

Ks. Jerzy Krzanowski z Podegrodzia zastanawiał się nad fenomenem powołań kapłańskich w diecezji tarnowskiej, nazywanej ziemią kapłańską. – *Odpowiedź na to pytanie leży w tej ziemi i w tych rodzinach* – mówił. – To są rodziny katolickie, które są związane ziemią. Własność ziemi, nawet niewielkiego skrawka gruntu, ma ogromne znaczenie dla religijności i patriotyzmu. Praca na roli zależna jest od Boga i przebiega w rytm cyklu przyrody. Z głęboka wiarą religijną, uważa ks. Krzanowski, związany jest także szacunek dla rodziców i tradycji, bo jedno z drugiego wynika. Wiara stanowi o stałości rodzin i małżeństw. – *U nas ciągle notuje się najmniejszą liczbę rozwodów. Rodzina jest o wiele zdrowsza, niż w innych regionach kraju, gdzie ludzie się zagubili. Wyrwani ze swoich korzeni, stracili kontakt z kulturą i tradycją* – tłumaczył ks. Jerzy. Uważa, że liczne powołania kapłańskie są owocem pracy pokoleń księży, którzy wcześniej tu pracowali. To przede wszystkim zasługa wielkiego arcybiskupa Leona Wałęgi, który przed I wojną światową założył w Tarnowie Małe Seminarium dla młodzieży chłopskiej, których rodziców nie było stać na opłacenie nauki syna w gimnazjum. – *Z duszpasterstwem jest jak z lasem, który się sadzi. Dopiero dzieci i wnuki tego, który sadził las, mogą korzystać z jego uroków* – stwierdził mówca.

Ks. Marian Stepień, proboszcz parafii w Trzetrzewinie, w tym samym roku co ks. Jan Pancerz wstąpił do seminarium tarnowskiego. Opowiadał, jak wielkim szacunkiem klerycy darzyli swoich profesorów i wychowawców. Zawiązana w seminarium serdeczna więź przetrwała lata. – *Zapraszaliśmy ich na nasze zjazdy koleżeńskie, póki żyli* – mówił. – *Pamiętamy o nich w modlitwach, absolutnie profesorowie seminaryjni nie znikli z naszej świadomości. Większość z nich miała za sobą ciężkie przeżycia wojenne, niektórzy obóz w Dachau.* Przewodnik trzetrzewiańskiej wspólnoty parafialnej wskazał także na kolosalne różnice w warunkach pracy duszpasterskiej pokolenia księży z połowy ubiegłego wieku, z tymi jakie mają dzisiejsi katecheci. – *Wtedy nie było ksero* – tłumaczył. – *Brakowało papieru maszynowego, nie było żadnych pomocy katechetycznych, wszystko trzeba było przygotować ręcznie. Dziś nawet listy duszpasterskie ksiądz biskup przesyła na parafie poprzez Internet.*

– U nas ciągle notuje się najmniejszą liczbę rozwodów. Rodzina jest o wiele zdrowsza, niż w innych regionach kraju, gdzie ludzie się zagubili. Wyrwani ze swoich korzeni, stracili kontakt z kulturą i tradycją.

KS. JERZY KRZANOWSKI

Był tam, gdzie ludzkie życie nic nie znaczyło

Sądeczanin prof. Andrzej Łępkowski został uhonorowany Wawrzynem Lekarskim. Jego życiorys to wzruszająca powieść, sam spisał swe najboleśniejsze wspomnienia. Był więźniem KL Auschwitz, po wojnie aresztowała go UB za pomoc koledze związanemu z majorem Kurasiem „Ogniem"... Urodzony w Nowym Sączu swe życie zawodowe związał ze Śląskiem.

Ten wybitny laryngolog otrzymał 31 marca najwyższe odznaczenie Śląskiej Izby Lekarskiej, która tą nagrodą docenia nie tylko wiedzę i wieloletnią praktykę zawodową, ale także postawę życiową i etyczną. Wawrzyny Lekarskie otrzymują osoby, które należą do najlepszych specjalistów w swych dziedzinach, ale są też nauczycielami i mistrzami dla kolejnych pokoleń lekarzy.

Prof. Andrzej Łępkowski 16 sierpnia skończy już 90 lat. Jest autorem wspomnień obozowych: „Tak było...". Był bowiem więźniem KL Auschwitz. Numer obozowy 95845. Do tej pory nie wyblakł.

Z NOWEGO SĄCZA NA WOJNĘ

Urodził się w 1922 roku w Nowym Sączu. – Do wybuchu II wojny światowej ukończyłem I klasę liceum i w mundurze Przysposobienia Wojskowego wyruszyłem na wojnę. 17 września 1939 r. wraz z grupą żołnierzy, oficerów i policjantów zostaliśmy aresztowani przez armię radziecką w Starym Gwoździcu koło Kołomyi – opisuje swój życiorys autor „Tak było…". – *Z więzienia w Kołomyi zwolniono mnie po trzech tygodniach. W grudniu przedostałem się przez „zieloną granicę" do Nowego Sącza w Generalnym Gubernatorstwie. Tam spotkałem się z rodzicami i bratem. W maju 1942 roku zostałem wraz z rodziną aresztowany przez gestapo, w ramach akcji wymierzonej przeciw polskiej inteligencji oraz członkom Związku Walki Zbrojnej* – dodaje.

Z więzienia w Tarnowie Niemcy przewieźli całą rodzinę do obozu koncentracyjnego. Matka zmarła po kilku tygodniach pobytu w Auschwitz, ojciec i bracia przeżyli obóz, choć młody Andrzej był kilkakrotnie o krok od śmierci. Pod koniec wojny brali udział w tzw. marszu śmierci, ewakuacji z niemieckich obozów koncentracyjnych na zachód, którą zarządzali hitlerowcy gdy zbliżał się front. Ojciec i brat zostali na emigracji.

Łępkowski w 1945 r. wrócił do Nowego Sącza. Przeszedł skrócony kurs maturalny, zdał egzamin dojrzałości oraz wstępny na Wydział Lekarski Uniwersytetu Jagiellońskiego. Wtedy trafił w łapy drugiego reżimu. W więzieniu spędził trzy miesiące. – *Po ukończeniu pierwszego roku zostałem aresztowany przez Urząd Bezpieczeństwa za próbę pomocy w ucieczce koledze z Oświęcimia, oskarżanemu o współpracę z „Ogniem", majorem Józefem Kurasiem. Obaj pochodzili z Podhala i mieszkali w Nowym Targu* – wspomina Łępkowski.

W wywiadzie dla pisma „Pro Medica" opowiadał o aresztowaniu z wielkim smutkiem: – *Kiedy nas wieźli, trzymali nogi na naszych ciałach. Powiedziałem im wtedy: jesteście gorsi od hitlerowców. A oni: tak, jesteśmy gorsi. Byli bezwzględni. Jak nas z tego więzienia w końcu wypuścili, kupiliśmy z kolegami pół litra, wypiliśmy i poszli spać. Dramatem dla mnie było to, że po wojnie zetknąłem się znowu z następnym faszyzmem. Jestem antyfaszystą od stóp do głów.*

W listopadzie został zwolniony z więzienia i dzięki życzliwości ówczesnego dziekana prof. Glatzla przyjęto go na drugi rok studiów. Dyplom lekarza uzyskał w 1952 roku. Po studiach pracował w klinicznych ośrodkach akademickich na Śląsku. Pomógł mu bowiem, ściągając do pracy, prof. Tadeusz Ceypek, wówczas szef Kliniki Laryngologicznej Śląskiej Akademii Medycznej w Zabrzu. – *W czasie wędrówek po Tatrach spotkałem profesora Tadeusza Ceypka. Dzięki jego protekcji i mimo sprzeciwu Komisji Przydziału Pracy, zostałem asystentem w klinice. W Śląskiej Akademii Medycznej przepracowałem 50 lat. Kolejno obroniłem doktorat, później habilitację, a w 1988 r. zostałem mianowany profesorem* – opisuje laryngolog.

Organizował m.in. III Katedrę i Klinikę Laryngologii w Katowicach–Ochojcu i kierował nią do emerytury, na którą przeszedł w 1992 r. Jeszcze 10 lat pracował później w poradni przyszpitalnej. Był przewodniczącym Oddziału Śląskiego Polskiego Towarzystwa Otolaryngologicznego, członkiem Polskiej Akademii Nauk, wojewódzkim konsultantem ds. laryngologii. W jego dorobku naukowym znajdują się pionierskie prace dotyczące urazu akustycznego.

– Kiedy nas wieźli, trzymali nogi na naszych ciałach. Powiedziałem im wtedy: jesteście gorsi od hitlerowców. A oni: tak, jesteśmy gorsi. Byli bezwzględni. Jak nas z tego więzienia w końcu wypuścili, kupiliśmy z kolegami pół litra, wypiliśmy i poszli spać.

Mieszka w Zabrzu. Ma syna i córkę, która mieszka w Szwecji. Wnuk profesora, Emil, również wybrał medycynę.

Od rodzinnych stron prof. Andrzej Łępkowski się oddalił, pozostał jednak miłośnikiem gór. Uwielbia wędrówki, zwłaszcza tatrzańskie. Jest miłośnikiem narciarstwa alpejskiego, ale też tenisa i przede wszystkim – książek.

PRZEŻYŁEM, BO NIE MIAŁEM W SOBIE ZŁOŚCI

Na emeryturze wydał swoją autobiografię. – *Opisując moje wspomnienia i rozmyślania nad wydarzeniami, jakie miały miejsce w obozie, przedstawiłem to, co sam przeżyłem i widziałem. Chodziło mi tylko o to, żeby napisać i wydrukować to, co tkwiło we mnie tyle lat, żeby został dowód, przedstawiony przez człowieka, który tam był* – podkreślał.

Wspomnienia składają się z trzech części: W pierwszej z nich, zatytułowanej „Birkenau – obóz zagłady", profesor opisał drogę do Auschwitz–Birkenau, pracę przy budowie krematoriów, głód, choroby, maltretowanie przez esesmanów i niektórych więźniów funkcyjnych, ale też przykłady wspierania się więźniów i pomocy więźniów, dzięki której przeżył. W tej części znajduje się także opis m.in. zagłady Żydów, likwidacja familijnego obozu cygańskiego oraz dla Żydów z getta w Theresienstadt. Na koniec autor wspomina pobyt w obozie Buchenwald, gdzie go ewakuowano, ucieczkę wraz z grupą więźniów z obozu Leitmeritz (Litomierzyce) i pomoc, jakiej udzielili im Czesi.

W wywiadzie, którego udzielił Grażynie Ogrodowskiej dla pisma Śląskiej Izby Lekarskiej „Pro Medico" powiedział: – Zdumiewa mnie, że miałem tyle szczęścia.

Pogodny i życzliwy, opowiadał o swoich przeżyciach bez złości i żalu. Dziś, jak mówi, chodzi sobie powolutku tylko koło domu, ale kiedyś regularnie jeździł do KL Auschwitz–Birkenau. – *Moja matka zmarła tam już po trzech tygodniach obozu. Co roku przez lata jeździłem pod ruiny krematorium, ale tak naprawdę nie wiem, w którym ją spalili. Nie wytrzymała psychicznie. Ja mam bardzo mocną psychikę, to jest powód, że tak długo żyję* – tłumaczy sobie.

Obóz śnił mu się długo. Taka choroba poobozowa. Potem przeszło. Pomogła nauka, zdobywanie wiedzy to był relaks. – *Filtrowałem to jednak w sobie przez całe długie lata. We wspomnieniach opisałem tylko to, co najważniej-*

sze, co utkwiło najgłębiej i raniło. Dla mnie to był wstrząs. Z normalnego, tzw. dobrego domu, znalazłem się prosto w piekle – mówił.

Pamięta, jak blokowy, więzień polityczny, rotmistrz kawalerii, koło pieca w baraku zabił innego więźnia za to, że ten ukradł chleb. To był samosąd, bo bez chleba nie mógł przeżyć ten, kogo okradł. Pamięta, jak więźniowie zaatakowali tragarzy niosących kotły z zupą, przewrócili kocioł i porwali kawał końskiej kości, dziko bili się o nią, zlizywali z ziemi resztki zupy zmieszane z błotem. Niemcy zabili wszystkich. A gdy przyjechały transporty z Zachodu, wielu więźniów rzucało się na druty, woleli popełnić samobójstwo.

On sam nigdy o tym nie myślał: *– Przeżyłem te warunki obozowe, bo nie miałem w sobie żadnej złości. Za to miałem nadzieję. Przypominam sobie, jak kiedyś z komanda przenieśli mnie na pryczę, ciężko pobitego przez kapo, wyczerpanego tyfusem, byłem tak słaby, że traciłem przytomność. I nagle coś mnie natchnęło: muszę się ratować! Z trudem dowlokłem się do bloku, gdzie pracował wieloletni więzień Auschwitz, dobry znajomy naszej rodziny, Maroszani.* (Był przed wojną dyrektorem uzdrowiska w Szczawnicy – przyp. red.). *Takich „muzułmanów" jak ja, oblepionych błotem, słaniających się, do bloku nie wpuszczano, ale udało się. On mi pomógł. Taka siła jest w człowieku.*

NAWET W PIEKLE MOŻNA POMAGAĆ

Druga część wspomnień nosi znamienny tytuł „Lekarze SS". Będąc jeszcze w Birkenau, przyszły wybitny lekarz dzięki pomocy współwięźnia dostał się do pracy w komandzie Aufnahmeschreiberów (więźniów wypełniających karty osobowe nowych do rejestracji). Potem sprzątał w ambulatorium i szpitalu obozowym, był więc świadkiem m.in. selekcji Żydów na śmierć. Codziennie obserwował ich pochód do komór gazowych, w książce zamieścił relacje więźniów Sonderkommanda oraz lekarzy-więźniów, wzywanych niekiedy na teren krematoriów. Łępkowski nakreślił sylwetki niektórych medyków–więźniów (m. in. dra Romana Zenktellera) oraz lekarzy SS: Erwina Helmersena, Heinza Thilo i tego najgorszego – Josefa Mengele.

To byli lekarze – kaci. *– Josefa Mengele widziałem tak, jak Panią. Codziennie rano podczas apelu zdawałem mu raport o sytuacji na oddziale szpitalnym* – mówił Ogrodowskiej. *– Zupełnie dobrze znałem niemiecki, to pomogło mi w obozie. Był tam Helmersen, butny i arogancki, słaby chirurg z ogromnymi ambicjami, wielu jego operowanych umierało. Był HeinzThilo – kierując więźnia do gazu wygłaszał formułkę: status gravissimus, chciał pewnie zachować pozory legalności. Oni byli zwartą masą nazistów, ale donosili na siebie, wiele robili ze strachu, jeden przed drugim. Jeżeli mieli jakieś wewnętrzne przeżycia – nie pokazywali tego. W tej zwartej masie nie było humanizmu żadnego, człowieczeństwa, nic. Wiele razy zastanawiałem się nad tym. Myślę, że gdyby nie wojna, byliby po prostu lekarzami.*

Wspominał, jak owi „lekarze" dawali śmiertelne zastrzyki fenolem najsłabszym, dla zabawy wrzucali chorych więźniów do dołów z ekskrementami. Łępkowski dostał biegunki obozowej, nie wiedział co robić. *– Czułem, że słabnę i umieram. Ktoś poradził mi po prostu przypalać chleb. I takie „lekarstwo" wystarczyło, biegunka ustąpiła. Niewiele człowiekowi potrzeba, żeby umrzeć i niewiele, żeby przeżyć* – mówi.

W trzeciej części książki, pt. „Okruchy", Andrzej Łępkowski opisał swoje odwiedziny w byłym obozie w Brzezince w 1946 r. Obóz był pod kontrolą władz sowieckich, trzymano tu jeńców niemieckich. Łępkowski opuścił baraki rok wcześniej w transporcie ewakuacyjnym do KL Buchenwald, chodząc po terenie – wspomina.

Napisał, że „był tam, gdzie życie ludzkie nie znaczyło nic". A potem wybrał zawód, w którym życie znaczy wszystko. Jak sądzi, w wyborze pomogło mu to, że dziadek był lekarzem. – *Zawsze byłem pogodnym człowiekiem. A w obozach koncentracyjnych zobaczyłem, że nawet tam, w piekle, można ludziom pomagać.*

Napisał, że „był tam, gdzie życie ludzkie nie znaczyło nic". A potem wybrał zawód, w którym życie znaczy wszystko. Jak sądzi, w wyborze pomogło mu to, że dziadek był lekarzem. *– Zawsze byłem pogodnym człowiekiem. A w obozach koncentracyjnych zobaczyłem, że nawet tam, w piekle, można ludziom pomagać.*

Zdjęcia z promocji książki prof. Łępkowskiego udostępniła nam Biblioteka Śląska.

BERNADETA WASZKIELEWICZ

Źródło: www.ksiegarnia.e–oswiecim.pl, www.terezin.europa–auschwitz.pl, www.izba–lekarska.org.pl, PAP

Artystą nie jestem, lubię sobie pograć

„Akordeonowe impresje" Zbigniewa Siedlarza to 103. płyta Powiatowej Fonoteki. Tanga, walce i polki nagrane zostały w Powiatowym Młodzieżowym Dom Kultury w Starym Sączu. Ze Zbigniewem Siedlarzem rozmawiamy o jego muzycznej pasji oraz genezie „Akordeonowych impresji".

Jak długo zajmuje się Pan muzyką? Czy to tradycja rodzinna?

– Gram już dość długo, ponad 30 lat i to za sprawą moich rodziców, a głównie taty. Kiedy tylko akordeon pojawił się w naszym domu, to on zaczął na nim pierwszy grać i tak to się zaczęło.

Pana dzieci też już grają?

– Za wcześnie o tym mówić, ale kto wie… Czas pokaże.

Jest Pan muzycznym samoukiem. Proszę powiedzieć jak rozwijało się to zamiłowanie?

– Po raz pierwszy akordeon miałem na sobie w wieku 6 lat. Początkowo było to zwykłe podgrywanie do czyjegoś śpiewu, lub zasłyszanej melodii. W okresie szkoły podstawowej w Ptaszkowej pobierałem lekcje u nieżyjącego już Czesława Święsa, który tak naprawdę zaszczepił we mnie miłość do muzyki klasycznej i francuskiej. Jego myślenie opierało się na założeniu, że połączenie gam i pasaży z muzyką francuską, która jest techniczna, zaprocentuje i pomoże spełnić w przyszłości moje oczekiwania. I to się udało – zostało to u mnie do dzisiaj i mam nadzieję, że tak będzie dopóki mi siły na to pozwolą.

Jaką muzykę Pan preferuje – klasyczną, czy może ludową?

– Powiem tak – lubię to i to. Grywam na biesiadach, więc przeważnie bywa to muzyka z elementami ludowości, ale w wolnych chwilach sięgam z chęcią

również po Chaczaturiana, czy Rossiniego. Bardzo często gram po prostu ze słuchu, choć oczywiście umiem czytać nuty – tak jest łatwiej i zawsze to jakaś podpowiedź, jak coś należy zagrać czy zinterpretować.

Co znajduje się na „Akordeonowych impresjach"?

– Na mojej płycie znalazły się cztery kompozycje Bieżana, są także utwory, które kiedyś grałem u Czesia Święsa, lub zasłyszałem na kasetach, a oprócz tego trochę muzyki francuskiej – walce, czy tanga. Z pewnością niektóre utwory nie są dokładnym odzwierciedleniem pierwowzoru, ale zagrałem je podczas sesji tak, jak czułem.

Jak przebiegała praca nad tym albumem?

– Ten pomysł zrodził się z inspiracji Ryśka Poradowskiego, członka Zarządu Powiatu nowosądeckiego, a całość nagrywałem w Starym Sączu przy pomocy Zbyszka Kaczmarskiego, po trzy godziny w dwie niedziele.

Niedziela tak naprawdę była jedynym dniem, kiedy mogłem to zrobić – codzienne obowiązki i praca w Newagu raczej nie pozwalały mi na wygospodarowanie kilku wolnych godzin w ciągu tygodnia. To był jedyny dzień, kiedy udało mi się od tego na moment oderwać.

Ma Pan już jakieś plany na kolejne przedsięwzięcia muzyczne po tym wielkim wyróżnieniu?

– Czuję się ogromnie wyróżniony i zaszczycony, ponieważ tak naprawdę nie uważam siebie za jakąś indywidualność. Wokół nas jest tylu świetnych muzyków, którzy mają ode mnie więcej do powiedzenia i zagrania. Ja sobie tylko gram, ale mam nadzieję, że może jeszcze kiedyś uda się coś takiego zrealizować. Planów konkretnych jeszcze nie mam, choć wiele pomysłów już jest.

Na płycie są kompozycje znanych muzyków, a czy lubi Pan sobie poimprowizować?

– Oczywiście, głównie na materiale ludowym, ale na płycie nie ma moich autorskich kompozycji.

A gdzie można jeszcze Pana usłyszeć?

– Gram z braćmi na weselach, choć oczywiście repertuar jest tam zupełnie inny, niż na moim albumie, bo gra się tam muzykę taneczną. Występy naszego zespołu to oczywiście inna muzyka niż klasyczna, ale grając „na żywo", bez jakichkolwiek płytek – przynosi satysfakcję.

Rozmawiał JANUSZ BOBREK

Piękno gór usidla alpinistę

Walenty Fiut, himalaista z Nowego Sącza, stanął kilka tygodni temu na Lenana Peak, jednym z trzech wierzchołków masywu Mount Kenia.

Dla tego „człowieka gór", mającego za sobą wejścia na majestatyczne ośmiotysięczniki m.in. Broad Peak w Karakorum w Pakistanie, uczestniczącego w wyprawach na Lhotse, Mount Everest, Dhaulagiri, wejście na pięciotysięczny szczyt nie było raczej większym problemem, mimo, że 64-letni alpinista na tą wspinaczkę zdecydował się po 25 latach od ostatniej dużej wyprawy. Było to nowe wyzwanie i jednocześnie duże przeżycie.

Stojąc 16 stycznia br. na szczycie Mt Kenia, chłonąc rozpościerającą się stamtąd wyjątkową panoramę, mówił sobie w duchu: „Udało się". Walenty Fiut, wspinający się w tzw. złotym okresie polskiego himalaizmu z czołówką alpinistów m. in. Krzysztofem Wielickim, Jerzym Kukuczką Ryszardem Szafirskim, Andrzejem Czokiem, Janem Wolfem, Leszkiem Cichym i Wojciechem Kurtyką, poprowadził teraz na szczyt Mt Kenia swoją rodzinę. W kilkudniową wspinaczkę razem z ojcem wybrała się córka Karolina i jej mąż, Cypryjczyk – Avgoustinos. Oboje pracują jako wolontariusze z dziećmi w stolicy Kenii -Nairobi. Dla Walentego Fiuta ta wyprawa była przede wszystkim swoistego rodzaju sprawdzeniem się. Od czasu wypadku, którego doznał ćwierć wieku temu, w 1987 roku podczas podejścia do pierwszego obozu na południowej

ścianie Lhotse, nie wspinał się tak wysoko. Podejście uważane za stosunkowo bezpieczne dla niego, Cześka Jakiela, lekarza wyprawy, i jeszcze jednego kolegi z Włoch okazało się jakże brzemienne w skutkach. Wówczas z ogromną prędkością i hukiem zeszła ściana śnieżnego pyłu, będącego bocznym podmuchem pędzącej lawiny i pochłonęła wspinaczy. Czesiek zginął. Walenty Fiut miał pozrywane wszystkie więzadła w kolanie, pękniętą miednicę, uraz głowy. Życie uratowali mu koledzy, którzy szybko go odnaleźli i udzieli pierwszej pomocy. Kask, który miał na głowie był popękany. Potem były skomplikowane operacje i bardzo długa rehabilitacja. Lhotse–góra piękna, ale niedostępna i demoniczna, podziwiana przez turystów, ale tragiczna, zakończyła jego przygodę z majestatycznymi ośmiotysięcznikami. Wówczas odstawił raki i czekan, ale nie zrezygnował ze zdobywania mniejszych szczytów, nie zrezygnował z zapuszczania się w kolejne pasma górskie, nie tylko w kraju, ale w różnych zakątkach świata, bo piękno gór usidla, a szczyty trzymają w szponach przez całe życie. Doskonale wiedzą o tym alpiniści.

***

Pomysł, by jeszcze raz spróbować swoich sił, tym razem w samym sercu Afryki zrodził się spontanicznie. Wybór padł na Mt Kenia, najwyższy masyw równikowej Kenii

– Z założenia nie miała to być wspinaczka, ale wyprawa trekkingowa i taka była – opowiada Walenty Fiut. *– To nie było tak, że buty do wspinaczki górskiej wisiały na kołku przez ćwierć wieku. Przez te lata dużo chodziłem turystycznie, czy właśnie trekkingowo na różne wzniesienia m.in. takie do trzech, a nawet powyżej trzech tysięcy m n. p m. Pomyślałem, że warto byłoby wspiąć się wyżej. Masyw Mt Kenia mnie po prostu ciekawił i zdecydowałem*

Życie uratowali mu koledzy, którzy szybko go odnaleźli i udzieli pierwszej pomocy. Kask, który miał na głowie był popękany.

się tam pojechać i spełnić jedno z marzeń. Dokooptowałem do zespołu moją córkę i zięcia, którzy od kilku miesięcy są wolontariuszami w tym kraju.

Walenty Fiut, z biletem, paszportem w ręku i plecakiem wypełnionym niezbędnym ekwipunkiem 28 grudnia ubiegłego roku wyleciał z Polski do serca Afryki na półtora miesiąca. Po kilku godzinach podróży z międzylądowaniem w Turcji znalazł się w stolicy Kenii – Nairobi.

– Celem naszej wyprawy było przejście tego masywu ze wschodu na zachód – opowiada. *– Odpowiednio wyposażeni i wyekwipowani w żywność, odzież, wodę wyruszyliśmy 11 stycznia z miejscowości Czogoria i w pierwszym dniu przez kilka godzin szliśmy przez las tropikalny, otaczający masyw Mt Kenia. Leży on praktycznie na równiku i jest włączony do parku narodowego o tej samej nazwie. Dzięki temu ten las można oglądać jeszcze stosunkowo w dzikiej formie. Potem, w miarę pokonywania kolejnych kilometrów, na drodze do szczytu bujna roślinność stawała się coraz bardzie uboga. Mnie zachwyciły rośliny: lobelie, osiągające nawet do sześciu metrów wysokości i inne nazywane starcami, dochodzące do dwóch metrów. Obie mają delikatne liście i gromadzą dużo wody. Chętnie przesiadują na nich ptaki*

Wspinaczka trwała siedem dni. Mieliśmy sześć biwaków, w tym jeden, po stronie zachodniej, gdy schodziliśmy ze szczytu.

Turyści i wspinacze pragnący przejść przez masyw Mt Kenia muszą się liczyć z opłatami za pobyt na terenie Parku Narodowego Mt Kenia.

– Łatwo, wbrew pozorom nie było – wspomina nasz bohater. *– Wysoka temperatura w niższych partach robiła swoje. Osobiście nie miałem problemów z aklimatyzacją. Córka i zięć też nie narzekali na trudy wspinaczki, chociaż w ostatnim jej etapie bolała ich głowa, a było to związane z wysokością. Staraliśmy się równomiernie rozkładać siły.*

Po biwaku na wysokości 4700 m n. p. m. ruszyliśmy na szczyt Lenana Peak znajdujący się na wysokości 4985 m n. p. m. Gdy stanęliśmy na nim spowijały go chmury, leżał śnieg, choć masyw znajduje się prawie na równiku. Nawet nie udało się zrobić zdjęć. Satysfakcja była jednak ogromna. Podczas podejścia na szczyt w oddali połyskiwały jeziorka polodowcowe. Naprawdę warto było odbyć tę wyprawę.

***

Dla Walentego Fiuta, himalaisty i podróżnika wyprawa do Kenii była również okazją do poznania tego kraju. W towarzystwie córki i zięcia zwiedził sporo podczas tego półtoramiesięcznego pobytu w sercu Afryki. Byli nad Jeziorem Wiktorii i w kilku kenijskich parkach narodowych, w których dzikie zwierzęta można było oglądać dosłownie na wyciągnięcie ręki.

– *Kenia jest krajem wielkich kontrastów* – mówi. – *Zachwycają jeszcze stosunkowo dzikie lasy tropikalne, mnogość zwierzyny. Dużym plusem jest to, że państwo chroni faunę i florę, dzięki tworzeniu parków narodowych. Kenia to kraj czterech pór roku, ale także nieporównywalnej biedy i bogactwa. To się rzuca w oczy. Biedy nie trzeba szukać. Widzi się ją m.in. w stolicy Kenii– Nairobi. Ludzie żyjący w slumsach mieszkają w blaszanych budach. Bywa, że na trzech metrach kwadratowych mieszka dziesięć osób. Nie ma tam prądu, bieżącej wody, kanalizacji. Do Nairobi przyjeżdża wiele ludzi z różnych części kraju w poszukiwaniu pracy. Wierzą, że uda się im odmienić los. Tymczasem zderzają się z przykrą rzeczywistością. Nie mając stałej pracy systematycznie powiększają grono „ludzi slumsów". Z drugiej strony można zobaczyć rezydencje zamożnych mieszkańców: biznesmenów, plantatorów. Ich posiadłości, ukrytych za wysokimi murami strzegą uzbrojeni ochroniarze.*

Kenia pachnie kawą i herbatą. W niektórych regionach ciągną się olbrzymie plantacje, które zastąpiły lasy. Kawa i herbata to główne używki eksportowe tego kraju. Kenia pachnie też pomarańczą, cytryną, ziołami, rodzimymi przyprawami m.in. imbirem.

Elżbieta, żona sądeckiego wspinacza, trzymała kciuki za powodzenie wyprawy. Zawsze wspiera męża, gdy tylko wyrusza on na kolejną górską eskapadę, niekoniecznie na majestatyczne ośmiotysięczniki.

***

W Nowym Sączu mało, kto wie, że Walenty Fiut zna góry, jak mało kto. Ten skromny, niewysoki, ale silny mężczyzna w złotym okresie polskiego himalaizmu zdobywał najwyższe góry świata.

– *Mówimy o okresie, gdy o polskim himalaizmie i dokonaniach Jerzego Kukuczki, Andrzeja Zawady, Leszka Cichego, Wandy Rutkiewicz, Krzysztofa Wielickiego, Wojciecha Kurtyki, Andrzeja Czoka było głośno* – wspomina pan Walenty. – *To był czas, który, dałby Bóg – chciałbym, aby się powtórzył. Końcówka lat 70, 80. i początek 90. ubiegłego wieku to była naprawdę wspaniała era polskiego himalaizmu.*

Dla Walentego Fiuta, himalaisty i podróżnika wyprawa do Kenii była również okazją do poznania tego kraju.

Pasję do chodzenia po górach, która dość szybko przerodziła się w profesjonalne wspinanie się przez duże „W" pomógł odkryć sądeckiemu alpiniście jego kolega, z którym służył w wojsku w Bartoszycach. Podsuwał mu do czytania literaturę taternicką. Potem były pierwsze wyprawy w Tatry i nie tylko. Góry piękne, majestatyczne coraz bardziej wciągały, kusiły, aby pokonywać coraz trudniejsze skalne drogi. Walenty Fiut doskonalił swoją technikę wspinaczkową, uczył się posługiwać czekanem, doskonalił sposoby chodzenia w rakach, uczył się patrzeć, jak taternik na daną ścianę. Uczył się obcować z ryzykiem. W 1973 roku wyruszył na pierwszą swoją wyprawę wspinaczkowo-speleologiczną do Peru w Ame-

ryce Południowej. Celem grupy wspinaczkowej był m.in. Huascaran Północny – góra blisko siedmiotysięczna, niezdobyta do tej pory przez Polaków. Potem były inne szczyty, w tym jedna z najpiękniejszych gór w Andach – Alpamayo. Zapuszczał się nie tylko na szczyty, ale eksplorował także jaskinie przy źródłach Amazonki. W 1974 roku zszedł z kolegami do jaskini Garma Ciega w Hiszpanii na głębokość 970 metrów. Przewędrował wszystkie europejskie pasma górskie, był w Andach, północnoamerykańskich Kordylierach, na wulkanach meksykańskich, w Alpach, na Kaukazie i Pamirze. Osiem razy w Himalajach. Wspinał się z całą czołówką polskiego alpinizmu i himalaizmu m.in. ze wspomnianym już Krzysztofem Wielickim, Ryszardem Szafirskim, Jerzym Kuluczką, Janem Wolfem, Andrzejem Czokiem, Leszkiem Cichym, Wojciechem Kurtyką. Uczestniczył w pierwszej polskiej wyprawie zimowej na Mount Everest w 1980 roku zorganizowanej przez Andrzeja Zawadę. Podczas tego wejścia na wysokości 8 tys. metrów zakładał czwarty obóz. Na szczycie stanęli wówczas: Leszek Cichy i Krzysztof Wielicki. W 1984 roku Walenty Fiut zdobył szczyt Broad Peak (8046 m) w Karakorum w Pakistanie.

Nie zawsze udawało mu się dojść do celu. Dhaulagiri – grupie wspinaczy wśród, których był sądecki himalaista pokazała groźne oblicze.

– Z Wojtkiem Kurtyką pokonywaliśmy nową drogą wschodnią ścianę Dhaulagiri. Nagle przyszło gwałtowne załamanie pogody. Mieliśmy alternatywę: albo ryzykujemy, albo schodzimy. Wybraliśmy to drugie, pomimo, iż mieliśmy bardzo dobrą aklimatyzację na wysokości około 8 tysięcy metrów na północnej grani tej góry. Tak bywa czasami podczas wspinaczki.

A później było jeszcze podejście na południową ścianę Lhotse. Ona zakończyła przygodę sądeczanina z wielkimi górami. Na tej majestatycznej górze dwa lata później zginął Jerzy Kukuczka.

– Po długiej rehabilitacji przyszedł moment, że znów założyłem buty do wspinaczki. Ośmiotysięczniki zamieniłem na nieco niższe góry, po których chodziłem bardziej trekkingowo. Odwiedzałem różne zakątki świata. Zwiedziłem większość parków narodowych w Stanach Zjednoczonych, Skandynawię, aż za koło podbiegunowe.

Walenty Fiut, choć już za sobą ma raczej te spektakularne wspinaczki kibicuje wszystkim polskim himalaistom, którzy zdobywają, albo będą zdobywać te wielkie, jak kiedyś on szczyty.

– Naturalnie kibicuje Arturowi Hajzerowi, który wyszedł z planem dokończenia zimowych wejść przez Polaków

Uczestniczył w pierwszej polskiej wyprawie zimowej na Mount Everest w 1980 roku zorganizowanej przez Andrzeja Zawadę.

na wszystkie ośmiotysięczniki. Jest to realizowane w ramach programu „Polski himalaizm zimowy". Strasznie się cieszyłem, gdy 9 marca tego roku Adam Bielecki i Janusz Gołąb dokonali pierwszego zimowego wejścia na Gasherbrum I (8068m n. p. m.) w Karakorum, w Pakistanie. Kierownikiem wyprawy był właśnie mój kolega Artur, z którym się też wspinałem. Więzi, które przez te wszystkie lata się nawiązały między nami-himalaistami pozostały do dzisiaj.

IGA MICHALEC

Wypromują most Jana Stacha

Cudze chwalicie...

Kto przypadkowo trafi na kamienny most nad leśnym jarem w Znamirowicach nie dowie się, w jaki niezwykły sposób powstała ta budowla. Wkrótce to się zmieni, bo gmina będzie promować największy na świecie most kamienny zbudowany przez jednego człowieka. Na początek zostanie postawiona tablica informacyjna.

To symbol pracowitości i dążenia do celu, pomnik i drogowskaz dla nas młodych. Tę historię musimy upamiętnić, by nie zatarł jej czas – mówi Jacek Turek, mieszkaniec Znamirowic, wskazując na kamienną budowlę. Dlatego zaapelował do władz gminy o oznakowanie największego na świecie kamiennego mostu zbudowanego rękami jednego człowieka. Miejscowi o wyczynie Jana Stacha mówią z podziwem, teraz chcą, by tę niezwykłą historię mogli poznać również turyści.

Jak opowiada Genowefa Ziółkowska, sędziwa mieszkanka Znamirowic, było to tak:

– Dawniej to droga tu do gospodarstw była, nawet kolej wąskotorowa tędy prowadziła, w końcu drogę zalali, zrobili jezioro. Pamiętam, mój ojciec miał łódź, to często pomagaliśmy Stachowi przewozić pomidory na drugą stronę, jak jechał do miasta na targ. Gdy jezioro odcięło drogę Stachowi, jedynym wyjściem było, by z drogi sąsiadów korzystać. Tym nie bardzo to w smak było. Raz jak jechał wozem z pomidorami na targ, to się sąsiadka tak zacietrzewiła, że doleciała przed niego i położyła się na wznak na drodze i nie dała mu jechać dalej. Zaparła się i tyle. Jan wspominał, że tak ostro zahamował, że karki krowom niemal wyłamał. I wtedy uparł się, że zbuduje sobie most – opowiada pani Genowefa.

I tak kamień po kamieniu, w dzień i w nocy, wznosił budowlę. Praca trwała trzy lata, a wykańczanie kolejnych kilkanaście. Tak powstała jedna z największych na świecie kamiennych konstrukcji wzniesionych przez jednego człowieka. Most ma 16 metrów wysokości, 12 metrów długości, i 6 metrów szerokości.

– Często sami napominaliśmy Jana, że powinien odpocząć, a on machnął ręką, i odpowiadał, że jak idzie do pracy to przymyka oczy i odpoczywa. Kiedy przy moście go noc zastawała, to nieraz gdzieś pod kamieniem przysnął, a wczesnym świtem znów rozpoczynał pracę I to wszystko powstało siłą jego rąk. Niezwykły człowiek, takich już nie ma. Od urzędników nie chciał nic, nawet z renty zrezygnował, bo mówił „wyżywi mnie moja ziemia” – wspominają sąsiedzi.

I choć Jan Stach nie szukał poklasku, bo o swojej pracy wypowiadał się niechętnie, wzniósł sobie trwały pomnik.

– Nikt nie wierzył, że on to dokończy, że taką budowlę może jeden człowiek wznieść. Wszyscy kręcili głowami i on im wszystkim pokazał. Teraz warto byłoby choć tablicę postawić, bo to nie tylko budowla, ale pomnik ludzkiej pracowitości i konsekwencji – dodaje pani Genowefa.

Jan Stach zmarł 25 grudnia zeszłego roku w wieku 93 lat. Wkrótce, jak zapewnia wójt Łosiny Dolnej, przy kamiennym moście stanie tablica upamiętniająca budowniczego, a na drodze do Znamirowic tabliczki kierunkowe dla turystów.

EDYTA ZAJĄC

WARTO WIEDZIEĆ

Most Stacha został zbudowany pod koniec lat 60. i jest uważany za największy na świecie most kamienny zbudowany przez jednego człowieka. Żeby dotrzeć do Mostu Stacha, należy w Tęgoborzy skręcić w boczną drogę do Znamirowic, tam z asfaltowej drogi skręcić i podążać w dół utwardzoną drogą szutrową, a następnie polną ścieżką kierować się w dół wzdłuż lasu. O budowniczym nakręcono w 1971 roku film dokumentalny „Wznoszę pomnik” (reż. Jerzy Jaraczewski).

Czołg wójta Janczaka

Pod koniec kwietnia, na konferencji w Warszawie, wójt Łabowej Marek Janczak, wobec znawców sprzętu wojennego i historyków wojskowości, dokonał prezentacji filmowej czołgu, który własnoręcznie zbudował.

Prawdopodobnie odtworzona przedwojenna, polska tankietka TKS, garażująca nad potokiem w Łabowej, trafi do jednego z muzeów w kraju. Zainteresowane czołgiem łabowskim są też placówki w Poznaniu i Bydgoszczy. Jedną oryginalną tankietkę TKS można dziś podziwiać w Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie. Drugą ma w swojej kolekcji Jacek Kopczyński w Łodzi. I to wszystko.

V Ogólnopolskie Sympozjum – Historyczny Rozwój Konstrukcji Pojazdów zorganizował Instytut Pojazdów Wydziału Samochodów i Maszyn Roboczych Politechniki Warszawskiej. Wystąpienia wójta Łabowej będą jednym z atrakcyjniejszych punktów programu. Marek Janczak opowiadał w stolicy, jak w ciągu roku, z pomocą syna Marcinam odtworzył wierny model tankietki TKS, produkowanej od 1934 roku w Państwowych Zakładach Inżynieryjnych w Czechowicach pod Warszawą (obecnie Warszawa – Ursus), w należącej do PZInż fabryce URSUS.

Nie zachowała się dokumentacja techniczna pojazdu, jest tylko wspomniany model w Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie oraz pożółkłe zdjęcia i porozrzucane tu i tam opisy pojazdu. Tankietka, obsługiwana przez dwóch żołnierzy (kierowca i dowódca – celowniczy), wyposażona była w działko o kalibrze 20 mm, które przebijało 4-centymetrowy pancerz z odległości 200 m. Wymiary: 2 m długości, 1,80 m szerokości i 1,40 m wysokości. Tankietka była zwrotna i jak na tamte czasy szybka, rozwijała prędkość do 40 km/h. Na wyposażeniu polskiej armii u progu II wojny światowej było 262 sztuk TKS, bo to była robota rzemieślnicza, a nie produkcja masowa i tylko nieliczne były wyposażone w działko. Większość uzbrojona była w ckm Hotchkiss wz. 1925 kalibru 7,92 mm.

– *Gdybyśmy mieli kilka tysięcy takich lekkich czołgów we wrześniu 1939 roku, to być może inaczej potoczyłyby się losy wojny* – uważa Marek Janczak.

Tankietka, obsługiwana przez dwóch żołnierzy (kierowca i dowódca – celowniczy), wyposażona była w działko o kalibrze 20 mm, które przebijało 4-centymetrowy pancerz z odległości 200 m.

W 1939 tankietki uznawane były przez polskie władze wojskowe za sprzęt przestarzały, przeznaczony zasadniczo do działań rozpoznawczych. Przezbrojenie ich w działka 20 mm na pewien czas mogło przedłużyć ich przydatność bojową, jednak tylko

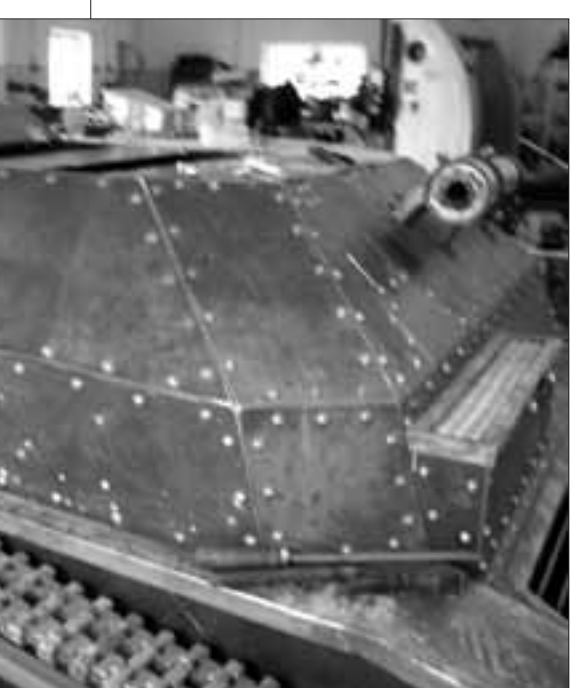

na krótki czas. Nad niemieckimi czołgami górowały polskie 7tp.

Wójt od lat przywraca sprawność starym, pordzewiałym motocyklom i samochodom. W swojej kolekcji ma m.in. polski motocykl Sokół 1000 z 1934 roku, angielski Ariel z 1928 roku z lampą karbidową, SHL MO5 z 1954 roku oraz angielski Royal and Field 350 wprawdzie z 2003 roku, ale te motocykle produkuje się w niezmienionej postaci od 1955 r.

Swoją przygodę z jednośladami pan Marek rozpoczął w roku 1978 od motoroweru Wierchowina o pojemności silnika 50 cm^3.

Interesuje się też starymi samochodami. Posiada Gaz 69 z 1955 roku wersja sztabowa i Gaz 63 z 1963 roku, ciężarówka, oraz czechosłowacki kabriolet Aero z 1934 r.

– *Najcenniejszy jest Sokół, bo tych motocykli wyprodukowano do wybuchu wojny tylko trzy tysiące i do naszych czasów zachowało się kilkanaście egzemplarzy* – mówi. Pan Marek zapłacił za swojego Sokoła niezłą sumkę pewnemu Słowakowi, który z kolei kupił motocykl w 1986 roku od żołnierzy radzieckich, a maszyna przyjechała do Czechosłowacji z… Odessy.

Każdą wolną chwilę wójt spędza w warsztacie syna, lub u siebie w garażu. A podczas urlopu jeździ po Polsce na zloty zabytkowych motocykli. Najdalej był na rajdzie Tatrzańskiego Klubu Motorowego w Miliczu, kiedy przejechał na motocyklu w 3 dni ponad 700 kilometrów. Nie brakuje nigdy Marka Janczaka podczas parad motocyklowych w Nowym Sączu.

– *Jeden lubi wędkować, drugi zbiera znaczki, a dla mnie największą radością jest, gdy usłyszę warkot silnika i przejadę się pierwszy raz odremontowanym motocyklem, który był już przeznaczony na złom* – wyznaje gospodarz Łabowej, który zanim objął urząd wójtowski, prowadził warsztat mechaniczny. Skończył technikum mechaniczne, wykształcenie uzupełnił już jako wójt. Zanim „poszedł w samorząd", prowadził zakład mechaniczny w Łabowej, który przejął potem syn. Wyrabiał i naprawiał traki, maszyny rolnicze, traktory etc. – *Roboty było nie do przerobienia* – wspomina.

To, nad czym zespół konstruktorów warszawskich mozoli się siódmy rok, pracując na zniszczonym, oryginalnym modelu, Janczak zrobił z pomocą syna w ciągu kilkunastu miesięcy.

***

Przedwojennymi polskimi czołgami Marek Janczak zainteresował się dwa lata temu podczas inscenizacji historycznej, zorganizowanej przez grupę rekonstrukcyjną nowosądeckiego oddziału Polskiego Towarzystwa Historycznego w Rytrze, przedstawiającej atak niemiecki na polski bunkier na górze Połom. Po stronie „najeźdźców" wystąpiła wtedy replika czołgu niemieckiego wystawiona przez Fundację Wojskowości Polskiej, jedna z dwóch wykonanych przez Grzegorza Klimczaka z Bielska Białej. „Nasi" musieli się zadowolić gniazdem karabinu maszynowego oraz swoją odwagę i męstwem.

– *I wtedy ktoś powiedział, że przed wojną Polacy też mieli czołgi, tylko nic się nie zachowało do naszych czasów* – wspomina Marek Janczak. Pogrzebał w książkach, przetrząsnął internet i zdecydował odtworzyć model tankietki TKS z 1934. Po to, aby w przyszłości, podczas kolejnej inscenizacji historycznej w Rytrze dać odpór niemieckiemu czołgowi hitlerowskiemu.

To, nad czym zespół konstruktorów warszawskich mozoli się siódmy rok, pracując na zniszczonym, oryginalnym modelu, Janczak zrobił z pomocą syna w ciągu kilkunastu miesięcy. Czołg już jeździ i strzela (petardami), co zademonstrowano przed reporterem „Sądeczanina". Tankietkę trzeba jeszcze pomalować w barwy ochronne WP z tamtego okresu standardowy, trójkolorowy kamuflaż, złożony z nieregularnych, wydłużonych plam koloru szaropiaskowego i ciemnobrązowego na oliwkowozielonym podłożu, z łagodnymi przejściami między kolorami – i będzie mogła zadawać szyku nawet podczas inscenizacji Bitwy nad Bzurą.

To, nad czym zespół konstruktorów warszawskich mozoli się siódmy rok, pracując na zniszczonym, oryginalnym modelu, Janczak zrobił z pomocą syna w ciągu kilkunastu miesięcy.

Nie wiadomo jakimi drogami wieść o tankietce z Łabowej dotarła do Politechniki Warszawskiej – wójt podejrzewa znajomych, którzy fotki o budowanym przez niego czołgu wrzucili do sieci. W każdym razie konstruktorzy z Wydziału Samochodów i Maszyn Roboczych mają Janczaka za partnera.

„Pani Marku! Może udałoby się Panu przyjechać na sympozjum z TKS-em. Byłoby to wielkie wydarzenie i okazja do pogadania o współpracy. Mamy gotową dokumentację wysokiej klasy – mailował do wójta Łabowej mgr inż. Zbigniew Nowakowski z komitetu organizacyjnego warszawskiego sympozjum.

– *Najwięcej pracy wymagała budowa gąsienicy, to była ciężka, bardzo żmudna robota, każdy element trzeba było osobno wytoczyć. Poza tym zastosowałem silnik dolnozaworowy z warszawy z lat 50. o pojemności 2,120 litra i mocy 54 KM, podobną moc posiadał silnik Fiata, w który był wyposażony oryginalny czołg. Blacha na wieżyczce mojej tankietce jest trochę cieńsza, niż w oryginale, aby mój czołg nie był taki ciężki, a i tak waży ze cztery tony* – opowiada Marek Janczak.

Konstruktor tankietki na pewno niebawem pokaże swoje dzieło na rynku w Nowym Sączu, czeka na dogodną okazję oraz na „sto procent", bo już obiecał podczas „Dni Czchowa". – *Chętnie też przyjmę zaproszenia na inscenizacje historyczne, aby pokazać polską, przedwojenną myśl techniczną, bo nie mamy się czego wstydzić* – zapewnia gospodarz. Pytany, ile go tankietka kosztowała, tylko machnął ręką. – *Szkoda gadać, nowe auto by kupił!* – uśmiechnął się szeroko.

HENRYK SZEWCZYK

Skarby Orzechowskiego

– Ta szabla była w potrzebie beresteckiej. To jest szabla typu węgierskiego. Według tradycji rodzinnej jej właścicieli, od których ją odkupiłem, ich przodek używał tej szabli w bitwy pod Beresteczkiem z Kozakami w roku 1651 – pokazuje Adam Orzechowski, sądecki antykwariusz, prowadzący salon ze starociami na rogu Rynku i Jagiellońskiej.

Głownia szabli pochodzi z huty w Passau w Bawarii, a sama szabla jest polskiej albo węgierskiej roboty. Jest ciężka, nie noszono jej przy pasie, była używana tylko do walki z konia. – *Rzeczą charakterystyczną dla szabel polskich jest, że oprócz ostrza posiadają tak zwane pióro. Polska jazda jako jedyna cięła z góry, a potem stosowała drugie podcięcie. Mijając jeźdźca, polski huzar był jeszcze w stanie podciąć pęciny jego konia. A jak on padał, to drugi huzar walił jeźdźca w głowę i nie było konia ani jeźdźca. Dlatego bywało, że w wieku siedemnastym dwustu polskich kawalerzystów roznosiło w pył dwa tysiące jazdy kozackiej* – rozmarzył się Adam Orzechowski.

Ta szabla jest warta kilkadziesiąt tysięcy złotych, lecz gospodarz nie sprzedałby jej za żadne pieniądze: – Ona nie było w sądeckich rękach. Jedna z linii tej rodziny jest związana z Sądecczyzną, ale to jest boczna linia. Mogłem tę szablę sprzedać, tylko nie chce, traktuję ją jako pamiątkę wielkości dawnej Rzeczpospolitej. Trzymam szablę w sklepie, bo jest tu bezpieczniejsza niż w domu.

***

Ale najcenniejszą rzeczą, jaką pan Adam posiada w swojej kolekcji, jest gotycka figura Matki Bożej z drewna lipowego. Gospodarz nabył ją na aukcji internetowej, gdy w rozsypkę poszła słynna kolekcji Harrisa ze Stanów Zjednoczonych, a w ogóle rzeźba pochodzi z terenów polskiego Spisza (szkoła sądecka). Matka Boska trzyma w jednej ręce owoc granatu, który jest symbolem dobrobytu, a w drugiej – Dzieciątko Jezus. Wywieziona w latach dwudziestych zeszłego stulecia, wróciła niedawno na Sądecczyznę. – *Pochodzi na pewno sprzed 1325 roku i jest ładniejsza od słynnej Madonny z Krużlowej, bardziej proporcjonalna* – uważa pan Adam.

Najcenniejszą rzeczą, jaką pan Adam posiada w swojej kolekcji, jest gotycka figura Matki Bożej z drewna lipowego.

Antykwariusz szczyci się również portretem Maurycego Saskiego, syna z nieprawego łoża Augusta II, przyrodniego brata Augusta III. Był głównodowodzącym armii polskiej, dowodził też armią francuska: *–To był wielki człowiek, wielki wódz, wojownik. Przepiękny obraz w stylu dworskim.*

Ale to nie wszystkie skarby Adama Orzechowskiego.

– Tutaj mamy obraz Adama i Ewy – pokazuje na ścianę. – *Obraz pochodzi z XVI wieku, malowany na jednym kawałku deski cedrowej, szkoła północnoniemiecka, autor nieznany, osiemnastowieczna rama. Obrazem do pewnego czasu było zainteresowa-*

ne muzeum na Wawelu, ale chyba z braku środków – zrezygnowało.

– Ciekawe i bardzo rzadkie przedstawienie raju. Zwracają uwagę zwierzęta, które mają w gruncie rzeczy ludzkie twarze. Trochę to naiwne, ale piękne – cmoka z uznaniem pan Adam.

Wyciąga jeszcze dwa „drobiazgi". *– To jest butelka z 1706 roku, która kiedyś była własnością króla polskiego Augusta I Mocnego, a obok stoi kieliszek zrobiony specjalnie na Śląsku, na zamówienie wojewody litewskiego Ludwika Pocieja, na słynną ucztę monarchów w Grodnie, w 1705 roku. Świadczą o tym napisy, mam też potwierdzenie przez wielkiego eksperta niemieckiego, doktora Fischera, że to jest autentyczny przedmiot. Być może z tego kieliszka pił wino król polski August II Mocny, a być może sam car Piotr Wielki.*

Dla dopełnienia efektu gospodarz wyciąga książkę pt. „Klejnoty dawnej Polski", napisaną przez dwoje ludzi z Wawelu: kustosza Dariusza Nowackiego i dr Magdalenę Piwocką.

– Na zamieszczonej liście około 40 właścicieli zabytków, prezentowanych w tej książce, jest tylko jeden prywatny kolekcjoner. Moje nazwisko znalazło się obok Muzeum Morskiego w Gdańsku, Muzeum Archidiecezjalnego w Gnieźnie – nie kryje satysfakcji sądecki antykwariusz. Mówi, że oprócz tego, że jego sklep zajmuje się handlem antykami, to również tworzy pewną kolekcję. – To są przedmioty, które nabywa nasza firma, a które nie idą do dalszej sprzedaży, tylko zostają wycofane i stanowią majątek firmy – wyjaśnia.

Pan Adam otworzył książkę na odpowiedniej stronie i przystawił do niej dwa oryginały, których fotografie zamieszczono w dziele muzealników z Wawelu.

– W żadnym wypadku nowy sztandar nie może być opłacony z budżetu miasta, tylko ze składek mieszkańców.

ADAM ORZECHOWSKI

– To jest pozłacana, wysadzana kamieniami szpila, służąca do przypinania pióropusza przy kapeluszu, a to srebrna łyżka, pamiętająca czasy Stefana Batorego. Używam jej raz w roku, podczas wieczerzy wigilijnej – ujawnia Adam Orzechowski, o którym cała Polska usłyszała, kiedy kilka lat temu w środowisku polskich jubilerów i antykwariuszy rzucił myśl – i doprowadził ją do skutku – odtworzenia regaliów Królestwa Polskiego: korony, berła i jabłka. *– Kiedyś, jak koronę wieziono, to ludzie klękali, a żołnierze salutowali* – mówi sądecki monarchista.

SZTANDAR Z KORONĄ MATKI BOŻEJ POCIESZENIA

Adam Orzechowski popiera uchwałę rajców sądeckich o ufundowaniu sztandaru miasta, mającego zastąpić obecny sztandar Rady Miasta.

– W żadnym wypadku nowy sztandar nie może być opłacony z budżetu miasta, tylko ze składek mieszkańców – zastrzega. Antykwariusz uważa, że sądeczanie sami powinni zdecydować, co ma być na sztandarze, ale ma już jego wizję.

– To ma być sztandar – mówi – *który symbolizuje, że tu jest Rzeczypospolita Polska, czyli musi być na nim biały orzeł z koroną na czerwonym tle i dewiza: „Bóg, Honor, Ojczyna". I to ma być sztandar, który niesie największe wartości dla Sądeczan, czyli herb miasta, a nad herbem umieściłbym trzymaną przez anioły koronę Pani Sądeckiej, czyli Matki Bożej Pocieszenia z cudownego obrazu w ołtarzu głównym kościoła św. Ducha.*

Orzechowski przyznaje, że ma problem z napisem. – *Czy napisać „Królewski Wolny Nowy Sącz", czy „Królewskie Wolne Miasto Nowy Sącz, a może słynne słowa króla Władysława Łokietka skierowane do Sądeczan: „Wierni Sądeczanie"?* – zastanawia się.

Czemu na sztandarze ma być korona MB Pocieszenia z kościoła ojców jezuitów, a nie na przykład obraz

Przemienienia Pańskiego z Bazyliki św. Małgorzaty.

– *Przecież z sierpniowego odpustu u fary słynie Sącz w Polsce?* – zapytaliśmy.

– *Bo to Matka Boska jest Królową Korony Polskiej, poza tym ten obraz koronował w 1963 roku Prymas Tysiąclecia kardynał Stefan Wyszyński w asyście przyszłego papieża, a ówczesnego arcybiskupa krakowskiego Karola Wojtyły* – argumentuje Orzechowski.

W każdym razie – zdaniem naszego znawcy – sztandar ma być owocem konsensusu społecznego, nie można nic narzucać na siłę, tak, aby już nikt później przy nim nie „majstrował". – *Sądeczanie powinni się utożsamiać ze sztandarem miasta, a na co dzień powinien on stać na stojaku w gabinecie prezydenta, bo prezydent wybrany w bezpośrednich wyborach uosabia suwerena, czyli mieszkańców Nowego Sącza* – uważa pan Adam, który nb. do fanów Ryszarda Nowaka nie należy, ale tu chodzi o urząd, a nie osobę.

A co zrobić ze starym, niepotrzebnym już sztandarem Rady Miasta, który towarzyszył sądeczanom w wielu historycznych chwilach? I na to pytanie antykwariusz ma natychmiastową odpowiedź: – *W 1927 roku, kiedy uchwalono nowy herb Rzeczpospolitej Polskiej, to sztandary zwycięskie Wojska Polskiego ze starym, nieaktualnym herbem, z legionów, z wojny z bolszewikami, często przestrzelone kulami nieprzyjaciół, skrwawione krwią żołnierza polskiego trafiły do gabinetów dowódców pułków, do izb pamięci, a na to miejsce fundowano nowe sztandary. Tak samo stary sztandar Rady Miasta, broń Boże, nie należy oddawać do muzeum, lecz powinien znaleźć godne miejsce na stałe, w sali obrad Rady Miasta, najlepiej w stojaku przy stole prezydialnym.*

Sztandar ma być owocem konsensusu społecznego, nie można nic narzucać na siłę, tak, aby już nikt później przy nim nie „majstrował".

(HSZ)

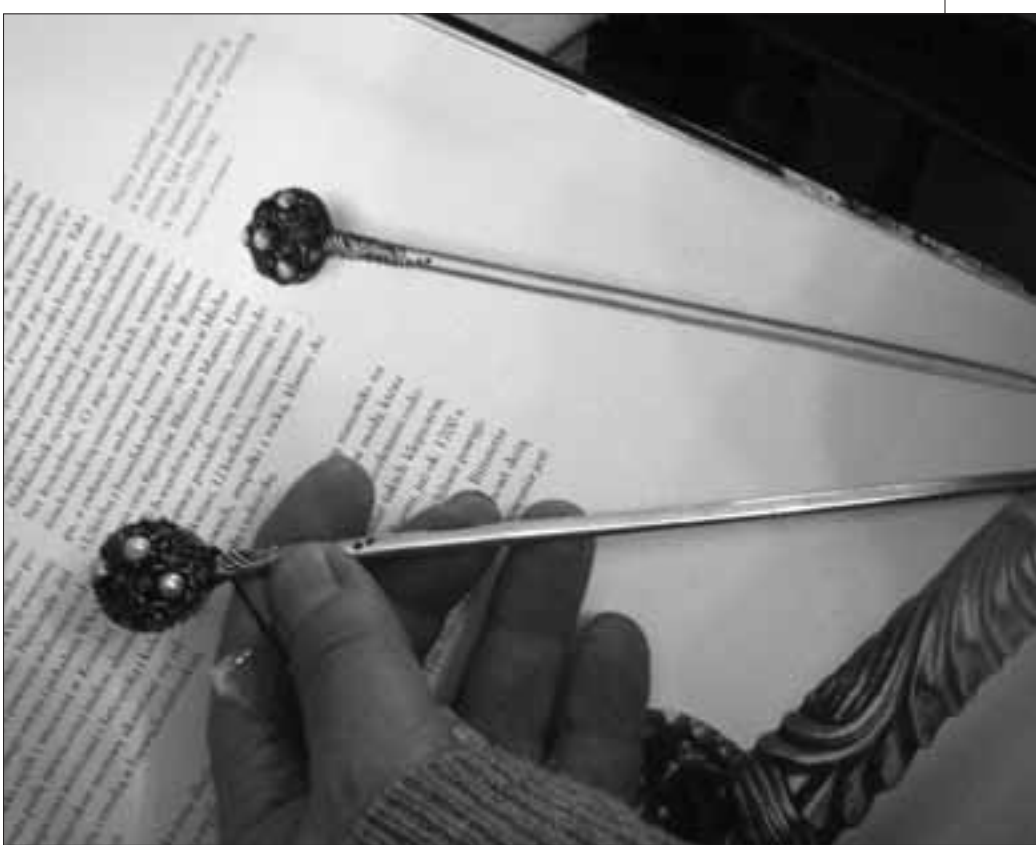

Pojedziemy na koniec świata, żeby Artur stanął na nogi...

Kocha góry i rowerowe eskapady. Wypadek nie zdarzył się jednak na górskim szlaku. Nieszczęśliwie upadł podczas prac w ogrodzie. Poważnie uszkodził kręgosłup. Teraz czeka na Waszą pomoc.

Artur jest mężem Iwony Kamieńskiej, dziennikarki „Gazety Krakowskiej". Iwona wielokrotnie angażowała się w pomoc innym. W swoich tekstach pisała o ludziach, którzy potrzebowali wsparcia. Dzięki jej publikacjom wielu z nich otrzymało pomoc. Teraz potrzebuje jej Artur.

Wypadek wydarzył się podczas pracy w ogrodzie. Artur spadł z niewielkiej wysokości, ale bardzo nieszczęśliwie. Doznał urazu kręgosłupa. Pomimo natychmiastowej pomocy, nadal nie ma czucia w nogach. Ucisk na rdzeń na szczęście nie trwał długo, jest szansa, że odzyska sprawność – pod warunkiem, że szybko zostanie skierowany na długą, bardzo intensywną rehabilitację i kontynuację leczenia. To wydatek nie do udźwignięcia dla bliskich Artura. Dadzą od siebie wszystko, aby opłacić początek leczenia, pomogą im życzliwi przyjaciele, ale będą potrzebowali pomocy, aby kontynuować terapię i wygrać wyścig z czasem, który może przesądzić o przyszłości niepełnosprawnego dziś człowieka.

– *Pojedziemy nawet na koniec świata, jeśli będzie taka potrzeba. Postawimy Artura na nogi* – zapewnia Iwona Kamieńska. – *Już decydowaliśmy, że chcemy go zabrać do Moskwy, gdzie są specjaliści, zajmujący się uszkodzeniami kręgosłupa. Jestem w kontakcie z Magdą Kotlarz. Jej leczenie w Moskwie przynosi bardzo dobre rezultaty.*

Magdalena Kotlarz miała wypadek samochodowy. Porusza się na wózku inwalidzkim. Dzięki specjalistom z Rosji pojawiła się szansa, że stanie na nogi.

Rehabilitacja w Moskwie jest jednak bardzo kosztowna. Ale każda, nawet najmniejsza pomoc, bardzo się tu liczy. Wkrótce zostanie uruchomione konto dla Artura Kamieńskiego.

– *Artura czeka ciężka i długa rehabilitacja. Nie ma, co ukrywać, że i bardzo kosztowna* – mówi Marcin Kałużny, prezes zarządu stowarzyszenia Sursum Corda. – *Będziemy się starać, żeby zaczął leczenie w Górnośląskim Centrum Rehabilitacji „Repty". Jedną z alternatyw jest także wyjazd do Moskwy.*

– *Spotkaliśmy na swojej drodze wielu wspaniałych ludzi, którzy chcą nam pomóc. Jesteśmy zbudowani postawą*

Wypadek wydarzył się podczas pracy w ogrodzie. Artur spadł z niewielkiej wysokości, ale bardzo nieszczęśliwie. Doznał urazu kręgosłupa.

lekarzy, m.in. chirurga z Krynicy Jacka Ślipka, czy Janusza Kellesa, który obiecał pomóc w rehabilitacji – dodaje Iwona.

Przy ćwiczeniach trzeba być na razie bardzo ostrożnym. – *Artur jest po operacji. Ma wstawiony most tytanowy w kręgosłupie, który musi zrosnąć się z kością. Będzie walczył – wiem to i podziwiam go* – chwali męża Iwona. – *Bardzo chciałabym, aby historia Artura była kiedyś dla innych, którzy przeżyli podobny wypadek, inspiracją jak zwyciężyć w walce o sprawność.*

(MC)

WARTO WIEDZIEĆ

Kontakt w sprawie akcji oraz dodatkowe propozycje wsparcia, organizacji imprez należy kierować na adres: Stowarzyszenie SURSUM CORDA – Organizacja Pożytku Publicznego ul. Lwowska 1, Nowy Sącz lub pod numery telefonów: 18 540 40 40, 18 44 11 994 i 692 115 724.

Każde życie jest darem od Boga

Chata pełna dzieci!

Przez ich dom przewinęło się dziesięcioro dzieci. Niektóre powróciły do biologicznych rodzin, inne znalazły rodziców adopcyjnych. Został Franek... Państwo Beata i Janusz Jędrusikowie byli jedną z pierwszych w Nowym Sączu niespokrewnioną rodziną zastępczą. Dziś pod ich dachem funkcjonuje także Dom Obrony Życia.

„RODZINNA POCZEKALNIA"

Zaczęło się w 1996 roku, kiedy w Polsce idea niespokrewnionego rodzicielstwa zastępczego dopiero raczkowała. Państwo Jędrusikowie, wtedy rodzice czworga dzieci, z których najmłodsza – Iwonka – miała zaledwie roczek, postanowili stworzyć „rodzinną poczekalnię".

– *Zamiast do domu małego dziecka, czy szpitala, maluchy, które zostały odrzucone, trafiały do nas. Tutaj czekały na uregulowanie kwestii prawnych i znalezienie rodziny adopcyjnej, bądź powrót do biologicznych rodziców. Chodziło nam o to, by w ciągu pierwszych miesięcy życia dziecko otoczone było odpowiednią opieką, aby ktoś je przytulił, żeby nie rozwinęła się choroba sieroca* – opowiada Janusz.

Czas przebywania maluszka u państwa Jędrusików miał wynosić maksymalnie 5-6 miesięcy. Pierwsza dziewczynka, która do nich trafiła, została prawie rok.

– *Ania nie miała odruchu ssania, nie płakała, nie dawała żadnych sygnałów, nawet kiedy zmoczyła pieluszkę. Była*

u nas przez 11 miesięcy i … wróciła do swojej biologicznej mamy, która wcześniej nie mogła jej zatrzymać. Nie było to łatwe. Ta kobieta musiała udowodnić, jest w stanie być matką dla swojej córki, że stać ją na zapewnienie dziecku bytu. Ale udało się – mówi Beata.

Niebawem na świecie pojawił się Mateusz – piąte dziecko Jędrusików. Jednocześnie w ich domu swoje miejsce znajdowały kolejne porzucone maluszki. Jednym z nich był Franek z zespołem Downa, który ostatecznie został w domu.

– Już na samym początku zdecydowaliśmy, że cokolwiek by się nie stało, jakiekolwiek dziecko by nie przyszło – zdrowe, czy chore, jeśli nie znajdzie rodziców adopcyjnych, zostanie u nas. Tak też było z Frankiem. Chłopiec nosi nasze nazwisko, jesteśmy jego opiekunami prawnymi, a on jest pełnoprawnym członkiem naszej rodziny – zaznacza Janusz.

NIE BYŁO ŁATWO...

Jędrusikowie nie żałują swojej decyzji, choć przyznają, że bywały bardzo trudne momenty.

– Na początku dużym problemem było to, że trzeba oddać dziecko. Wiele z nich karmiłam własną piersią, każde było przez nas traktowane jak własne… Długo oswajałam się z myślą, że muszę oddać dziecko, ale z czasem zrozumiałam, jakie jest nasze zadanie – wspomina Beata.

Bywały także problemy ze zdrowiem dzieci. Jakoś tak się składało, że każde z nich miało jakieś dolegliwości i wymagało specjalnej opieki. – *Jeździliśmy do specjalistów, na rehabilitację. Jedna z dziewczynek cierpiała na wzmożone napięcie mięśniowe i trzeba było z nią ćwiczyć codziennie w domu. Również dla kolejnej dwójki dzieci rehabilitacja w Krakowskim Ośrodku Rehabilitacji Wieku Rozwojowego u doktor Marii Drewniak była konieczna. Ale o ich zdrowie walczyliśmy wszyscy razem* – mówi Janusz.

Dom Obrony Życia to miejsce przeznaczone dla kobiet z Nowego Sącza, które oczekują na urodzenie dziecka i są w trudnej sytuacji życiowej.

Innym kłopotem była też sytuacja mieszkaniowa Jędrusików. – *W 2000 roku, gdy urodził się nasz syn Szymon, pod nasz dach trafiło ostatnie niemowlę. Mieszkaliśmy wtedy na pięćdziesięciu metrach kwadratowych w dziewięć osób. Trzy dziewczynki zajmowały jeden pokój, chłopcy spali w kuchni, a w sypialni my z dwójką maluchów* – opowiada Beata.

Jędrusikowie chcieli kupić większy dom, ale mimo że znaleźli taki, który by im odpowiadał, nie uzyskali kredytu. Bóg miał wobec nich inne plany, a swoje zamiary odkrył rok później.

– Jakoś tak się złożyło, że kwota do której mieliśmy zdolność kredytową pozwoliła nam na rozbudowę dotychczasowego mieszkania. Odczytałam to jako dar Boży. Rozbudowa domu to było pragnienie mojego życia. Wreszcie wszystkie dzieci miały swoje miejsce. Doszliśmy do wniosku, że jest tu miejsce jeszcze dla kogoś, kto może nas potrzebować, że te wolne pomieszczenia mogą posłużyć innym, którzy nie mają możliwości, żeby zwyczajnie, w spokoju położyć się w swoim pokoju i pomyśleć. Poczuć się spokojnie i bezpiecznie – dodaje Beata.

I tak w rozbudowanym domu Jędrusików powstał Dom Obrony Życia.

DOM DLA MAMY I DZIECKA

Dla Jędrusików Dom Obrony Życia to kontynuacja tego, co rozpoczęli w 1996 roku.

– Początkowo miał to być dom samotnej matki, ale ta nazwa nie za bardzo pasowała do tego, co chcieliśmy tutaj zrobić. Kiedyś trafiliśmy do Łagiewnik, na nabożeństwo w intencji obrony życia poczętego i wtedy mnie natchnęło. Nasz dom nazwaliśmy ostatecznie Domem Obrony Życia – wspomina Beata.

Dom Obrony Życia to miejsce przeznaczone dla kobiet z Nowego Sącza, które oczekują na urodzenie dziecka i są w trudnej sytuacji życiowej.

– Nie oceniamy ich, ale musimy wiedzieć, dlaczego się u nas pojawiły. Czasami prowadzimy rozmowy, jak rozwiązać trudną sytuację, dzięki czemu niektóre dziewczyny mogą wrócić do swoich środowisk. Tym, które do nas trafiają, dajemy szansę, aby na spokojnie przemyślały i dojrzały do odpowiedniej decyzji. Kobiety, które chcą być z nami, dostają swój pokój z łazienką, ale podejmują życie w naszej rodzinie, na takich warunkach, jak wszyscy domownicy – wyjaśnia Janusz.

Do Domu Obrony Życia trafiają różne dziewczyny. Każda ma inne doświadczenia rodzinne, inne przyzwyczajenia. *– Nie uczymy ich życia na wzór naszej rodziny, ale uczymy, podobnie jak i nasze dzieci, miłości i odpowiedzialności za siebie nawzajem* – dodaje Beata.

– Nasz Dom jest otwarty dla wszystkich ciężarnych dziewczyn, które są pod presją otoczenia, którym różne rzeczy przychodzą do głowy. Najważniejsze, by chroniły życie! – mówi Janusz.

To najprawdopodobniej jedyna taka placówka w całym regionie. Jędrusikowie mają jednak nadzieję, że nie ostatnia. *– Bardzo byśmy chcieli, aby znaleźli się ludzie, którzy w idei wspomagania młodych kobiet w ciąży, odnajdą sens swojego życia* – dodają małżonkowie.

SIŁA OD BOGA

Beta i Janusz Jędrusik mają ośmioro własnych dzieci: Agnieszkę (25), Michała (24), Justynę (22), Iwonę (17), Mateusza (15), Szymona (12), Kubę (8) i Monikę (4). Pod ich opieką pozostaje także Franio (13). Ponadto stanowią rodzinę zastępczą dla 3-letniego Kamilka, który w ich domu przebywa razem ze swoją mamą Bożeną (20). Jak mówią, każde dziecko uczy ich czegoś nowego, każde daje poczucie radości i spełnienia.

– Wierzymy, że każde dziecko jest błogosławieństwem Bożym, choć zdajemy sobie sprawę, że kobieta, która ma urodzić czwarte, czy piąte, może być w trudnej sytuacji. Wtedy potrzebny jest jej ktoś, kto pomoże jej utwierdzić się w przekonaniu, że cokolwiek by się nie stało, może się czuć bezpieczna – ona i jej dziecko. Jeśli natomiast nie będzie w stanie zająć się maluszkiem, to wtedy przygarną go inni. Wdzięczność rodzin adopcyjnych dla matek, które pozwoliły im stać się rodzicami, jest naprawdę wielka. Najważniejsze w tym wszystkim jest to, aby pozwolić życiu żyć – podkreślają Jędrusikowie.

A skąd czerpią tak ogromne siły, energię i zapał do pracy? *– Czujemy, że Bóg jest nad nami i czuwa nad wszystkim co robimy. My tylko próbujemy jak najlepiej strzec Jego daru – daru życia* – odpowiadają.

KINGA BEDNARCZYK

WARTO WIEDZIEĆ

Pobyt kobiet w Domu Obrony Życia, do 2011 roku finansowany był w ramach projektu Stowarzyszenia Rodzicielstwa Zastępczego „Betlejem" wspólnie z Ośrodkiem Adopcyjno – Opiekuńczym w Nowym Sączu. Od 2012 roku „Betlejem" tworzy go wraz z Ośrodkiem Wsparcia Rodzin. Można go wspomóc wpłacając dowolną kwotę na konto Stowarzyszenia: 45 8805 0009 0000 5845 2008 0001 z dopiskiem „Dom Obrony Życia".

On wpatrzony w nią jak w obrazek

Miłość po 62. latach...

Poznali się w kwietniu 1948 roku na weselu. Do tańca zaprosił ją przyszły teść. Nie mógł się nadziwić, jaka ona ładna i rumiana. Na drugi dzień do drzwi zapukał przyszły mąż. – Przyszedł i zabrał mnie na poprawiny – wspomina Stefania Sroka. – Zaloty nie trwały długo. We wrześniu tego samego roku wzięliśmy ślub.

Stefania i Michał Srokowie to mieszkańcy Żeleźnikowej w gminie Nawojowa. W ubiegłym roku obchodzili jubileusz 62 lat pożycia małżeńskiego. Mają 9 dzieci, 42 wnucząt i 45 prawnucząt. Na święta dom zawsze jest pełny. – Dzieci mamy kochane, są blisko Boga. Zawsze o nas pamiętają. Tworzymy prawdziwą rodzinę – mówi z przekonaniem pani Stefania. – Kiedy był Dzień Babci i Dziadka, dzieci nie mogły się pomieścić w domu. Nasze święto trwało chyba ze dwa tygodnie.

W Wielką Niedzielę będą chrzciny. *– W Nawojowej i Biegonicach. A dwoje kolejnych prawnucząt jest w drodze. Mam nadzieję, że dożyjemy także prawnuków. Nasz 18-letni prawnuk ma już dziewczynę* – uśmiecha się.

Małżonkowie mają za sobą diamentowe gody, ale pan Michał jest nadal wpatrzony w żonę jak w obrazek. Jakby dopiero ją poznał. Kiedy ona opowiada o wojnie – on słucha z zaciekawieniem. Kiedy mówi on – ona tylko przytakuje.

– Podczas jednej z rocznic małżeńskich ksiądz zapytał, jak nam się żyje. W odpowiedzi patrząc na męża zaśpiewałam:

„Przeżyłam z tobą tyle lat,
Choć w oczy wiał mi nieraz wiatr.
Przy tobie się nauczyłam żyć,
Przy tobie śniłam swoje sny.
Przeżyłam z tobą tyle lat
Oddałam ci swój cały świat
I chociaż wiem, jak smakują łzy,
Dziś nie żal mi przeżytych dni”.

Nie trzeba dodawać, że po tak wzruszającym wykonaniu, rozległy się brawa. *– Dziękuję Bogu za każdy dzień z nią przeżyty i proszę o następne* – dodaje pan Michał.

Pani Stefania dobrze pamięta czasy wojny i powojennej „opieki” żołnierzy radzieckich. *– Byłam najdzielniejsza z rodzeństwa. Posyłali mnie z bańką do mleczarni. Pamiętam, że już po wojnie przyszli do nas Rosjanie. Zaczęli przeczesywać cały dom. Przewrócili go do góry nogami. Udało mi się uratować kilka ubrań z kufra. Wyszarpałam je żołnierzowi z ręki. Spojrzał na mnie, ale odpuścił…*

Pan Michał od 1945 do 1948 r. był w wojsku. *– Tuż po wojnie szliśmy za frontem pod kierunkiem rosyjskich żołnierzy i rozminowywaliśmy teren. Był wybuch. Zostałem ranny w głowę.*

Dwa miesiące leżał w szpitalu. Kiedy wyzdrowiał, zaczął pracę w cegielni. W wieku niespełna 50 lat dostał rentę.

Razem z żoną zbudowali dom. Mają dwa pokoje, łazienkę i kuchnię. – Gazowej kuchenki nie puszczę. Mam swój piec ukochany, kaflowy. Ma 60 lat i jeszcze nie był wymiatany – chwali Stefania Sroka.

Małżeństwo jest bardzo gościnne. Kiedy zjawiamy się u nich, stół jest suto zastawiony. Czeka rybka w sosie greckim, marynaty, chleb domowej roboty i przepyszne wypieki. *– A może wódeczki się napijecie* – pyta gospodyni. *– Mam też wino, które przywiózł mi wnuk z Izraela, z Kany Galilejskiej, gdzie Jezus wodę w wino przemienił…*

O małżeństwie państwa Sroków opowiedział nam radny gminy Nawojowa. Michał Lelito i sekretarz gminy Janusz Cabak odwiedzili z nami panią Stefanię i pana Michała przed świętami Wielkiej Nocy.

MAŁGORZATA CETNAROWICZ

OLGA BOŃCZYK

Aktorka i wokalistka na Festiwalu „Pamiętajcie o Ogrodach" zawitała z piosenkami wykonywanymi niegdyś przez Kalinę Jędrusik. – *Skonfrontowanie się z tymi legendarnymi wykonaniami było zawsze wyzwaniem dla śpiewających aktorek* – powiedziała Olga Bończyk. – *To kompozycje piękne, ale trudne. Piosenki Kaliny naprawdę stawiają poprzeczkę wysoko. Na pozór to wszystko opowiada o miłości, jednak trzeba życiowej dojrzałości, żeby je dobrze wykonać* – dodała. Ze sceny usłyszeć można było m. in.: „Ciepłą wdówkę", „Kalinowe serce", „Nie pożałuje pan", „La valse du mal" (rok temu rewelacyjnie w Nowym Sączu śpiewała tę piosenkę Magda Umer), „W kawiarence Sułtan", „S. O. S.". Wykonania Bończyk są subtelne i liryczne. Co ważne, nie skupiają się tylko na wokalu, ale doskonale wpisują się w rytmiczne i nastrojowe aranżacje. Trójka znakomitych, znanych z wielu projektów muzycznych, instrumentalistów: pianista Jacek Piskorz, perkusista Krzysztof Szmańda i kontrabasista Andrzej Święs wraz z Olgą Bończyk „wynieśli piosenki ponad tekst".

Z racji wizyty Andrzeja Święsa koncert nabrał dodatkowego znaczenia, bo kontrabasista to rodowity nowosądeczanin, a obecnie jeden z najzdolniejszych jazzowych akompaniatorów.

DWIE DEKADY Z PIÓREM

W Światowy Dzień Poezji w piwnicach Sądeckiej Biblioteki Publicznej zorganizowano spotkanie z Wojciechem Kudybą, poświęcone jego twórczości poetyckiej.

O poezji Kudyby rozmawiali: Tadeusz Basiaga, Stanisława Widomska, Janusz Jedynak, Danuta Sułkowska, Grzegorz Rapcia, Wanda Łomnicka-Dulak i Barbara Paluchowa. Zaproszeni goście omawiali wszystkie dotychczas wydane przez niego tomiki. Było to sześć koleżeńskich refleksji poetów o poecie, nie licząc Grzegorza Rapci, który pisarzem nie jest. Członkowie Grupy Literackiej „Sądecczyzna" mówili o kolejnych tomikach autora „Gorców Pana" – od debiutanckiego „Wierność w małej rzeczy" do najnowszego „Ojciec się zmienia". Każdy z nich czytał też wybrane przez siebie wiersze. Tadeusz Basiaga podkreślił, że dla Kudyby poezja to świadomy wybór, święta droga i droga do jej osiągania. Janusz Jedynak, dzielący się swoją refleksją na temat „Wierszy dla księdza Jana i innych bliskich osób", podkreślił, że poezja z trzeciego tomiku to dialog z ważnymi dla poety postaciami, który stopniowo przekształca się monolog wewnętrzny.

Danuta Sułkowska, poetka ze Starego Sącza, której na wieczorze przypadła rola gospodarza, przybliżyła poetykę i nastrój zbiorku „Tyszowce i inne miasta", w którym Kudyba pisze o swoim rodzinnym mieście, a później obrazu miasta lat dziecinnych szuka w innych metropoliach.

RYSUNKI BOJARCZUKA

Tłumy sądeczan przyciągnął wernisaż prac Krzysztofa Bojarczuka, sądeckiego malarza i rysownika. – *Po pięciu latach od ostatniej dużej wystawy Krzysztof znowu zaznaczył swoją obecność w Nowym Sączu. Byłam bardzo zaskoczona, kiedy przed wystawą zostałam zaproszona do jego pracowni. Zobaczyłam tam setki uporządkowanych rysunków i tysiące pomysłów. Jeżeli w tej wystawie udało się nam pokazać wielką pracowitość i konsekwencję w dążeniu do celu, to jest ona tym, co powinno się zdarzyć teraz* – powiedziała Ewa Rams, kurator ekspozycji. Wystawa była dobrą okazją do odznaczenia Krzysztofa Bojarczuka. Artysta otrzymał od prezydenta Ry-

szarda Nowaka oraz przewodniczącego Jerzego Wituszyńskiego grawerton. – *Wyróżnienie to jest nie tylko za działalność artystyczną, ale także za działalność pedagogiczną i społeczną* – powiedział Wituszyński. Przewodniczący przypomniał, że to właśnie Bojarczuk był projektantem pomnika Solidarności.

Wystawa Bojarczuka to niezwykły świat tysięcy kolorowych kresek, podróż przez abstrakcyjne krainy i próba oswojenia przemijania.

ESEJE KUDYBY

„Wiersze wobec Innego" to zbiór kilkunastu esejów poświęconych współczesnym wierszom polskich poetów. O najnowszej publikacji Wojciecha Kudyby z jej autorem dyskutowali: Witold Kaliński – gospodarz wieczoru, Grzegorz Rapcia i Paweł Zięba.

– *Ta książka miała wiele szczęścia, bo znalazł się wydawca. Humaniści nie mają szczęścia do wydawania książek, a tu zdarzył się cud* – zwróciła się do mnie redakcja dwumiesięcznika „Topos", z którym współpracuję – przybliżył powstanie „Wierszy wobec Innego" profesor. Propozycja padła w maju, a sama książka powstała między 20 lipca a 8 września, kiedy Kudyba „zamknął się w pokoju" i tworzył, kompilował wcześniej powstałe szkice, zagłębiał się w same utwory i literaturę pomocniczą.

– *Chciałem napisać taką książkę, którą dałoby się czytać, która nie byłaby uczoną dysertacją* – mówił Kudyba. Rozmawiając z trzema również polonistami, starał się przybliżyć swoje rozumienie „inności", jako np. spotkania z drugim człowiekiem, oraz nakreślał drogę dochodzenia do niektórych wniosków. Swoją pracę porównał z działaniami detektywa, który dąży do rozwiązania zagadki, rozwikłania wielkiej bądź nie tajemnicy.

STUDENCI W NATARCIU

W foyer Miejskiego Ośrodka Kultury odbył się wernisaż wystawy prac studentów edukacji artystycznej w zakresie sztuk plastycznych Państwowej Wyższej Szkoły Zawodowej w Nowym Sączu. Zaprezentowane zostały prace studentów powstałe w ramach przedmiotów kierunkowych w bieżącym roku akademickim, a także członków Koła Naukowo-Artystycznego „Piekarnia". W wernisażu wystawy wzięli udział zarówno gospodarze MOK, jak również studenci, wykładowcy i dyrekcja Instytutu Pedagogicznego.

„Piekarnia" zrzesza studentów i absolwentów kierunków artystycznych sądeckiej uczelni. Głównym zadaniem koła jest propagowanie twórczości artystycznej i zainteresowań wśród studentów.

– *Wystawa, zorganizowana dzięki uprzejmości Miejskiego Ośrodka Kultury, który nas tutaj zaprosił, prezentuje prace studentów edukacji artystycznej w zakresie sztuk plastycznych oraz Koła Naukowo-Artystycznego „Piekarnia"* – powiedziała dr Iwona Bugajska-Bigos. *–Znajdziemy tu malarstwo, fotografię, grafikę i wiele, wiele innych.*

„Piekarnia" zrzesza studentów i absolwentów kierunków artystycznych sądeckiej uczelni. Głównym zadaniem koła jest propagowanie twórczości artystycznej i zainteresowań wśród studentów.

„FOKUS 2012"

Festiwal Kultury Studenckiej „FoKuS" po raz trzeci zorganizowany został przez studentów Państwowej Wyższej

Szkoły Zawodowej w Nowym Sączu i Wyższej Szkoły Biznesu – National-Louis University. Udział w nim wzięli przede wszystkim: studenci wszystkich sądeckich uczelni, ośrodków akademickich w Krakowie oraz licealiści z Nowego Sączą. Nagrody Grad Prix powędrowały w ręce: Tomasza Sławińskiego za rzeźbę „Madonna" oraz zespołu WalkMan.

Na festiwalu osiągnięcia artystyczne w kategorii sztuk plastycznych i filmowych oceniało jury w składzie: Andrzej Szarek (przewodniczący), Piotr Droździk (ekspert fotografii), Karol Szafraniec (ekspert filmowy), Justyna Mamcarz (studentka PWSZ), Maria Marcinkowska (PWSZ), Dariusz Izworski (student WSB) oraz Tadeusz Węgrzyński (WSB), a w kategorii scenicznej: Janusz Michalik (przewodniczący jury), Justyna Mamcarz (studentka PWSZ), Jacek Mazanec (PWSZ), Marcin Leśniak (student WSB) i Natalia Ćwik (WSB).

W pierwszym dniu artystycznych zmagań studentów odbył się wernisaż prac plastycznych oraz Przegląd Filmów Bardzo Krótkich. Drugiego dnia studenci próbowali swoich sił w rywalizacji scenicznej – muzyka (soliści i zespoły) oraz kabaret. Ostatniego dnia „FoKuSa" w sali widowiskowej Miejskiego Ośrodka Kultury wystąpili wszyscy artyści zakwalifikowani do finału, następnie odbyło się wręczenie nominacji – wraz z pamiątkową maszynką do mielenia, wyróżnień i przede wszystkim Grand Prix, a na koniec wystąpiła formacja Positive Message.

DWA BIEGUNY

Wystawa fotografii Katarzyny Waśko to ostatnia część cyklu FO-TO Debiuty. „Kłamstwa i przejścia", czyli ponad 30 czarno-białych fotografii. – *To dialog myśli i skojarzeń na temat dwubiegunowości otaczającej nas rzeczywistości. Jednocześnie są to obrazy ukazujące realne przestrzenie w postaci kłamstw, przeinaczeń i niedomówień, które zmieniają ich znaczenie, jakość, sposób odbioru* – powiedziała autorka, Katarzyna Waśko.

„Kłamstwa i przejścia" mają spróbować odpowiedzieć na pytanie, w jakim stopniu mamy wpływ na postrzeganie rzeczywistości, a na ile sama rzeczywistość pozwala nam się dostrzec, zrozumieć i odebrać w określony sposób. Autorka powtarza kadry, przesuwa i rotuje, tworzy pozytywy i negatywy.

FO-TO Debiuty to 9 wystaw fotograficznych, podczas których prezentowane są prace miłośników i amatorów fotografii artystycznej, wyłowionych okiem sądeckich fotografików – Andrzeja Naściszewskiego i Tomasza Oleksego.

CHASYDZI W DAWNEJ SYNAGODZE

Wystawa „Chasydzi. Zaginiony świat" autorstwa sądeckiego fotografika – Piotra Droździka – przedstawia pielgrzymki chasydów do miejsc dla nich najważniejszych – miejsc pochówków cadyków. Leżajsk, Nowy Sącz, Rymanów to miejsca, gdzie w rocznicę ich śmierci rokrocznie zjawiają się tysiące ortodoksyjnych Żydów.

– *Żałuję, że nie jestem antropologiem kultury lub historykiem, bo wtedy zapewne zrobiłbym wystawę, która opowiadałaby o całej historii chasydyzmu na terenach II Rzeczypospolitej i na pewno dowiedzielibyście się z niej więcej. Moja wystawa ma inny cel. Chciałbym poprzez nią przypomnieć, że w Nowym Sączu do 1939 roku co trzeci obywatel był żydowskiego wyznania* – mówił Piotr Droździk do tłumnie przybyłych na wernisaż gości.

Wystawa w zamyśle autora odsłania „zaginiony świat", choć nie są to materiały archiwalne, ale współczesne zdjęcia. Czarno-biała kolorystyka nadaje im jednak klimat jak na fotografiach z odległej przeszłości. Chasydzi nie mieszkają już w dawnej Galicji. Odwiedzają swoje święte miejsca, co roku

przylatując z USA, Izraela czy ze Szwecji i. Piotr Droździk stara się dokumentować ich wizyty. Pokazywać ich zamknięty dla nas świat. Jest z boku, nie wychodzi przed modlących się, nie przeszkadza im. Chasydzkie rytuały widzimy z tyłu, z boku, rzadko ktoś ze skupionych Żydów patrzy w obiektyw. Na fotografiach zobaczymy pełne plany, ale też detale, podejrzane czasami z „ukrycia". Zaginiony, ale i odnaleziony świat pięknej tradycji.

Wystawę przygotowano w ramach projektu „SCANsen – współczesne możliwości dokumentowania tradycji", zrealizowanego przy wsparciu finansowym Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

KSIĄŻKA O KACZMARSKIM

Piotr Wiroński spotkał się z czytelnikami w piwnicach Sądeckiej Biblioteki Publicznej. Autor publikacji „Wbrew, pomimo i dlatego" opowiadał o swojej fascynacji Jackiem Kaczmarskim i jego twórczością. Polonista, doktor nauk humanistycznych, swoje pierwsze spotkanie z Kaczmarskim przeżył jeszcze jako 14-latek w 1992 roku, kiedy udało mu się przeprowadzić z bardem wywiad do szkolonej gazetki.

– Miałem wtedy wrażenie, że z tym człowiekiem bym się nie zaprzyjaźnił – powiedział w rozmowie z Katarzyną Hnat, dziennikarką Radia Złote Przeboje, która prowadziła spotkanie. Jednak bliższe zetknięcie z idolem pogłębiło jego zainteresowanie twórczością autora „Pochwały łotrostwa", co zaowocowało wydaną w „Księgarni Akademickiej" książką.

„Wbrew, pomimo i dlatego" to analiza 115 piosenek Jacka Kaczmarskiego z ponad 600, jakie ten napisał, które autor pogrupował tematycznie w motywy.

– Chciałem napisać książkę dla uniwersalnego odbiorcy, po którą sięgnie zarówno pasjonat Kaczmarskiego, jak i ktoś, kto chciałby jego twórczość dopiero poznać – mówił Wiroński, który celowo zrezygnował z akademickiego dyskursu na rzecz poszerzenia kręgu odbiorców swojej publikacji. Nie chciał również pisać biografii ani monografii o autorze „Naszej klasy". „Wbrew, pomimo i dlatego" jest jego subiektywnym wyborem tekstów, które przeanalizował, wykorzystując konteksty historyczne, literaturoznawcze i plastyczne.

– Miałem wtedy wrażenie, że z tym człowiekiem bym się nie zaprzyjaźnił – powiedział w rozmowie z Katarzyną Hnat, dziennikarką Radia Złote Przeboje, która prowadziła spotkanie.

ABSTRAKCJE BĘCA

– Suma naszych zachwytów nad malarstwem Bęca jest tak duża, że trzeba to jakoś wykorzystać – powiedział na otwarciu wystawy prof. Andrzej Szarek i klaskaniem uruchomił... piejącego koguta. Krakowianin Ireneusz Bęc prezentował swoje prace wcześniej w Małej Galerii wiosną 1994 roku.

– Mówi się popularnie, że artyści miewają odloty. Tak też jest z Ireneuszem Bęcem, tylko że on potrafi z tych odlotów powracać i pokazuje nam, co widział, co przeżywał i co czuł. Jako malarz spełnił się niezwykle wspaniale, po mistrzowsku spełnił się w kolorze – powiedział podczas wernisażu Andrzej Szarek.

Ireneusz Bęc jest absolwentem Liceum Sztuk Plastycznych im. A. Kenara w Zakopanem. Studiował na Akademii Sztuk Plastycznych w Krakowie. Dyplom otrzymał w 1985 roku w pracowni prof. Jerzego Nowosielskiego. Zajmuje się malarstwem, mieszka i pracuje w Krakowie. Jest nauczycielem w Zespole Sztuk Plastycznych im. A. Kenara w Zakopanem. Obecnie artysta finalizuje przewód doktorski, ale – jak wskazał Andrzej Szarek – dla niego Bęc już jest profesorem.

– Moje malarstwo nie jest modne, ale nadal przy nim pozostaję. To we mnie gra i dlatego to pokazałem – powiedział krótko o swojej wystawie Ireneusz Bęc.

JANUSZ BOBREK

Fajnie jest gdzieś wyjechać, a potem wrócić

Andrzej Stasiuk był gościem specjalnym pierwszego dnia Festiwalu Podróży i Przygody Bonawentura. Korzystając z wizyty pisarza w Starym Sączu, rozmawiamy z nim na tematy ogólnie związane z podróżowaniem lub – jak on woli – przemieszczaniem się. Nie przepada za zachodnią Europą, chociaż bywa w Berlinie i miasto to mu się podoba. Był w Londynie, ale, jak twierdzi, bardzo się zmęczył. Woli raczej kierunek południowo-wschodni i wschodni.

Andrzeja Stasiuka w zasadzie nikomu szerzej nie trzeba przedstawiać. Wybitny prozaik, poeta, eseista i dramaturg – nagrodzony m.in. Nagrodą Fundacji im. Kościelskich (1995) za powieść „Biały kruk" oraz Nagrodą Literacką Nike w 2005 roku za powieść „Jadąc do Babadag". Autor m. in.: „Murów Hebronu" (1992), „Opowieści galicyjskich (1995), „Fado" (2006), „Taksim" (2009). Jego literatura wytycza nowe szlaki, metaforycznie i dosłownie, bo związana jest często z konkretnymi miejscami na mapie i po tej mapie podąża.

Wspólnie z żoną, Moniką Sznajderman, prowadzi Wydawnictwo Czarne, specjalizujące się w literaturze środkowoeuropejskiej. Mieszka w Wołowcu w Beskidzie Niskim.

***

Jak podróżuje Andrzej Stasiuk? Czy tak jak bohaterowie jego książek? Czy tak jak oni podróżował przed laty, a teraz robi to zupełnie inaczej?

– Cóż, ja jestem bardzo stary i napisałem wiele książek...

Np. jak narrator w „Jadąc do Babadag"...

– Różnie się podróżuje, np. jadąc na rowerze. Każde wyjście z domu to jakaś podróż. W tym roku, jak po raz pierwszy wsiadłem na rower i podjechałem pod kilka gór, myślałem, że umrę, ale nie umarłem...

A lubi Pan w ogóle podróżować, bo jak się o Panu czyta informacje, to wydaje się, że jest Pan domatorem?

Jeżeli miałem wybór jechać do Nowego Sącza czy Krosna, to zawsze wolałem wybrać to miasto bardziej zapyziałe.

– Najlepiej dom smakuje, jak się do niego wraca. Ja lubię jeździć. To słowo jest bardziej zwrócone do rzeczywistości. Słowo podróżować ma w sobie duży ładunek, kojarzy się z czymś poważnym, a ja po prostu lubię jeździć. Czasami zajeżdżam gdzieś daleko.

Jeździć, tzn. wsiąść w auto i przebyć kilkadziesiąt, kilkaset kilometrów?

– Kilkanaście, kilkadziesiąt... Wczoraj pojechałem sobie na przykład do Żmigrodu i obszedłem tamtejszy rynek. Tak bez żadnego planu. Poszedłem na autobus w Gorlicach i pojechałem. Była piękna pogoda, a przede wszystkim piękne krajobrazy.

A jaki kierunek tras Pan najczęściej wybiera?

– Miałem ból, jak się tu wybierałem, bo najbardziej lubię jeździć na Wschód. Jeżeli miałem wybór jechać do Nowego

Sącza czy Krosna, to zawsze wolałem wybrać to miasto bardziej zapyziałe.

Lubię jechać w te strony, przy których granicy mieszkam, czyli kierunek południowo-wschodni. Teraz tak się złożyło, że na Wschód i to bardzo daleko. Rok po roku coraz dalej.

Polska, Słowacja, Węgry, Rumunia i w stronę Bałkanów... Co łączy mieszkańców tych państw, w których towarzystwie Pan się dobrze czuje?

– Spadek Austrowęgier, spadek komunizmu... pewna drugogatunkowość, poczucie marginalności, którą sobie bardzo cenię. Łatwiej się dogadać z człowiekiem z Bałkanów, niż z Francji. W ogóle na Bałkanach łatwo się dogadać, bo oni są tacy strasznie otwarci. Chcą gadać, przyjaźnić się. Czasami są wręcz nachalni.

A co z regionem nieopodal Pana Beskidu Niskiego? Lubi Pan Sądecczyznę? Np. Stary Sącz, w którym teraz jesteśmy?

– Nie jest tak, że nie lubię, więc to już coś. Lubię, chociaż bardzo rzadko tutaj bywam. Nigdy nie jest mi tu po drodze, więc nie bywam często w Starym Sączu. Nieraz jest tak, że przyjeżdża ktoś do mnie z zagranicy, wtedy ich tu przywożę, żeby pokazać im kawałek ładnej Polski.

Usiadłem sobie w Staromiejskiej na kawie i patrzę przez okno, a tu ciemno na tym rynku. Pięknie, taka wyrwa ciemności, tylko się latarenki palą, a w środku taki sześcian ciemności i tylko chłopaki w brykach siedzą i się naradzają, planują, co zrobić z wolnym piątkiem. Weekend się zbliża...

Mnie pociągają kraje apokaliptyczne. Te groźne, potworne i które coś przeżyły wielkiego. Dlatego jeżdżę do Rosji.

Skoro Pan tak ładnie rysuje przestrzeń miasta, dokładnie starosądeckiego rynku, to spytam z ciekawości o inne niedalekie miejsce. Czy wymarłe miasto z „Taksim" to Gorlice?

– Nie... (śmiech) to jest miasto z „Taksim". Poprzedni gorlicki burmistrz mnie przeklął, bo ten obecny jest w porządku, książki czyta. Tamten mnie przeklął: „Czy ten Stasiuk nie widzi, że czterysta kilometrów kanalizacji zrobiliśmy?!".

To jest fikcja zrobiona z różnych kawałków miasta. Gorlice wymarłe? Pan wybaczy...

– Mieszkam od kilku lat w Nowym Sączu. To miasto też jest wymarłe...

Proszę sobie pojechać na Słowację, tam to są dopiero fajne wymarłe miasta. Wszyscy Słowacy zamknięci siedzą w domu. Coś jest na rzeczy.

Na Słowacji, gdy się trochę pobłądzi, można trafić na cygańskie wioski, gdzie dzieci przy ulicy stoją nagie. To jest dopiero dziwny świat, a tuż obok.

Stoją gołe, bo im gorąco jest. To nie jest dziwny świat, to cygański świat, do którego nie jesteśmy przyzwyczajeni.

A Pana taki świat urzeka?

– Urzeka? Po prostu istnieje, a ja go opisuję. Jakby mnie urzekał, to bym został Cyganem. Romowie są pewnym elementem słowackiego krajobrazu. Dobrze wypadają w książkach.

Co z podróżami poza Europę, bo na Festiwalu Bonawentura będzie Pan mówił o mongolskiej przygodzie?

Mongolia, Daleki Wschód pogranicze rosyjsko-chińskie. Zacząłem tam jeździć, bo ta Europa jakaś taka ciasna się zrobiła. Ile można jeździć na Bałkany. Jakimś takim naturalnym kierunkiem jest Azja.

Ex Orient lux?

– Niekoniecznie. Mnie pociągają kraje apokaliptyczne. Te groźne, potworne i które coś przeżyły wielkiego. Dlatego jeżdżę do Rosji.

Po przygodę? Powiedział Pan „kraje groźne"...

Nie w sensie, że ci tu w łeb dadzą, ale w sensie historii. Jak się patrzy na historię rosyjską i na ogrom tego kraju, to robi wrażenie. To nie jest Benelux, to nie jest nawet Polska.

Proszę być spokojnym, nie jeżdżę, żeby mi po mordzie dali. Nie w taki sposób są groźni.

A w tym roku może do Chin pojadę. Tam są dopiero pociągające rzeczy.

I co, jakieś chińskie motywy pojawią się w książkach?

Nie wiem. Zobaczymy. To jest tak – człowiek strzela, a Pan Bóg kulę nosi...

Rozmawiał JANUSZ BOBREK

Bogusław Kaczyński żegna się z Krynicą

Takie zagrożenie dotąd tylko bywało, dziś wydaje się faktem: koniec Europejskiego Festiwalu im. Jana Kiepury w uzdrowisku pod Górą Parkową. Epoka Bogusława Kaczyńskiego w sądeckim kurorcie mija, ale burmistrz Krynicy-Zdrój mówi jasno, że miasto chce „odzyskać" swój festiwal.

FOT. ARCH.

Bogusław Kaczyński

Dariusz Reśko

Rozstanie nie jest aksamitne, tylko pełne wzajemnych pretensji, co wpycha strony w sytuację bez wyjścia. Dyrektor Bogusław Kaczyński i impresariat artystyczny Casa Grande przed Wielką Nocą ogłosili na stronie internetowej: „Po długim namyśle i liczeniu funduszy zmuszeni jesteśmy podjąć decyzję o odwołaniu Europejskiego Festiwalu im. Jana Kiepury, który miał odbyć się w dniach 11–25 sierpnia 2012 r. Powód: 100 tysięcy straty na zeszłorocznych koncertach, firma nie może ponieść podobnego ryzyka ponownie, bo to grozi jej katastrofą".

Kurort nie ukrywał zdziwienia i rozpaczy, pierwszy raz w swej historii festiwal miał się nie odbyć. Bogusław Kaczyński miał parę trudnych rozmów z kolejnymi burmistrzami, ale tak napiętej sytuacji i tak daleko idących deklaracji jeszcze nie było. Padło nawet mocne ostrzeżenie: „Czekajmy na lepsze czasy, które – mamy nadzieję – kiedyś nadejdą. Proszę być z nami w kontakcie i oczekiwać wiadomości o nowej edycji i miejscu Europejskiego Festiwalu im. Jana Kiepury". Nowym miejscu! Media sugerowały, że o festiwal stara się wiele miejscowości, w tym miasto, gdzie urodził się legendarny „Chłopiec z Sosnowca" …

– *Na pewno nie! Sosnowiec nie dysponuje odpowiednią salą, infrastrukturą. Jeśli w jakimś mieście pojawi się festiwal imienia Kiepury, to będziemy konkurować, ale mam nadzieję, że po tym rozstaniu pan Kaczyński nie będzie działał przeciwko nam* – deklarował Dariusz Reśko, burmistrz Krynicy-Zdrój. I również sięgnął po stanowcze obietnice: Festiwal im. Jana Kiepury odbędzie się na pewno w tym roku i na pewno w Krynicy-Zdroju. Z Bogusławem Kaczyńskim, czy bez.

W NAROŻNIKACH PRETENSJI

Posypały się pretensje i oskarżenia. Bogusława Kaczyńskiego, że na sygnały o ich problemach władze Krynicy „grobowo milczały", dotacje pozyskane i zadeklarowane przez burmistrza nie starczają, a ograniczenie przez straż pożarną liczby miejsc zapowiada drastyczne zmniejszenie wpływów z biletów.

Bogusław Kaczyński miał parę trudnych rozmów z kolejnymi burmistrzami, ale tak napiętej sytuacji i tak daleko idących deklaracji jeszcze nie było.

„Przez trzydzieści bez mała lat przyzwyczaiłem mieszkańców Krynicy- Zdroju do tego, że przywożę z sobą „wyżebrany" w Warszawie worek pieniędzy, artystów i teatry, a także telewizję, radio, czołowych dziennikarzy oraz potrafię zaprosić dziesiątki tysięcy widzów" – ubolewał Kaczyński, odpowiedzi burmistrza uznając za „nonszalanckie i aroganckie".

Z kolei Dariusz Reśko stwierdził, że kolejny rok z rzędu przeżywa podobny

„szantaż". Jak mówi, znalazł w sumie 425 tysięcy złotych dofinansowania, a gdyby organizator w zeszłym roku skorzystał ze wszystkich form wsparcia, jakie mu proponowano, to straty by nie poniósł.

W Wielki Piątek Bogusław Kaczyński przysłał mu pismo, w którym definitywnie zrezygnował z organizowania festiwalu.

Strony zabrnęły więc daleko, a Dariusz Reśko ostatecznie nie ukrywał, że choć wciąż liczy na zmianę decyzji przez Kaczyńskiego, to zdecydowany jest na zmianę formuły festiwalu. – *Chciałem, by jeszcze w tym roku, Roku Kiepurowskim, poprowadził festiwal. To się należy Krynicy, tradycji, osobie Jana Kiepury i wybitnej postaci pana Bogusława Kaczyńskiego, honorowego obywatela miasta, to też do czegoś zobowiązuje* – mówił, dając jednak do zrozumienia, że czas na porozumienie jest krótki: do końca kwietnia, w maju trzeba już ściągać artystów, podpisywać umowy i promować „odnowiony" festiwal.

ODNAWIANIE KORZENI

Bo impreza ma zostać „zrewitalizowana", wracając jednocześnie do korzeni. – *Festiwal jest własnością miasta i do tej formuły, która panowała do 2003 roku, wracam. Póki ja jestem burmistrzem, tak będzie. Nowa formuła okazała się bowiem nieskuteczna i przerodziła się w dyktat Casa Grande* – zaznacza burmistrz.

Festiwal Kiepurowski to największa letnia impreza kulturalna tego typu w Małopolsce, a Krynica jest z nią mocno utożsamiana. Ponieważ wersję pod nazwą Europejski Festiwal od 2003 roku organizuje Bogusław Kaczyński, miasto chce wrócić do starszego tytułu: Festiwal im. Jana Kiepury w Krynicy-Zdroju. Dawniej był też nazywany Festiwalem Arii i Pieśni im. Jana Kiepury.

Nie ulega wątpliwości: to Kaczyński rozpropagował Festiwal Kiepurowski, był od dziesiątek lat jego motorem i bohaterem, ściągał gwiazdy, media i sam błyszczał.

Aleksander Półchłopek wylicza: Bogusław Kaczyński prowadził 28 festiwali (od 1984 roku), obecny był na 29 i tegoroczny byłby jego trzydziestym, ale w Krynicy zorganizowano już 45 edycji tej imprezy. Kryniczanin prezentuje program pierwszego festiwalu, który odbył się we wrześniu 1967 roku, rok po śmierci słynnego tenora. Dedykację dla ojca Aleksandra – Stefana Półchłopka, który organizował ten festiwal – napisała na okładce żona śpiewaka Marta Eggerth-Kiepura.

Koncerty odbywają się w Krynicy, gdzie znajduje się „Patria", przedwojenna luksusowa budowla, która była jedynym polskim domem Jana Kiepury. Tu przyjeżdżał z najodleglejszych zakątków świata, spędzając wolne chwile z rodziną. Często przed willą gromadziły się tłumy entuzjastów gwiazdora prosząc, by pojawił się na balkonie i zaśpiewał: „Brunetki, blondynki" czy „Ninon". Modne przeboje popularyzowane przez jego filmy. Tłum skandował: „Jasiu śpiewaj!". I co jakiś uwielbiany śpiewak spełniał ich oczekiwania.

Pierwsze festiwale odbywały się na Deptaku i w sali teatralnej Starego Domu Zdrojowego. Występowali śpie-

ój

wacy o międzynarodowej randze, tacy jak Delfina Ambroziak, Krystyna Szczepańska, Wiesław Ochman, Andrzej Hiolski, Roman Węgrzyn, później Barbara Nieman, Hanna Rumowska, Pola Lipińska. Koncerty prowadziły również sławy: Jerzy Waldorff, Jerzy Katlewicz, Wojciech Dzieduszycki. Równolegle odbywały się konkursy dla absolwentów szkół muzycznych i amatorów.

GWIAZDA GWIAZD

Za sprawą Bogusława Kaczyńskiego festiwal stał się wydarzeniem o dużym zasięgu. Występowały na nim m. in.: zespoły oper Śląskiej i Krakowskiej, operetek Wrocławskiej i Gliwickiej, Mazowsze Miry Zimińskiej-Sygietyńskiej czy Śląsk Stanisława Hadyny. Gwiazdą wielu edycji była sopranistka Grażyna Brodzińska.

Nie ulega wątpliwości: to Kaczyński rozpropagował Festiwal Kiepurowski, był od dziesiątek lat jego motorem i bohaterem, ściągał gwiazdy, media i sam błyszczał. Jedni mieli pretensje, że oczekuje specjalnego traktowania, inni cieszyli się z klientów pensjonatów, knajpek, usług…. Budził podziw, ale ostatnio też zarzuty o rutynę, stały zestaw propozycji, brak oferty, która wykreowałaby nowych fanów.

Wraz z Kaczyńskim odejdzie część widowni przyzwyczajona do jego repertuaru, miasto zaś zamierza zabiegać nie tylko o zatrzymanie jak największej widowni 50+, ale też kusić ludzi młodych.

– *Mam świadomość, że część publiczności może się czuć nieusatysfakcjonowana, ale może to dobry moment do odświeżenia, odmłodzenia imprezy* – przyznał burmistrz. – *Festiwal nie powinien się opierać na jednej osobie. Bogusław Kaczyński jest bardzo ważny w świecie artystycznym, ale nie tylko tamta formuła jest do zaakceptowania przez szerszą widownię* – uważa.

– *Może dobrze się stało, festiwal wymagał odkurzenia* – sądzi Aleksander Ładysz, artysta operowy mieszkający od niedawna w Krynicy. Jest w gronie tych, którzy uznają, że osobowość Kaczyńskiego zdominowała festiwal. Znany krynicki fotografik Jerzy Żak uważa wręcz, że festiwal był ostatnio zawłaszczany przez organizatora.

W nowej formule minimum jeden koncert zagra Krynicka Orkiestra Zdrojowa, wizytówka uzdrowiska o 137-letniej tradycji. W kolejnych edycjach miasto chce też wrócić do organizowania konkursów dla młodych talentów. Głównym organizatorem imprezy ma się stać Centrum Kultury w Krynicy. Burmistrz rozważa też zaangażowanie agencji artystycznej, bo otrzymał kilka propozycji. Swoją ofertę wysłało też Krynickie Towarzystwo Kulturalne im. Jana Kiepury. Zgodnie z duchem odmładzania zawiera też propozycje takich koncertów, jak w ramach „Krynickich Debiutów" zespołu Audio Feels (laureat programu „Mam talent", zespół wokalny, głosy imitują też instrumenty muzyczne) czy Stanisława Sojki pod hasłem „Muzyka (Nie) Poważna".

Bogusława Kaczyńskiego burmistrz zamierza zaprosić na festiwal „w uznaniu zasług" jako gościa.

BERNADETA WASZKIELEWICZ

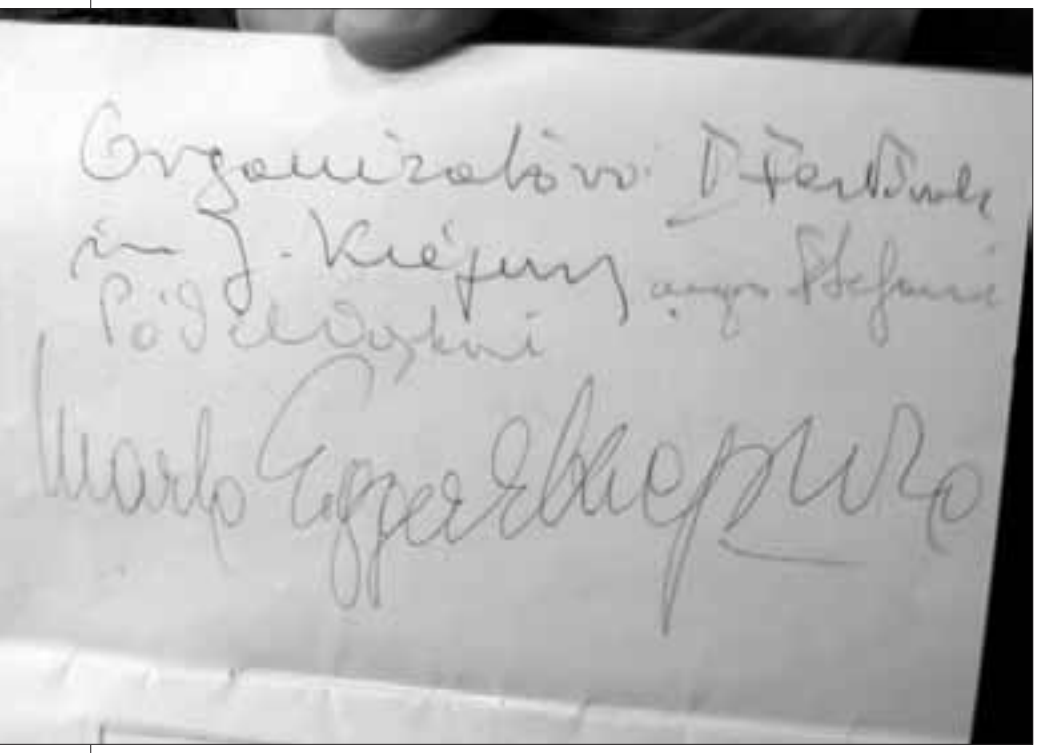

Marta Eggerth-Kiepura ma 100 lat!

Życzenia sądeczan

Kolejnych, pogodnych i szczęśliwych lat w klimacie życzliwości i wdzięczności ludzkiej – takie życzenia wysłali do Marty Eggerth, śpiewaczki i aktorki, starosta nowosądecki Jan Golonka oraz przewodniczący Rady Powiatu Wiesław Basta. 17 kwietnia żona Jana Kiepury skończyła sto lat.

W tym roku przypada 110. rocznica urodzin słynnego polskiego tenora, który kochał Krynicę, a setne urodziny obchodzi Marta Eggerth-Kiepura. – Żyje i mieszka w Nowym Jorku! Zaproponowałem więc w starostwie, by wysłać jej życzenia urodzinowe – mówi Marian Ryba, radny powiatowy z Krynicy-Zdroju.

Władze powiatu nowosądeckiego przyklasnęły pomysłowi i wysłały śpiewaczce kartkę: „Z wyrazami wielkiej dumy oraz szacunku pragniemy Pani złożyć najszczersze życzenia z okazji setnej rocznicy urodzin. Ten dostojny Jubileusz to dla nas wyjątkowa okazja ku temu, by złożyć Pani serdeczne gratulacje oraz życzenia dobrego zdrowia, bowiem jest ono najcenniejsze. Życzymy Pani kolejnych, spokojnych, pogodnych i szczęśliwych lat w klimacie życzliwości i wdzięczności ludzkiej".

***

Marta Eggerth urodziła się 17 kwietnia 1912 w Budapeszcie. Śpiewaczka operetkowa (sopran koloraturowy) była uważana za cudowne dziecko – mając 10 lat już występowała z Teatrze Węgierskim, w 1923 występowała w Węgierskiej Operze Państwowej, a w latach dwudziestych XX w. pojawiała się na deskach wszystkich ważniejszych oper europejskich. Miłość do muzyki przekazali jej rodzice: ojciec, dyrektor banku, był uznanym koneserem muzyki, zaś matka, Tilly Herzog, uczyła śpiewu na Akademii Muzycznej w Budapeszcie.

W 1927 Eggerth otrzymała z Berlina propozycję wystąpienia w filmie i tak rozpoczęła się jej kariera filmowa. Zagrała główną rolę w pierwszym węgierskim filmie dźwiękowym „Jedyna panna na świecie". Grała w Londynie, potem związała się z berlińską wytwórnią filmową UFA, dzięki której poznała światowej sławy polskiego tenora.

W 1936 wzięli z Janem Kiepurą ślub. Często występowali razem, choć Eggerth pozostawała raczej w cieniu swego słynnego męża. Byli wówczas jedną z najbardziej znanych par miłosnych. Razem przyjeżdżali do Krynicy. W 1938 przeprowadzili się na południe Francji, potem wyemigrowali do Stanów Zjednoczonych. Wystąpiła w hollywoodzkich produkcjach m.in. z Judy Garland i Gene'm Kelly.

Kiepurowie mieli dwóch synów – Jana Tadeusza i Mariana. Jan Kiepura zmarł 15 sierpnia 1966. Marta Eggerth od 1939 roku nie odwiedziła ojczystych Węgier.

(**BW**)

Źródło: własne, Wikipedia

NOWY SĄCZ

Dom Gotycki, ul. Lwowska 3

Do 27 maja – kontynuacja wystawy

CZAS KONFLIKTÓW – RZECZPOSPOLITA I MOSKWA NA PRZEŁOMIE XVI I XVII W."

Wystawa jest realizowana w ramach „Labiryntu historii" we współpracy z Fundacją „Nomina Rosae – Ogród Kultury Dawnej". Poza możliwością zobaczenia interesujących obiektów z Muzeum Narodowego w Krakowie i z Państwowych Zbiorów Sztuki na Wawelu, będzie też okazja do wysłuchania wykładu autorki scenariusza dr Beaty Biedrońskiej – Słotowej z Muzeum Narodowego w Krakowie i zapoznania się z modą przełomu szesnastego i siedemnastego stulecia w oparciu o rekonstrukcje kostiumowe Fundacji „Nomina Rosae – Ogród Kultury Dawnej".

„Hołd carów Szujskich", Jan Szwedkowski

Do 31 maja – kontynuacja wystawy

MALARSTWO ROMUALDA REGUŁY

31 maja – 1 lipca

MOJA PRZYGODA W MUZEUM

Wystawa prac plastycznych laureatów regionalnej edycji Międzynarodowego Konkursu Plastycznego dla dzieci i młodzieży – edycja 2011/2012.

Sądecki Park Etnograficzny i Miasteczko Galicyjskie, ul. Lwowska 226

Do 8 maja – kontynuacja wystawy

PERŁY SĄDECCZYZNY

Wystawa zorganizowana jest w związku z poprzedzającym ją konkursem fotograficznym, przeznaczonym dla uczniów szkół gimnazjalnych i ponadgimnazjalnych, organizowanym przez II Liceum Ogólnokształcące w Nowym Sączu przy współpracy Muzeum Okręgowego w Nowym Sączu – realizowanym w ramach projektu prezentacji dokonań artystycznych młodzieży pn."Debiuty".

Do 13 maja – kontynuacja wystawy

KARPACKIE ECHA"- WYSTAWA PRAC MARIANA PAŻUCHY

Wystawa rzeźb i płaskorzeźb, których motywem przewodnim są: praca, obyczaje i obrzędy, zwyczaje religijne, wierzenia i legendy ludowe regionu Karpat od Tatr, Beskidów i Pienin po Bieszczady.

Do 15 września – kontynuacja wystawy

MOTYLE I MIESZKAŃCY MIKROŚWIATA

Wystawa wielkoformatowych fotogramów autorstwa Bogdana Chrobaka, przedstawiających motyle, żuki, chrząszcze, biedronki i inne stworzenia podpatrzone na łąkach. Ekspozycja proponowana na otwarcie sezonu w SPE, a później będąca tłem dla pokonkursowej wystawy z okazji Dnia Dziecka w Skansenie pn. „Do biedronki przyszedł żuk..".

1 maja

MAJÓWKA 2012

Oficjalne otwarcie sezonu w Sądeckim Parku Etnograficznym i Miasteczku Galicyjskim. Impreza plenerowa inaugurująca sezon turystyczny, w trakcie której odbędzie się m.in. biesiadowanie i wspólne śpiewanie przy akompaniamencie kapeli, degustacja podpłomyków prosto z chlebowego pieca w chałupie lachowskiej, sfotografowanie się z ukochaną ubraną w strój ludowy oraz wiele innych atrakcji. Ponadto odbędzie się kiermasz, a w amfiteatrze leśnym i Miasteczku Galicyjskim występy artystyczne. Majówka odbędzie się w scenerii dawnego miasteczka i sądeckiej wsi.

3-4 maja

PIKNIK URODZINOWY

Impreza plenerowa, w trakcie której odbędzie się m.in. inscenizacja obrzędu oczepin w wykonaniu koła gospodyń, promocja i degustacja win reńskich, wspólna zabawa oraz wiele innych atrakcji.

8 maja – 11 września

GALICJA NA STAREJ I NOWEJ TAŚMIE FILMOWEJ

Pierwsza z cyklu pięciu plenerowych projekcji w ramach projektu „SCANsen – współczesne możliwości dokumentowania tradycji", realizowanego wspólnie z Ministerstwem Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

Projekt przedstawia szerszemu gronu widzów filmy fabularne, których akcja związana jest z Galicją, lub tematami odnoszącymi się do niej. Nie chodzi tu tylko o odniesienie do dawnych ziem zaboru austriackiego, zwanych Galicją, ale do pewnego symbolu, który stanowi Galicja dla Polaków (i nie tylko) po dziś dzień. Inspiracje tematyką galicyjską były i są

często spotykane w literaturze (np. XX–lecia międzywojennego) jak również malarstwie, rzeźbie i innych dziedzinach sztuki. Nadszedł również czas, aby pokazać, jak bardzo galicyjskość i wszelkie sprawy łączące się z nią zainspirowały twórców filmowych.

Filmy wyświetlane będą na rynku Miasteczka Galicyjskiego od maja do września 2012 roku. Terminy pokazów:

8 maja – Dobry wojak Szwejk (1956) – reż. Karel Steklý, Jiří Trnka
12 czerwca – Aria dla atlety (1979) – reż. Filip Bajon
10 lipca – Austeria (1982) – reż. Jerzy Kawalerowicz
7 sierpnia – Kolory Kochania (1988) – reż. Wanda Jakubowska
11 września – Znachor (1981) – reż. Jerzy Hoffman

12-13 maja
MAJOWE MUZYKOWANIE

19-20 maja
NOC MUZEÓW 2012

Nocna odsłona sztuki: zwiedzanie wystaw stałych i czasowych, magiczne opowieści, działanie twórcze i warsztaty malowania, specjalne pokazy, projekcje filmów, gry, konkursy i wiele innych niespodzianek.

26-27 maja
XIV MAŁOPOLSKIE DNI DZIEDZICTWA KULTUROWEGO

Kolejna edycja jednego z największych wydarzeń promujących bogactwo kulturowe Małopolski. Będzie można poznać różnorodność drewnianej architektury: od chłopskiej zagrody, poprzez dwory, drewniane zabytki techniki, aż po obiekty sakralne trzech wyznań (m. in. koncert organowy, nabożeństwo ekumeniczne w zborze ewangelickim ze Stadeł, giełda staroci).

26 maja-28 sierpnia
SKARBY MAŁOPOLSKI 2012– WOKÓŁ RATUSZA, W CIENIU RYNKOWYCH KAMIENIC

Pokonkursowa wystawa fotografii laureatów XII edycji konkursu organizowanego w ramach XIV Małopolskich Dni Dziedzictwa Kulturowego.

Galeria Dawna Synagoga, ul. Berka Joselewicza 12
Do 15 lipca – kontynuacja wystawy
CHASYDZI

Wystawa fotograficzna Piotra Droździka przedstawiająca pielgrzymki Chasydów do miejsc dla nich najważniejszych, miejsc pochówków swoich cadyków: Leżajsk, Nowy Sącz, Rymanów.

Galeria Marii Ritter i Stare Wnętrza Mieszczańskie, ul. Rynek 2
19-20 maja
NOC MUZEÓW 2012

Nocna odsłona sztuki: zwiedzanie wystaw stałych i czasowych, magiczne opowieści, działanie twórcze i warsztaty malowania, specjalne pokazy, gry, konkursy i wiele innych niespodzianek.

KRYNICA-ZDRÓJ

Muzeum Nikifora, Bulwary Dietla 19
Do 3 czerwca – kontynuacja wystawy
ZBIGNIEW RYSZARD ABRAM – MALARSTWO

Wystawa poświęcona twórczości Zbigniewa Ryszarda Abrama, prezentująca zabytkową regionalną architekturę Sądecczyzny i Podhala, kierująca naszą uwagę na malownicze wiejskie kościółki i cerkwie, kapliczki, krzyże przydrożne, młyny, kuźnie, chłopskie chaty, różne malownicze zaułki – pomniki naszej przeszłości.

25 maja
MOJA ŁEMKOWSZCZYZNA – AKCJA WISŁA NA ŁEMKOWSZCZYŹNIE – PRZYWOŁANIE PAMIĘCI

Piąte z cyklu spotkań organizowanych w ramach projektu „Via Galicia". Celem spotkania jest przypomnienie wydarzeń z 1947 r. i podkreślenie ich konsekwencji. Wprowadzenie naukowe specjalisty uzupełnią relacje świadków i uczestników wysiedlenia Łemków.

Odsłonięcie tablicy katyńskiej w 1992 r.

Katyń – ciąg dalszy nastąpi

16 maja 1992 w kościele p. w. św. Kazimierza w Nowym Sączu odsłonięto tablice pamiątkowe, poświęcone rozstrzelanym w Katyniu, Miednoje i Charkowie. W uroczystości wziął udział m.in. biskup polowy WP gen. bryg. Leszek Sławoj Głódź oraz biskup Józef Gucwa.

Zawierają one nazwiska Sądeczan, otaczając płaskorzeźbę Matki Bożej Katyńskiej. Umieszczona poniżej wnęka zawiera ziemię z Katynia, Miednoje i Charkowa w urnach wykonanych z łusek armatnich pocisków. Osiem lat później, w 71. rocznicę agresji ZSRR na Polskę, dodano kolejną tablicę, zawierającą nazwiska zamordowanych, o których wcześniej nie wiedziano. Poświęcił ją biskup Władysław Bobowski.

Pomysłodawcami uczczenia pamięci Sądeczan zamordowanych na „nieludzkiej ziemi" byli Józef Bieniek, Jerzy Giza i Bogdan Sekuła. Ich inicjatywę poparł ówczesny proboszcz kościoła św. Kazimierza ks. prałat Stanisław Czachor. Tak Nowy Sącz dołączył do miejscowości, w których pamięć o zbrodni katyńskiej zyskała realny wymiar. Z czasem na Cmentarzu Komunalnym ustawiono obelisk ku czci Sybiraków, ale także zamordowanych wiosną 1940 roku. No i wyryto ich nazwiska (nie wszystkie, niestety) na fragmencie pomnika poległych w II wojnie światowej (pierwotnie pomyślanego jako wyraz czci żołnierzy września 1939 r.).

Biografie „katyńczyków" pracowicie zestawił Jerzy Giza, w początkowej fazie korzystając z pomocy Bogdana Sekuły. Tak powstała „Nowosądecka lista katyńska", dwukrotnie już wydana, a i można żywić nadzieję, że niedługo ukaże się kolejna wersja, uzupełniona o nazwiska choćby z tzw. „listy białoruskiej", której dotąd nie odnaleziono.

***

Zaczęło się 13 kwietnia 1943 r., kiedy niemieckie radio ogłosiło komunikat: „Ze Smoleńska donoszą, że miejscowa ludność wskazała władzom niemieckim miejsce tajnych egzekucji masowych,

Pomysłodawcami uczczenia pamięci Sądeczan zamordowanych na „nieludzkiej ziemi" byli Józef Bieniek, Jerzy Giza i Bogdan Sekuła.

wykonywanych przez bolszewików i gdzie GPU wymordowało 10.000 polskich oficerów. [...] Byli oni w pełnych mundurach wojskowych, częściowo powiązani i wszyscy mieli rany od strzałów rewolwerowych w tyle głowy".

Dziś wiemy, że w Katyniu, a także w innych miejscach zagłady, zgładzono ok. 22 tys. Polaków: oficerów, prawników, naukowców, pracowników administracji państwowej, policjantów, nauczycieli, artystów – słowem tych, którzy w wojennych warunkach mogli być organizatorami niepodległościowej konspiracji.

Byli wśród nich także Sądeczanie.

Np. por. Józef Domosławski, urodzony się w podsądeckiej Dąbrówce w 1909 roku. 8 października 1939 r. został aresztowany przez NKWD w Drohobyczu. Tak pisał z Ostaszkowa do rodziny: „Sądzę, że nic złego nam się nie stanie. Sowiety krzywdy niewinnym ludziom nie robią, a zwłaszcza nam, synom robotniczym...".

Jednak zrobili. Rozstrzelano go w kwietniu 1940 r.

Por. Jerzy Kassubé, urodzony w Sękowej, miał jeszcze inne nadzieje: „Jeśli córkę mamy, to niech będzie Krysia, a jeśli syn, to sama wybierz imię..." – pisał do żony z Kozielska. Rzeczywiście, urodziła się Krysia. Nigdy nie zobaczyła ojca, zabitego w Katyniu.

Mord katyński – niemiecki afisz propagandowy

Jerzy Giza w swojej książce cytuje poruszający list Marii Znamirowskiej-Legutko, córki kpt. Wojciecha Znamirowskiego, jeńca Kozielska. Jej matka w marcu lub kwietniu 1940 r. miała widzenie: „Mama pełna niepokoju o losy ojca, modliła się do ryngrafu Matki Boskiej Częstochowskiej, który towarzyszył nam w drodze na wschód i z powrotem do Starego Sącza. Prosiła o wiadomość lub jakiś znak czy ojciec żyje, W pewnym momencie światło lampki przesłoniła postać żołnierza w długim płaszczu i grubych żołnierskich butach, mocno zabłoconych. Postać bez głowy, przechylała się raz w prawo, raz w lewo zasłaniając światło. Widok ten bardzo wyraźnie trwał kilka sekund [...]".

Innemu sądeczaninowi, Stanisławowi Roli, tragiczny los wywróżyła Cyganka: „W tobie kocha się starsza kobieta, ale cię nie dostanie, ciebie żadna nie dostanie, bo tragiczną śmiercią zginiesz". Pewnej nocy 1940 roku domowników obudził krzyk jego matki: „Stasiu! Dziecko moje! Jak oni cię strasznie mordują!". Rozbudzona opowiadała swój sen: „W lesie morduje go wojsko, którego nie znam".

Wędrując po sądeckich cmentarzach można spotkać sporo tabliczek upamiętniających tych „strasznie mordowanych". To oczywiście symboliczne groby. Oni spoczywają tam, gdzie dopadła ich okrutna śmierć: w Katyniu, Charkowie, Twerze, Bykowni... I kto wie, gdzie jeszcze?

***

16 kwietnia tego roku Trybunał Praw Człowieka ogłosił w Strasburgu orzeczenie w sprawie, wytoczonej przez kilkunastu krewnych ofiar przeciwko Rosji. Trybunał uznał, że masowy mord dokonany na polskich więźniach można traktować jako zbrodnię wojenną. Skarcił także Rosję za nieprzeprowadzenie skutecznego śledztwa w sprawie zbrodni katyńskiej oraz utajnienie dokumentów, w tym decyzji prokuratury wojskowej o zakończeniu dochodzenia i pogardliwe traktowanie Polaków domagających się ujawnienia pełnej prawdy..

I co? Prawdopodobnie nic. Rosja panicznie boi się, że jeśli przegra z Rodzinami Katyńskimi, na Kreml runie lawina listów od Rosjan, Ukraińców, Litwinów, Kazachów, Sybiraków itp. domagających się rehabilitacji stalinowskich ofiar, a także odszkodowania. To rzeczywiście może być kłopotliwe, zważywszy, że ilość Polaków zamordowanych w 1940 r. ocenia się na 22 tysiące. Tymczasem historycy uważają, że stalinizm kosztował życie ok. 30 milionów ludzi. Nie licząc tych, którzy kilka lub kilkanaście lat przeżyli w łagrach, traktowani jak niewolnicy.

***

A oprawcy? Jak którzy...

18 stycznia 1948 r. Piotr Karcew, jeden z uczestników mordu katyńskiego, popełnił samobójstwo. Wg relacji jego córki, Tatiany Łukjanowej, „Na działkach rekreacyjnych Zarządu KGB w Lesie Katyńskim pokazał mi miejsce pogrzebania rozstrzelanych oficerów polskich, położył się tam i długo płakał".

Wielu z nich nie mogło unieść tego ciężaru. Ofiary śniły się im po nocach. Wódka przestała pomagać. Wtedy pomagał służbowy pistolet, zachowany na pamiątkę.

Ale nie wszyscy go potrzebowali. Gen NKWD Wasilij Błochin, wykonywał wyroki śmierci od sierpnia 1924 do marca 1953 roku. Podobno także w Katyniu. Zabijał niemal codziennie. Rosyjscy historycy szacują, że własnoręcznie zastrzelił 10-15 tys. osób. To on zabił marszałka Michaiła Tuchaczewskiego, byłego szefa NKWD Nikołaja Jeżowa i pisarza Izaaka Babla.

Po śmierci Stalina przeszedł na emeryturę. Pochwałą za nienaganną służbę żegnał go Ławrentij Beria. Błochin zmarł w lutym 1955 roku. Ostatnio doczekał się nowego, okazałego nagrobka.

Nieprędko będzie można przestać mówić i pisać o Katyniu. I jeszcze przez długi czas teksty o nim będą kończyły słowa: „Ciąg dalszy nastąpi".

JACEK ZAREMBA

Projekt współfinansowany przez Unię Europejską w ramach Europejskiego Funduszu Społecznego

CZŁOWIEK – NAJLEPSZA INWESTYCJA

CHCESZ PODNIEŚĆ SWOJĄ WIEDZĘ I KOMPETENCJE?
CHCESZ WZMOCNIĆ SWOJĄ POZYCJĘ ZAWODOWĄ?

Jeśli jesteś zatrudniony/-a na umowę o pracę w mikro lub małym przedsiębiorstwie – firmie rodzinnej działającej w branży turystycznej lub jesteś właścicielem takiego przedsiębiorstwa

SERDECZNIE ZAPRASZAMY DO WZIĘCIA UDZIAŁU W PROJEKCIE

„SZKOLENIA DLA BRANŻY TURYSTYCZNEJ WOJEWÓDZTWA MAŁOPOLSKIEGO SZANSĄ ROZWOJU PRZEDSIĘBIORCZOŚCI RODZINNEJ"

Tematyka szkoleń:

- Skuteczny marketing usług turystycznych
- Negocjacje z dostawcami i klientami
- Obsługa klienta
- Aspekty prawne w funkcjonowaniu firm w branży turystycznej
- Aspekty księgowe w funkcjonowaniu firm w branży turystycznej
- Prawa konsumenta w branży turystycznej

Dla każdego uczestnika/-czki indywidualne doradztwo związane z tematyką szkoleń.

UCZESTNICTWO W PROJEKCIE JEST BEZPŁATNE
GWARANTUJEMY WYŻYWIENIE I MATERIAŁY SZKOLENIOWE

Panowie mile widziani na szkoleniach!

Informacji na temat udziału w projekcie udzielamy pod numerami telefonów:
+ 48 516 142 496, 695 278 781

Osoby zainteresowane udziałem w projekcie prosimy o wypełnienie Formularza Zgłoszeniowego i przekazanie:

- drogą e-mailową: biuro@firmyrodzinne-szkolenia.pl
- faxem na numer: + 48 12 31 24 360

Formularze zgłoszeniowe są dostępne na stronie:
www.firmyrodzinne-szkolenia.pl

REALIZACJA PROJEKTU JEST ZGODNA Z ZAGADNIENIAMI DOTYCZĄCYMI RÓWNOUPRAWNIENIA I RÓWNOŚCI SZANS KOBIET I MĘŻCZYZN

FESTIWAL BIEGOWY
FORUM EKONOMICZNEGO

7-9 września 2012

KRYNICA-ZDRÓJ, MUSZYNA

Wiosenna Promocja

- Zapłać za jeden - wystartuj w kilku biegach
- Grupowe pakiety startowe - razem taniej

- Najszybsza trasa na dystansie 10 km w Polsce
- Losowanie samochodu wśród maratończyków
- Biegi Deptaka dla dzieci

PULA NAGRÓD
350 000 zł

www.festiwalbiegowy.pl

Getto dla pracujących (1940-1943)

Piekło wybrukowane nadziejami

Getto w nowosądeckiej dzielnicy Piekło dzisiaj jest już prawie zapomniane. Być może dlatego, że nie było tutaj murów i zasieków, nie przelało się tutaj tyle krwi, ile w zamkniętej dzielnicy w centrum miasta. W czasie wojny mieszkali tutaj ludzie energiczni, zdolni do pracy. Tylko tacy mogli być przydatni. Dlatego znaleźć się w tej części getta było marzeniem wielu nowosądeckich Żydów.

NAZWANO JE GETTEM WIEJSKIM

Prawie od samego początku okupacji władze niemieckie realizowały swoją zaplanowaną politykę w stosunku do ludności żydowskiej. Istotnym jej elementem było organizowanie gett, których zadaniem było całkowite odizolowanie Żydów od Polaków oraz koncentracja w dużych skupiskach, będąca ułatwieniem przy późniejszych deportacjach do obozów zagłady.

Pierwsze getto w Generalnym Gubernatorstwie powstało już w październiku 1939 r. w Piotrkowie Trybunalskim, największe w Warszawie we wrześniu 1940 r. Powstawały we wszystkich większych miastach, w dzielnicach najbardziej zaniedbanych, pozbawionych prądu, gazu, kanalizacji. Warunki w nich były różne; generalnie im większe getto, tym gorsze.

Nowosądeckie getto powstało zgodnie zarządzeniem „O utworzeniu dzielnicy żydowskiej w Nowym Sączu" z dnia 12 lipca 1940 r. Podzielono je na część: dla pracujących – na Piekle – oraz dla pozostałych w centrum miasta. Już w 1940 r. okupant zaczął wysiedlać Polaków z Piekła, przygotowując tym samym grunt pod getto dla pracujących.

Przed wojną Piekło było dzielnicą Nowego Sącza, gdzie obok pięknych kamienic były liche chatki, pola uprawne i sady. Typowy sztetl – wspólne polsko-żydowskie miasteczko. Granicę tej części getta wyznaczały: na południu oraz zachodzie rzeka Kamienica, na wschodzie ul. Paderewskiego, a na północy ulice Zdrojowa i Głowackiego. Z racji, iż znajdowało się tutaj sporo sadów i pól uprawnych, nazwano je pogardliwe wiejskim gettem. Małe, drewniane domki będące charakterystycznym elementem krajobrazu przedwojennego Piekła, nie sprzyjały ich lokatorom. Wilgoć, przeludnienie i inne czynniki powodowały wiele chorób, co w konsekwencji wiązało się z dużą śmiertelnością jej mieszkańców.

Jednak w tej części getta łatwiej było przeżyć. Żydzi pracowali, więc byli przydatni. Samuel Kaufer wspominał, że Niemcy na początku mordowali tych Żydów, którzy nie byli pożyteczni: „Na pierwszy ogień idą zasadniczo ci, którzy nie są w stanie wykazać się „Zuweisungiem", tj. legitymacją, stwierdzającą, że dana jednostka pozostaje w stałym stosunku pracy". Żydzi pracowali głównie przy kopaniu rowów, pracach melioracyjnych i lokalnym przemyśle działającym na usługach oku-

R E K L A M A

Ulica Lwowska w czasie wojny. Pierwszy po lewej budynek to Judenrat

panta. Wykonywali to, co potrafili, lub czego się szybko nauczyli: szyli, zajmowali się stolarką, szczotkarstwem, papiernictwem. Pracowali także przy kolei, wyładowując i załadowując towary na pociągi. Przy ulicy Poprzecznej 25 (dziś ul. Sikorskiego), powstał w getcie Verband der Judischen Handwerken Neu Sandez (Związek Rzemieślników Żydowskich). W 1942 r. należało do niego aż 800 osób, w tym 323 przemysłowców. Wielu mieszkańców getta pracowało w obozach pracy w Lipiu i Rożnowie, gdzie budowano zaporę wodną.

Z biegiem czasu karty pracy stawały towarem na wagę życia. Bezwzględnie wykorzystywali to żydowscy urzędnicy „Arbeitsamtu" Mozes Grün i Izaak Ropper, którzy żądali za nie łapówki. Aby przeżyć, zostać w getcie na Piekle i móc otrzymać środki na przetrwanie, trzeba było mieć taki dokument. Samuel Kaufer tak opisuje chwilę przed selekcją do getta zamkniętego: „Marzeniem każdego jest otrzymać pieczątkę Zehmann. Każdy stara się wyglądać młodo, zdrowo. Fryzjernie przepełnione. Pełno w nich mężczyzn golących swe brody, pełno kobiet farbujących siwe, często przedwcześnie posiwiałe włosy". Selekcja w 1942 r. odbywała się przed szkołą na ul. Kochanowskiego. Jak przed sądem ostatecznym, przed komisją lekarską musi stanąć każdy.

Żydówka na ulicy Poprzecznej (dziś Sikorskiego) w getcie na Piekle

W 1942 r., po sierpniowej akcji deportacyjnej, na Piekle umieszczono pozostałych, wybranych, których szef gestapo Hamann uznał za jeszcze przydatnych. Według Hersza Herzberga, mieszkali oni na ulicy Kraszewskiego. Spośród tych ocalonych osób, czterysta miało pracować w zakładach kuśnierskich i krawieckich. Do października 1942 r. większość z nich wywieziono do obozów pracy w Tarnowie, Lipiu, Pustkowie i Rabce. Pozostali sprzątali getto. W 1943 r. siedemdziesiąt osób wysłano do obozu w Szebni, zaś pozostałe 37 osób nadal sprzątało getto. Jeszcze tego samego lata pozostałych wywieziono do Szebni. Miasto stało się wolne od Żydów – Judenfrei.

UMRZEĆ ŚMIERCIĄ NATURALNĄ, BO Z GŁODU...

Getto na Piekle nie ominęły szaleństwa i zbrodnie gestapo. To stąd, z ulicy Gwardyjskiej 38 w 1941 r. wywieziono do Auschwitz pierwszego sądeckiego Żyda, Henryka Kornhasuera. Zmarł tam po miesiącu na rzekome „zapalenie płuc", co wywołało ogromne poruszenie. Dzielnicę dla pracujących dotknęła także akcja gestapo w kwietniu 1942 r. Ofiary tej zbrodni to głównie młodzi ludzie, którzy tutaj mieszkali.

Wielu stale przebywających na Piekle Żydów było zmuszonych wykonywać prace na rzecz gestapo. Jednym z nich był Mojżesz Ginter, który wspomina, że jego kolega z pracy, malarz Kluger, wychodząc do pracy zmarł na atak serca. Tak niebezpieczna była to praca. Jako stolarz Ginter wykonywał często trumny dla ofiar bestialstwa Niemców. Codziennie wychodząc z domu do pracy żegnał się z rodziną.

Granicę tej części getta wyznaczały: na południu oraz zachodzie rzeka Kamienica, na wschodzie ul. Paderewskiego, a na północy ulice Zdrojowa i Głowackiego.

Największe tragedie rozgrywały się na ulicach. W lipca 1942 r. gestapowcy Johan i Edward Stuber zamordowali Rachele Ferergrun tylko za to, że niosła dwie kury na obiad dla dzieci. W sierpniu tego roku na Lwowskiej zastrzelono, od tak, bez powodu, Barucha

Berlinera (prezesa Miejskiego Komitetu Żydowskiego) i Helenę Wenzenberg. Ciało innej zastrzelonej, Heleny, Hochberger, leżało dwa dni na ulicy Lwowskiej, tuż pod budynkiem Judenratu. W kwietniu 1942 r. w bestialski sposób zamordowano młodą Żydówkę Gustę Breindel false Fisch. Gestapowcy wtargnęli do jej mieszkania przy ul. Lwowskiej i wyrzucili ją przez okno.

Maria Styczyńska – Butscher wspominała: „Do bestialskiej serii zabaw gestapowców należało zapalanie kauczukowych kołnierzyków na szyjach Żydów, które paląc się wtapiały się w ciała, nie pozwalając nawet na ich zdjęcie. Te żywe pochodnie przybiegały do apteki, gdzie zdenerwowany magister Burz usiłował ulżyć cierpiącym przez założenie opatrunku, opatrzenie rany i podanie leków".

Niemcy mordowali z prozaicznych powodów. Za znalezienie mięsa z nielegalnego uboju zginęła trzyosobowa rodzina Waldmanów z ulicy Głowackiego. Wśród ofiar tej strasznej zbrodni było pięcioletnie dziecko. W maja 1942 r. pijani gestapowcy wtargnęli do mieszkania Drechslerów przy ulicy Moniuszki 32. Wymordowali całą rodzinę.

Tragiczny dla piekielskiego getta był rok 1942 r. W maju gestapo zamordowało przy ul. Cichej rodzinę Weinstocków – wdowę i dzieci, razem siedem osób. Podobnie zginęli Gotliebowie na Gwardyjskiej i Ringowie na Żywieckiej. Według wspomnień Emila Steinlaufa, jednego dnia na Gwardyjskiej gestapowcy zastrzelili 35 osób, w tym na oczach córek ich ojca Salomona Goldbergera. Mechel Fisz wspomina: „Pewnego dnia, w czerwcu 1942 roku wpadł Haman i sprawdzał, czy wszyscy Żydzi znajdujący się w tym getcie pracują, stwierdził wówczas, że matka moja Chana Fisz nigdzie nie chodzi do pracy i kazał jej przenieść się do drugiego getta. Prosiłem, aby pozwolił jej pozostać przy mnie, jednak Hamann nie chciał się zgodzić i na moich oczach zastrzelił ją w mieszkaniu". Kalman Holzer widział w 1941 r. „jak Hamann wszedł do jednego domu, do mieszkania Gelbów i z mieszkania tego wyprowadził Żydówkę w średnim wieku o nazwisku Gelb i zrzucił ją z balkonu z pierwszego piętra na ulicę, a następnie zszedł na dół i dobił ją pistoletem. Ja obserwowałem to z sieni sąsiedniego domu. Po tym fakcie, gdy Hamann szedł ulicą, to zastrzelił z pistoletu kilka osób, które jego mijały". Holzer szacuje, że tego dnia było siedem ofiar, w tym dwie kobiety. Innym razem idąc do pracy widział jak Hamann, na Piekle osobiście zastrzelił muzyka Goldbergera. „Jak się później dowiedziałem, Goldberger (…) wracał od jednego Niemca, Swobody, u którego grał na imieninach. U tego Niemca był też na imieninach Hamann" – wspomina.

Najgorszą zmorą getta był brak pożywienia. Głód, niczym gestapo, zabierał całe rodziny i zabijał na ulicy. Z głodu w 1941 r. zmarła cała rodzina Goldfingerów przy ul. Czarnej, a w 1942 r. z tego samego powodu Pessla Dagan przy ul. Czystej. Na rękach rodziny umarła z głodu młoda Mina Gotlieb. Taka sama śmierć spotkała pochodzącego z Lipia 78-letniego starca Chaskiela Fischa. Golda Goldfinger zmarła z głodu przechodząc ul. Barską.

W tak ciężkich chwilach rodziły się myśli o ucieczce. Mimo, iż getto nie miało murów, nie było to rzeczą łatwą. Tragicznie zakończyła się ucieczka trzyosobowej rodziny Breindlów. W kwietniu 1942 r. wygłodzeni wyszli po jedzenie na wieś. Było im już wszystko jedno. Zatrzymano ich na Przetakówce z sześcioma innymi Żydami. Breindlów zabito na ulicy, zaś pozostałych w ich mieszkaniu, po czym ciała wyrzucono na ulicę. Szczęśliwie zakończyła się znana szerzej historia rodziny Steinlaufów. Emil Steinlauf przewidując wysiedlenie z Krasnego Potockiego do Nowego Sącza, już w maju 1941 r. załatwił sobie mieszkanie w „lepszym getcie" na Piekle. Zabrał do niego też krowę, która miała wyżywić rodzinę. W getcie pracował w młynie krewnego

Niemcy mordowali z prozaicznych powodów. Za znalezienie mięsa z nielegalnego uboju zginęła trzyosobowa rodzina Waldmanów z ulicy Głowackiego.

żony Eliasza Eichhorna, członka Judenratu. Nie mając przepustki, codziennie chodził ukradkiem do pracy ryzykując życie. Musiał wyżywić całą rodzinę. „Razu pewnego, wspomina, w drugim domu obok naszego mieszkania, przy ul. Gwardyjskiej, weszli gestapowcy Reuter i Lapitzki i Johan. Gospodyni prała w sieni, a mąż był w pokoju. W pokoju była też ich sublokatorka. Gestapowcy zastrzelili Żyda, a sublokatorce kazali się położyć na trupie i twarz przyłożyć do jego twarzy i tak leżeć całą godzinę". Po tym wydarzeniu zdecydował się na ucieczkę. Po opuszczeniu getta, ukrywał się z rodziną w Krasnym Potockim, w gospodarstwie rodziny Królów. Tam przeżył wojnę

POMOCNICY HITLERA CZY WYBAWICIELE ŻYDÓW?

Kiedy przejdziemy most na ulicy Lwowskiej idąc od strony Rynku, po lewej stronie mijamy piętrową kamienicę. To właśnie w tym budynku mieściła się rada żydowska – Judenrat. Ten organ administracyjny czasów okupacji był odpowiednikiem przedwojennej gminy wyznaniowej. Generalnie, większość tych kolegiów podporządkowanych ściśle woli Niemców, okryła się złą sławą. Całkiem inny obraz wyłania się z analizy nielicznych dokumentów dotyczących sądeckiej rady. Tutejszy Judenrat grał z okupantem w otwarte karty, często przypłacając to własnym życiem. Kaufer pisze, iż dopiero w późniejszym okresie „stanowiska kierownicze dostały się w ręce jednostek małowartościowych, które dla ratowania swej własnej osoby, były zawsze gotowe szafować krwią swych braci". Wyjątkiem, zdaniem Kaufera, był Jakub Marien i Mendel Eisen. Ten pierwszy sprzeciwił się Hamannowi, przypłacając to śmiercią w Auschwitz. Ginter zeznał, że Hamann wysłał go do obozu wraz z innymi 120 Żydami. Zastępcą Mariena był Aron Rindler, również dobrze wspominany. Kolejnymi przewodniczącymi był Beckerman, Stern i Einchorn.

Kaufer zeznał, że sądecki Judenrat powstał w 1939 r. W 1942 r. liczył on 25 członków, wywodzących się z żydowskiej elity miasta. Rada organizowała życie w getcie zgodnie z wytycznymi Niemców, była odpowiedzialna za wszystkie sprawy związane z funkcjonowaniem getta.

Judenrat współpracował z Jonitem (American Jewish Joint Distribution Committee) i Żydowską Samopomocą Społeczną, nadzorował działalność wszystkich żydowskich placówek w mieście. Odegrał ważną rolę w codziennej pomocy Żydom. Wielkim problemem, z jakim zmagał się Judenrat, były akcje przesiedleńcze do Nowego Sącza. Zakwaterowanie i utrzymanie przybyłych, miało być pokrywane z funduszów Judenratu. Przy radzie żydowskiej od 1941 r. działała jedyna w getcie składnica pocztowa. Na budynku Rady była skrzynka na listy (druga była na Kraszewskiego 44).

Jak zeznał Mojżesz Horn, Judenrat miał obowiązek wystawiać fałszywe akty zgonu. Im bliżej likwidacji getta, tym bardziej rada żydowska była podporządkowana okupantowi, a tym samym szkodząc samej sobie.

LEKARSTWA NA PRZEŻYCIE

Schodząc ulicą Lwowską w stronę Piekła, tuż za zaułkiem z ulicą Kochanowskiego, widzimy aptekę. To z tego miejsca biła największa nadzieja na ocalenie. Apteka dysponowała nie tylko lekami ratującymi życie, ale również organizowała ucieczki z getta, jak tę z 1942 r., kiedy uciekła dr Helena Żupnik z matką. Po ucieczce zostały wykryte i rozstrzelane w Librantowej. Pośród innych uciekinierów znaleźli się znani lekarze: dr Maurycy Körbel, dr Jakub Mendler i inni.

Zarządcą i właścicielem apteki od 1932 roku był mgr Albin Burz, postać wyjątkowo ciepło wspomniana. Był charakterystyczną postacią sądeckiego Piekła. Trudno było nie zapamiętać pochylonego mężczyzny idącego do pracy z malutkim pieskiem. Był bardzo skromny. Wielki humanista, ogrodnik i miłośnik literatury. Żona, Zofia i siostrzenica Barbara Schauer za pomoc Żydom przebywały kilka razy w areszcie.

Członkowie Judenratu

Aptekarz, wykorzystując swoje wpływy, doprowadził do ich uwolnienia. Burz był członkiem Rady Głównej Opiekuńczej. Dzięki niemu otworzono w getcie aptekę żydowską przy szpitalu na Kraszewskiego, do której dostarczał leki za symboliczną cenę. Na zapleczu jego apteki pakowane były niezliczone ilości apteczek podręcznych dla spodziewającej się deportacji ludności żydowskiej. Tędy też wiodła droga kontaktów Żydów z ludnością miasta, oddawanie listów, paczek, żywności, załatwianie zleceń itp. Burz udzielał także medycznej pomocy Żydom. Dzięki jego aptece Żydzi, którzy przed wojną przyjęli chrzest, mieli kontakt z jezuitami. Zaopatrywali ich oni w ostatnią drogę. Styczyńska – Butscher napisała o Albinie Burzu: „Nadzwyczajny, zawsze pełen optymizmu, pogody i najwyższej życzliwości". Prawdziwy bohater.

W getcie dla pracujących działało wiele innych organizacji pomagających potrzebującym. Na ulicy Lwowskiej 25 mieściła się wspomniana ŻSS, której przewodniczył w 1941 r. Izrael Friedman. Sądecka ŻSS otrzymywała żywność z krakowskiej centrali organizacji i od Jointu. Jej działalność nasilała się szczególnie w okresie świąt żydowskich. Organizacje społeczne pomagały głównie pracownikom obozów pracy w Lipiu i Rożnowie. Dzięki ŻSS w getcie powstała kuchnia dla ubogich. Nie bez znaczenia była też działalność zakładów zajmujących się dziećmi. Przy ulicy Zdrojowej istniał sierociniec. W 1941 r. dożywiał i ubierał aż 400 dzieci. Instytucją kierowała nauczycielka Leonora Reicher.

TAJEMNICE ŻYDOWSKIEGO SZPITALA

Żydowski szpital przy ulicy Kraszewskiego funkcjonował od XIX wieku. Od początku istnienia był najważniejszą placówką medyczną w tej części Nowego Sącza. Po pierwszej wojnie światowej szpital popadł w ruinę i wymagał odnowy. Ojcowie miasta wyremontowali go w 1939 r., tak jakby wyczuli, że będzie za kilka miesięcy potrzebny. Początkowo okupant zamknął odnowiony budynek. Na uruchomienie szpitala Niemcy zgodzili się dopiero w 1940 r. Jednym z najważniejszych powodów ponownego otwarcia szpitala był napływ ludności do getta (przesiedleńcy z m. in. Łodzi, Lwowa, Bielska i Rzeszy).

Po prowizorycznej działalności ambulatorium, 6 października 1940 r. otwarto szpital w wyremontowanym przed wojną budynku przy ulicy Kraszewskiego. Utworzono fundusz szpitala, który składał się z składek i zbiórek społecznych. Istniało zatem dobrowolne opodatkowanie się ludności żydowskiej, z której zwolniono najuboższych. Swoje datki ofiarowywała regularnie także krakowska ŻSS i Joint. Pierwszym dyrektorem szpitala został okulista Izrael Drilich. Wielkie zasługi w jego organizacji położył także wspominany Izrael Friedman. Na początku 1941 r. pracujący tu żydowscy lekarze wybrali do pomocy 60 najzdolniejszych absolwentek kursu pielęgniarskiego. Pracowało tutaj dwóch lekarzy i dentysta. Po doktorze Drilichu, od 1942 r. szpitalem kierował dr Izrael Segal.

Jak na warunki getta działalność szpitala była imponująca. W 1941 r. przeprowadzono w nim aż 289 zabiegów, w 1942 r. 203. Szereg z nich był następstwem szaleńczych wyczynów sądeckiego gestapo, tak jak w czasie akcji w kwietniu 1942 r. Lekarze przyjmowali w budynku szpitalnym, ale równie często udawali się na wizyty domowe. Prężnie działające ambulatorium miesięcznie wydawało prawie 900 recept. W kwietniu 1941 r. zaszczepiono ludzi przeciw durowi brzusznemu i plamistemu. W 1941 r. powiększono izbę zakaźną, otwarto poradnię dla niemowląt i kobiet w ciąży, przeciwgruźliczą, przeciwjagliczą, chorób wenerycznych, zakupiono lampę kwarcową. W tym też roku dzięki staraniu Albina Burza otwarto przyszpitalną aptekę. Nie udało się ze względów finansowych uruchomić oddziału chirurgicznego, choć operacje przeprowadzano w prowizorycznych warunkach. Izaak Goldfinger tak wspomina pomoc lekarzy szpitala podczas zapalenia płuc: „Ten lekarz twierdził, że mam pić tłuszcz (…). Ale był doświadczony i powiedział, że to mi przejdzie, spokojnie tylko mam się odżywiać tłustym jedzeniem. No i nie wiem skąd wzięli tłuszcz, może jadłem tłuszcz z psa, on twierdził, że to tylko leczy".

Największym wyzwaniem dla służby zdrowia w getcie była epidemia tyfusu, która wybuchła na Piekle w zimie 1941/1942 r. Epidemia tak wystraszyła niemieckiego komisarza miasta, że w styczniu 1942 r. przekazał Judenratowi 500 zł na leczenie Żydów. W tym samym miesiącu zakazano opuszczania dzielnicy Piekło. Na murach miasta po-

Kaufer zeznał, że sądecki Judenrat powstał w 1939 r. W 1942 r. liczył on 25 członków, wywodzących się z żydowskiej elity miasta.

jawiły się afisze: „Żydzi, wszy, tyfus plamisty". Dzięki ofiarności lekarzy opanowano epidemię.

***

Przeglądając zdjęcia z getta sądeckiego możemy zobaczyć jedno, szczególne. Widać na nim, że jest lato, grupa ludzi ubranych na biało uśmiecha się do aparatu. Są tutaj lekarze, których twarzy już nikt nie rozpozna. W tle stoją młode dziewczyny. Zapewnie to pielęgniarki. Jedna trzyma rękę na ramieniu lekarza, może chciała, żeby zapamiętano ich razem. Druga, starsza, nie uśmiecha się. Być może przeczuwała grozę nadchodzących dni, kiedy gestapowcy wpadną na ulicę Kraszewskiego 44. Jak zwykle będą strzelać, bić, krzyczeć. Sześć osób, cały personel szpitala zostanie zamordowany i zakopany na dziedzińcu budynku. Siedemdziesiąt lat później Jakub Müller opowiadał, że ofiary tej zbrodni spoczywają w tym miejscu, gdzie kiedyś był szpital. Pragnął upamiętnić tych bohaterów, jak ich nazwał. Inni opowiedzą, że ofiary tej zbrodni pochowano na cmentarzu przy Rybackiej. Jeszcze jedna tajemnica sądeckiego Piekła. Najważniejsze jednak, aby sądeczanie nie zapomnieli uśmiechu tych ludzi ze zdjęcia, którzy jeszcze tego letniego dnia mieli nadzieję na lepsze jutro.

ŁUKASZ POŁOMSKI
ARTUR FRANCZAK

136. Jorcait w Nowym Sączu

Chaim znaczy życie

16 kwietnia wieczorem między ulicę Berka Joselewicza a cmentarz żydowski w Nowym Sączu wrócił świat galicyjskich chasydów. Tego dnia rozpoczął się Jorcait – rocznica śmierci świętobliwego cadyka Chaima Halberstama. Zaginiony przed 70. laty świat ożył. Przecież imię cadyka – Chaim – znaczy „życie". Przez całą noc i kolejny dzień około 300 chasydów wznosiło modły u grobu cadyka i w sądeckiej synagodze.

Na poniedziałkowe uroczystości przybyło kilku potomków Chaima Halberstama – z rodzin Halberstamów z Nowego Jorku i rodzina Amiego Weitza z Londynu. Wśród nich był obecny rabin sądecki Joel Halberstam (prapraprawnuk Chaima). W poniedziałkowy wieczór i noc można było usłyszeć ich wspomnienia o swoich przodkach. Modlący się często odnajdywali swoje rodziny na starych fotografiach zgromadzonych w synagodze. Wśród obecnych pielgrzymów byli potomkowie Mojżesza Stempla i Nechy Halberstam, których weselem w 1931 r. fascynowała się południowa Polska. Także na cmentarzu można było spotkać chasydów szukających imion swoich dziadków na macewach.

We wtorek Nowy Sącz odwiedziło kolejnych kilkuset chasydów, wśród nich rabin naczelny Galicji Edgar Gluck.

Rabin Halberstam zaznaczył, że w związku z 70. rocznicą Zagłady sądeckich Żydów, w tym roku chasydzi w modlitwach szczególnie pamiętają o zamordowanych wtedy przodkach. Z zadowoleniem przyjął zaproszenie na wrześniową konferencję w Nowym Sączu upamiętniającą Holokaust sądeckich Żydów.

Wśród chasydów wielkim zainteresowaniem cieszyła się prezentowana aktualnie w synagodze wystawa zdjęć Piotra Droździka i wydany przy tej okazji katalog. Wielu z nich na fotografiach odnajdywało swoje twarze.

Podczas momentów wytchnienia od modlitwy, padały pytania o przyszłość żydowskiego dziedzictwa w Nowym Sączu. Często w tym kontekście wspominano zmarłego w 2010 r. Jakuba Müllera, dzięki któremu zapoczątkowano obchody rocznicy śmierci cadyka na tak dużą skalę. Przez lata Jakubowi w organizacji Jorcaitu pomagała opiekująca się obecnie cmentarzem Barbara Maleczek, bez której również w tym roku uroczystości nie byłyby tak doskonale zorganizowane.

***

Chaim Halberstam (1793-1876), urodzony w Tarnogrodzie wybitny myśliciel religijny, uznawany przez chasydów za cadyka (świętego męża). W młodości był uczniem najwybitniejszych cadyków. Od 1830 r. był rabinem sądeckim. W mieście nad Dunajcem zasłynął jako dobroczyńca i wielki mędrzec. Założył tutaj jesziwę (szkołę talmudyczną) słynną na całą Galicję. Swoje nauki spisał w księdze „Diwrej Chaim" (Słowa Chaima). Jest protoplastą istniejących do dziś kilku dynastii Halberstamów w Izraelu, Anglii i USA. Po śmierci spoczął w ohelu na cmentarzu przy ul. Rybackiej.

ŁUKASZ POŁOMSKI, (S)

Uczniowie o Żołnierzach Wyklętych

27 lutego br. w sądeckim ratuszu uroczyście ogłoszono wyniki drugiej edycji Konkursu Historycznego „Żołnierze Wyklęci. Bohaterowie Antykomunistycznego Podziemia", zorganizowanego przez posła Andrzeja Romanka we współpracy z krakowskim oddziałem Instytutu Pamięci Narodowej. Patronat medialny nad konkursem, do którego w tym roku przystąpiła 10 szkół ponadgimnazjalnych z Sądecczyzny, sprawował nasz miesięcznik.

W kolejnych numerach „Sądeczanina" publikujemy trzy najlepsze prace, wyróżnione przez komisję konkursową złożoną z historyków IPN: m.in. dr. Jarosława Szarka i Elżbiety Jakimek-Zapart.

W kwietniu (nr 51) wydrukowaliśmy pracę Dawida Pajora, ucznia Zespołu Szkół im. Władysława Orkana w Marcinkowicach (opiekun: mgr Paulina Darecka) pt. „Nie zginą polegli". W tym numerze drukujemy pracę Barbary Chowaniec z Zespołu Szkół nr 2 im. Sybiraków Nowym Sączu (opiekun: mgr Dorota Pietruszka) pt. „Stanisław Pióro „Emir" – Bohater Wyklęty", a za miesiąc nasi Czytelnicy będą mogli się zapoznać z pracą Anny Radzik z Liceum Ogólnokształcącego im. M Skłodowskiej-Curie w Starym Sączu.

Stanisław Pióro „Emir" – Bohater Wyklęty

Żołnierz Wyklęty. Kim On był? Dla komunistów – „Polaczkiem, bandytą". Dla części ówczesnego społeczeństwa – rozbójnikiem, który tylko niepotrzebnie drażni służby bezpieczeństwa. Dla bliskich i bardziej wtajemniczonych w Jego działalność – nadzieją, szansą...

Kim On jest? Dla nas, polskiego społeczeństwa – Żołnierz Wyklęty to bohater, który nie dał sobie zamydlić oczu końcem czegoś, co tak naprawdę nie minęło. Żołnierz Wyklęty nie porzucił broni po walce z nazizmem, ale walczył nadal z komunizmem. I podczas gdy jedni uważali to za niepotrzebne, inni wierzyli, że „kiedyś napiszą o Nim w książkach, napiszą, że to nie było na darmo".

W mojej pracy, opartej przede wszystkim o wspomnienia rodzinne Pani Marii Lebdowiczowej (bratanicy opisywanego przeze mnie bohatera), zawartych w książce pt. „Wojna i okupacja w Piwnicznej i na Sądecczyźnie", napiszę o Stanisławie Pióro, pseudonim „Emir". Człowiek ten szczególnie się zasłużył w podziemnej organizacji antykomunistycznej Polska Podziemna Armia Niepodległościowa (PPAN) na ziemi sądeckiej, ponieważ to On był jej założycielem i namawiał innych do wzięcia udziału w tej działalności.

***

Stanisław Pióro urodził się w 1923 roku w Nawojowej. Swoje dzieciństwo spędził w rodzinnym domu w Popardowej. Tak opisuje go Pani Maria: „Niedaleko od lasu a nad polami, w starym sadzie stał dom moich dziadków, rodzinny dom mojego ojca i jego dziesięciorga rodzeństwa, rodzinny dom stryja Stanisława, najmłodszego w tej rodzinie".

Stanisław Pióro, jako młody mężczyzna, walczył w Batalionach Chłopskich podczas okupacji niemieckiej. W czasie, gdy powstawała owa organizacja, miał zaledwie 17–18 lat, jednak już wtedy nie pozostawał bierny wobec działań okupanta i wstąpił do BCh. Mówi się, że wojna siłą wepchnęła młode pokolenia w dorosły świat, który w dodatku przepełniony był wielkim okrucieństwem, cierpieniem i niebezpieczeństwem, czyhającym na każdym kroku i niezważającym na wiek swej potencjalnej ofiary. Jednak mimo tego, młodzi ludzie w tych czasach dzielnie potrafili przyjąć każdy cios z tego „pomylonego" świata, potrafili walczyć o siebie i bliskich, często narażając swe życie, potrafili wstać po upadku i mało tego, kontynuować bitwę, którą i tak wygrali, bez względu na jej ostateczny wynik. A przecież nikt ich wcześniej do tego nie przygotował, przecież nikt nie podał wskazówek, jak postępować w sidłach wojny.

Wielcy Mali Bohaterowie – tak dziś powinniśmy mówić o naszych nastoletnich koleżankach i kolegach, których młodość nie była, nie mogła być, taka, jak nasza. Codziennym widokiem była dla Nich śmierć, przeżywali wielkie cierpienie, głód. Stanisław Pióro jest właśnie przykładem takiego Bohatera.

Ks. Wł. Gurgacz odprawia mszę św. dla partyznatów PPAN, z prawej – Stanisław Pióro, maj 1949 r.

On i Jego rówieśnicy dorastali na tle tragicznych wydarzeń, które do dziś wstrząsają naszą świadomością.

Pochodził z pobożnej rodziny, toteż jako kilkunastolatek należał do Katolickiego Stowarzyszenia Młodzieży Męskiej, a na kilka tygodni przed wybuchem wojny, przeszedł kurs na przodowników owego stowarzyszenia. Siostry Stanisława należały do podobnej organizacji. Ich działalność w tych zgrupowaniach miała nie tylko charakter religijny, ale również kulturalny – przed wojną bardzo dbano o podstawową wiedzę i wykształcenie młodzieży, również pod względem kultury. Niezwykle ważne było, aby młodzi ludzie poznali najważniejsze dzieła literatury polskiej, aby pobudzić w nich wrażliwość na piękno tego rodzaju sztuki, jaką było nie tylko pisarstwo, poezja ale także teatr, czy malarstwo. Miało to później swoje odbicie w czasie wojny. Powstawało przecież wiele stowarzyszeń, działających oczywiście w konspiracji, w których młodzi ludzie doskonalili swoje umiejętności, kontynuowali nauki rozpoczęte w szkołach, na uniwersytetach. Był to swego rodzaju sprzeciw, również walka z nową „germanizacją". Inni obrali zbrojną drogę walki. Należał do nich właśnie Stanisław Pióro.

Ten siedemnastoletni wówczas chłopiec, w Batalionach Chłopskich pełnił funkcję kolportera, wywiadowcy i komendanta Oddziału Wywiadowczego. „Zachowało się zaświadczenie o tej wojennej służbie, a w domu Babci długo zachowywano ciemną, ciepłą kurtkę z lewą połą podziurawioną gęsto kulami – efekt potyczki z Niemcami i szczęśliwego przedarcia się z okrążenia w czasie niespodziewanej obławy" – możemy przeczytać w książce „Wojna i okupacja...". Jest to doskonały przykład na ogromne poświęcenie, wielkie świadectwo odwagi i siły.

Stanisław Pióro urodził się w 1923 roku w Nawojowej. Swoje dzieciństwo spędził w rodzinnym domu w Popardowej.

Po latach wojny i okupacji nadszedł dzień, w którym przez polskie ulice przemaszerowały defilady Wojska Polskiego. Na ich twarze padał radosny promień triumfu, a serca ludzi znów zabiły szybciej z nadzieją, że jutro będzie lepsze. Niestety oczekiwania wielu Polaków nie do końca się spełniły. Udało się zrzucić jarzmo niemieckie, lecz przyszło następne – sowieckie. Wielu zaprzestało wtedy walki. Pod przykrywką „przyjaźni" ZSRR i Polski kryło się ograniczenie naszej wolności, życie Polaków pod lupą rządu i kary za każde, nawet najdrobniejsze naruszenie porządku narzucanego nam przez komunistów.

Stanisław Pióro w okresie powojennym, po ukończeniu rocznego kursu, został leśnikiem. Po śmierci rodziców miał odziedziczyć gospodarstwo. Los chciał jednak inaczej...

O działalności „Emira" w partyzantce w rodzinie prawie w ogóle się nie mówiło, a już na pewno nie przy dzieciach. Inna sprawa, że sam Stanisław bardzo rzadko pojawiał się w domu. Jak czytamy we wspomnieniach: „Prawie równocześnie z początkiem pracy, kontakty stryja z naszym domem stały się rzadsze (…). Na nasze pytania, dlaczego nas nie odwiedza, rodzice odpowiadali, że nie ma czasu, jest zajęty".

***

Na czym właściwie polegała ta działalność? Prawdopodobnie jesienią, w 1947 roku powstała na terenie Sądecczyzny Polska Podziemna Armia Niepodległościowców (PPAN), nazywana w późniejszych czasach także Polską Podziemną Armią Niepodległościową. Jej członkami w dużej mierze byli ludzie młodzi, m.in. uczniowie Liceum Handlowego w Nowym Sączu. Organizacja miała charakter głównie edukacyjny (samokształcenie), a także patriotyczny. Wprawdzie na początku oficjalnie nie została przyjęta idea walki wojskowej z komunizmem, ale taka koncepcja mogła istnieć już od momentu założenie ugrupowania. Mogą świadczyć o tym słowa przysięgi, którą zobowiązany był złożyć każdy nowy członek, w której deklarował „że będzie wiernym Polakiem i będzie walczyć do ostatniej kropli krwi przeciw komunizmowi". Wkrótce potem, rzeczywiście powstał wojskowy pion w PPAN, tak zwana Żandarmeria. Funkcje, jakie pełniła, to m.in. ochrona całej organizacji oraz ochrona poszukiwanych przez służby komunistyczne, zdobywanie środków finansowych na działalność konspiracyjną.

Stanisław Pióro, spośród założycieli zgrupowania, pełnił czołową rolę, także potem został dowódcą, a Jego pomocnikiem był Mieczysław Rembiasz, pseudonim Orlik – uczeń Liceum Handlowego. PPAN przez kolejne miesiące bardzo się rozrastała. Należało do niej kilkadziesiąt osób.

Kilka miesięcy po założeniu organizacji, w marcu 1948 roku, Stanisław Pióro spotkał się z ks. Władysławem Gurgaczem, jezuitą. Celem Ich spotkania była chęć konsultacji moralnych spraw działalności grupy z osobą du-

chowną. Stanisław Pióro wybrał ks. Gurgacza, duchownego z Krynicy, ze względu na Jego patriotyczne i bardzo odważne kazania. Spotkanie to doprowadziło do współpracy księdza ze Stanisławem. Przytoczę teraz kolejny fragment ze wspomnień Pani Lebdowiczowej, opisujący rozmowę Jej matki z ciocią: „Staszek poznał takiego księdza w Krynicy u sióstr zakonnych. Nazywa się Gurgacz. Mówił bardzo mądre kazania, dużo ludzi go słuchało. Staszek bardzo go prosił, żeby przyszedł do nich, do lasu. On się zastanawiał trochę, bo to jezuita, ale w końcu się zgodził. Odprawia msze święte w lesie, modli się z nimi i uczy młodych. Bogu dzięki, że mają księdza, bo wiesz, jak to młodzi. Staszek się bardzo bał, żeby nie zeszli na złe drogi". Rozmowa ta doskonale określa rolę duchownego w tejże organizacji. Dodatkowo do PPAN dołączył Jan Matejak – bliski znajomy księdza Władysława.

Wszystko zmieniło swój bieg, kiedy ks. Gurgaczowi groziło aresztowanie za swoje kazania. Musiał wówczas uciekać z Krynicy. Miało to wpływ także na sprawy PPAN, ponieważ zyskała ona nowego członka, jakim był właśnie ks. Gurgacz. Ks. Gurgacz od tego momentu stał się kapelanem „Żandarmerii", zaś Matejak objął jej dowództwo.

Niestety tak dużej grupy, jak PPAN nie dało się długo utrzymać w całkowitym ukryciu. Urząd Bezpieczeństwa (UB) dowiedział się o jej działalności i natychmiast przystąpił do aresztowań członków. W lecie 1948 r. niemal całkowicie została rozbita grupa cywilna PPAN. W działalności pozostała więc tylko „Żandarmeria", a więc i mojemu bohaterowi jeszcze w tym czasie udało się uniknąć zatrzymania. W „Żandarmerii" ukryło się również kilku członków „cywilnych", którzy byli zagrożeni aresztowaniem. Sytuacja pogarszała się, kiedy „Emirowi" brakowało już środków na dalszą działalność organizacji. Trzeba wspomnieć tu, że PPAN nie była grupą partyzancką, która zdobywała pieniądze kosztem prywatnych jednostek, nie napadała nigdy na prywatne domy mieszkańców wsi. Źródłem finansowania (rzecz jasna nie było to dobrowolne) były dla nich instytucje państwowe. Unikali też potyczek z użyciem broni ze służbami komunistycznymi.

Całą sytuację utrudniało jeszcze ciągłe nękanie Stanisława Pióro przez Urząd Bezpieczeństwa oraz nachodzenie Jego rodziny przez ormowców. Jak czytamy we wspomnieniach Pani Marii: „Zjawiali się w naszym gospodarstwie pod różnymi pozorami np. kupna owoców, artykułów spożywczych, od niechcenia pytali o drobne na pozór sprawy itp. Wieczorami i nocami kręcili się, wystawali w obejściu chowając się przed wzrokiem domowników, a wszystko w oczekiwaniu na pojawienie się kogoś podejrzanego". Dodatkowo niezbyt dobrze na atmosferę wpływała opinia publiczna. Mieszkańcy rodzinnej miejscowości Stanisława Pióro mieli złe zdanie na temat partyzantki w ich lesie i okolicach. Ich „sądowi" szczególnie podlegał właśnie „Emir", ponieważ to przecież On był jej założycielem i głównodowodzącym. Niestety na tych, ośmielę się napisać oszczerstwach (PPAN często kojarzono z banderowcami, którzy rzeczywiście napadali na wsie, grabili je oraz mordowali ludność), cierpiała przede wszystkim rodzina Stanisława. Aby opisać, jak wielkie poruszenie budziło to w moim bohaterze, pragnę przytoczyć kolejny fragment wspomnień, cytujący słowa samego Stanisława Pióro, podczas Jego rozmowy ze swoją bratową, Matką Pani Lebdowiczowej: „Stasiu, proszę cię na wszystko, idź na Popardową do mamy i pomów z nią. Przekaż jej ode mnie to co ci powiem. Przysięgam mamie na wszystko, na Rany Chrystusa, że my nie jesteśmy złodziejami ani bandytami. Nie jesteśmy. Żyjemy uczciwie i spełniamy nasze zadanie. Niech się nie martwi jeszcze tym, co niektórzy ludzie mówią, źle mówią, powtarzają to samo co piszą w gazetach, ale to nieprawda. Proszę cię bratowo, przekonaj mamę, że ludzie plotki rozpuszczają. Na wszystko cię proszę, zrób to zaraz". Ta niezwykle wzruszająca prośba, doskonale świadczy o tym, jak ważna była rodzina dla „Emira". Takie spotkania były bardzo ryzykowne, a mimo to, za nic nie chciał, aby Jego matka martwiła się tym, co mówią sąsiedzi. Stanisław Pióro musiał się przecież ukrywać, a zarówno dom Jego brata, jak i matki były pod stałą obserwacją. Dodatkowo w Jego domu rodzinnym często przeprowadzano rewizje, które rujnowały cały budynek

Kilka miesięcy po założeniu organizacji, w marcu 1948 roku, Stanisław Pióro spotkał się z ks. Władysławem Gurgaczem, jezuitą.

Partyzanci PPAN, wiosna 1949 r.

Stanisław Pióro ps. Emir i ks. Wł.Gurgacz ps. Sem, zima 1948/49 r.

z „wizyty, na wizytę". Dlatego też spotykał się ze Stanisławą – swoją bratową. Przypuszczalnie budziła Ona mniejsze podejrzenia, niż najbliższa rodzina.

Stanisław Pióro, aby ratować organizację, podzielił ją na trzy grupy. Pierwszą i najliczniejszą z grup dowodził „Emir", drugą Mieczysław Rembiasz „Orlik", trzecią zaś, ppor. Stefan Balicki ps. Bylina, który potem został rozstrzelany wraz z ks. Gurgaczem.

Niestety podzielenie to, nie przyniosło oczekiwanych rezultatów. Pieniędzy na dalszą działalność nadal brakowało. Tym razem na ratunek przyszedł ks. Gurgacz, który postanowił jeden jedyny raz zorganizować konfiskatę pieniędzy z banku państwowego. Akcję przeprowadzano 2 lipca 1949 roku w Krakowie. Podczas całego zdarzenia doszło do strzelaniny i pościgu. Biorący w tym bezpośredni udział partyzanci zostali schwytani i aresztowani. Ks. Gurgacz, który nie brał bezpośredniego udziału w rekwizycji i mógł uniknąć schwytania przez UB, sam oddał się w ich ręce. Jak potem wyjaśniał, nie chciał zostawić swych kolegów. Wolał być skazany razem z nimi.

Z całej, tak dobrze funkcjonującej wcześniej PPAN pozostały już tylko dwie grupy, w tym jedna pod przewodnictwem „Emira". Jednak i ich żywot nie trwał długo. 2 czerwca 1949 roku zginął

W 1960 roku zmarła matka Stanisława Pióro, a 9 lat później Jego brat, ojciec Pani Lebdowiczowej. Oboje odeszli nie wiedząc, gdzie spoczywa Stanisław.

Mieczysław Rembiasz – pomocnik „Emira", a po aresztowaniu Jana Matejaka, także dowódca (wtedy jeszcze w całości) oddziału „Żandarmerii". 13 lipca tego samego roku, UB na podstawie doniesień swoich informatorów, zlikwidował kolejnych członków grupy.

Oddział Stanisława Pióro został rozbity w sierpniu 1949 roku, kiedy to przez akcje polskiej i czechosłowackiej bezpieki, został „wplątany" w fikcyjny przerzut grupy do Austrii. W połowie sierpnia zginęli kolejni członkowie grupy „Emira", a on sam popełnił samobójstwo, strzelając sobie w głowę z pistoletu.

Co się dzieje tymczasem w rodzinie p. Stanisława? „Zrobiło się cicho, nie było „odwiedzin" domów, nie pojawiali się obserwatorzy" – czytamy w książce „Wojna i okupacja...". Ludzie snuli różne domysły. Jedni uważali, że udało się im uciec za granicę, inni, że zostali schwytani i aresztowani, a jeszcze inni, że nie żyją. Jak pisze Pani Maria: „domysłom nie było końca". Rozpuszczanie tych plotek było podsycane dodatkowo przez ciągłe pogłoski o różnych innych schwytanych partyzantach, które pomimo, iż zazwyczaj były prawdą, nie mówiły konkretnie o kogo chodzi, a gdy dostawały się do rodzin „zaginionych", powodowały szybsze i niespokojne bicie serc.

***

W 1960 roku zmarła matka Stanisława Pióro, a 9 lat później Jego brat, ojciec Pani Lebdowiczowej. Oboje odeszli nie wiedząc, gdzie spoczywa Stanisław. Potem jeszcze bardzo długo szukano miejsca, gdzie został pochowany. Dopiero pod koniec lat 90. udało się Pani Marii dotrzeć do Jego grobu, z pomocą Tadeusza Ryby (jeden z członków PPAN). Miejscem pochówku okazała się słowacka miejscowość Forbasy. Niezwykłe było to, że przez 48 lat grób miał swojego opiekuna, a właściwie opiekunkę, która regularnie zajmowała się nim przez cały ten czas. Była nią Zofia Dubielowa, która również opowiedziała Pani Marii historię nieludzkiego pochowania Stanisława Pióro i Jego kolegi, Adolfa Cecura, ps. „Orkan".

Była niedziela 13 sierpnia 1949 roku. Do wioski Forbasy zostały przywiezione ciała dwóch młodych mężczyzn. Nakazano je zakopać jak najszybciej. Nie pozwolono przywołać księdza. Nie pozwolono nawet odmówić modlitwy. Miało być szybko i po cichu. Ciała po prostu wrzucono do wykopanego dołu, bez trumny. Nie dość tego, zakopywano „bandytów"! Właśnie takim mianem zostali określeni bohaterowie, walczący o wolność naszej ojczyzny.

Na szczęście świadkowie całego zdarzenia (na drodze stały wojska pilnujące, aby nikt nie wszedł w tym czasie na cmentarz, jednak ciekawi ludzie obserwowali wszystko z daleka), domyślili się, że mężczyźni nie są żadnymi bandytami, ale ofiarami komunistycznego reżimu, wymierzonego w tych, którzy sprzeciwiali się władzy. Przedmiotem, który pozwolił im wyrobić sobie taką opinię był... różaniec. Mieszkańcy Forbasów uważali, że Stanisław Pióro i Adolf Cecur nie mogą być złymi ludźmi, skoro w dłoniach jednego z nich znajduje się różaniec.

Dzięki temu, w słowackiej miejscowości o „Emirze" i „Orkanie" nigdy nie mówiono źle i nigdy nie byli postrzegani tak, jak opisywali Ich komuniści. Świadczyła o tym m.in. wyżej opisana troska o grób żołnierzy.

Po odnalezieniu grobu przez rodzinę Stanisława Pióro, przeprowadzono ekshumację. Szczątki przewieziono do Polski. „Emir" został pochowany drugi raz w swej ojczyźnie, na cmentarzu w swojej rodzinnej miejscowości.

Na tym jednak nie kończy się ta historia. Ona trwa i będzie trwała, póki my będziemy pamiętać. Musimy o tym pamiętać. Nie możemy zapomnieć. Nigdy. Oni też nie zapomnieli o nas, przyszłych pokoleniach, bo walczyli o wolną Polskę. Walczyli przecież nie tylko dla siebie. Szli na tę „wojnę" ze świadomością, że sami mogą nie doczekać dobrych czasów, ale chcieli, aby przynajmniej Ich potomkowie mieli lepsze życie. Nie ma chyba słów, jakimi można by określić Ich poświęcenie. Naszych Żołnierzy. Żołnierzy Wyklętych.

„(...)
W żołnierskich mogiłach świata
białe kości poległych czekają
Dnia Sądu
Gdy wraca pokój i sprawiedliwość
otwierają bezimienne żołnierskie mogiły
szukając w niemych kościach
Prawdy

Z odnalezionej mogiły w słowackiej wiosce Forbasy
wydobyto nagie kości poległych
białe czaszki z pustymi oczodołami
i żebra które czas rozdzielił z kręgosłupem
kości kostki martwych – żywe świadectwo
przypomnienie i oskarżenie
(...)"

Jest to fragment wiersza Pani Marii Lebdowiczowej, pt. „Żołnierskie mogiły", poświęcony pamięci Stanisława Pióro

BARBARA CHOWANIEC

Fot. Archiwum IPN

PS. Korzystałam z książki Marii Lebdowiczowej pt. „Wojna i okupacja w Piwnicznej i na Sądecczyźnie" (pod red. Wojciecha Wdowiaka) oraz z albumu o ks. Gurgaczu, pt. „Osądź mnie Boże... Ks. Władysław Gurgacz – Kapelan Polski Podziemnej" (Dawid Golik, Filip Musiał).

Ksiądz Prałat Zdzisław Jastrzębiec Peszkowski (1918-2007)

Kapelan Rodziny Katyńskiej

W dzisiejszym świecie, kiedy media różnego rodzaju utrwalają w świadomości przeciętnego Polaka obraz kapłana, który już samym swoim istnieniem stwarza rządowi kłopot, który nie chce zlikwidowania Funduszu Kościelnego, w międzyczasie molestuje, mam okazję czytając „Sądeczanina" spotkać zupełnie inne opinie o kapłanach.

Muszę podziękować redaktorom ulubionego miesięcznika za rzetelność i uczciwość w stosunku do ludzi w sutannach. Z tego pisma dowiedziałam się o wielu wybitnych i zasłużonych dla Ziemi Sądeckiej kapłanach, tak żyjących jak i zmarłych. Cieszę się, że kandydują też do tytułu „Sądeczanin Roku". Korzystając z okazji chciałam Państwu przybliżyć postać również niezwykłego kapłana pochodzącego z mojego rodzinnego miasta – Sanoka. Ksiądz prałat Zdzisław Jastrzębiec Peszkowski. Tu się urodził, wychował, podkochiwał w pięknych sanoczankach i nie w głowie mu było kapłaństwo. Niewidzialna ręka Opatrzności poprowadziła Go jednak według woli Bożej, został kapłanem i to jakim! Ale po kolei.

***

Zdzisław Peszkowski urodził się 23 sierpnia 1918 r. w Sanoku, jako najstarszy syn Zygmunta i Marii z Kudelskich. Ród Peszkowskich pieczętował się herbem Jastrzębiec. Matka późniejszego ułana, Maria, też była szlachcianką herbu Ślepowron. W dzieciństwie związana była ze Lwowem, wychowywała się i kształciła tam w ośrodku prowadzonym przez siostry zakonne. Senior rodu, Zygmunt Peszkowski, był mistrzem cukierniczym i prowadził w Sanoku przy głównej ulicy (obecnie Jagiellońska) cukiernię, gdzie spotykała się miejscowa „śmietanka towarzyska". Taki sanocki Blickle. Od 1951 r. cukiernię przejęła Powszechna Spółdzielnia Spożywców „Społem", ale nadal w mowie potocznej sanoczan „chodziło się" na słodkości do Peszkowskich. Tego, że jako mała dziewczynka wierciłam się w kościele nie pamiętam, ale pamiętam jak mama obiecywała mi, że jeśli wytrzymam, to po sumie pójdziemy na ciastka do Peszkowskich (wybierałam kremówki). Oprócz Zdzisława rodzice dochowali się jeszcze dwóch synów: Wiesława i Bolesława. W Sanoku późniejszy kapłan ukończył szkołę podstawową, a później Gimnazjum Męskie im. Królowej Zofii, w którym złożył egzamin dojrzałości w roku szkolnym 1937/38. Po maturze wstąpił do Szkoły Podchorążych Kawalerii w Grudziądzu, po ukończeniu której

Zdzisław Peszkowski urodził się 23 sierpnia 1918 r. w Sanoku, jako najstarszy syn Zygmunta i Marii z Kudelskich.

został skierowany do 20. Pułku Ułanów im. Króla Jana 3 Sobieskiego w Rzeszowie.

Tam zastała Go wojna. Pod silnym naporem niemieckim pułk cofa się na wschód. Ale 17 września 1939 r. Armia Czerwona przekroczyła granicę Polski. W swoich wspomnieniach ks. Prałat nazwał to „wbiciem noża w plecy". Pułkowi, w którym służył, przypadła już tylko walka, kapitulacja, rozbrojenie i niewola. A stało się to już 20 września 1939 r. w miejscowości Pomorzany. Podchorąży Zdzisław Peszkowski z resztkami swojego pułku dostał się do niewoli sowieckiej. A potem już tylko bydlęce wagony i wygnańczym szlakiem powędrowali via Łuck – Podwołczyska, jedni do Kozielska, inni do Starobielska, kolejni do Ostaszkowa. Młody Peszkowski trafił do Kozielska.

Po latach ks. prałat napisze w swoich wspomnieniach: „Zginął kwiat rycerstwa – oficerowie Armii Polskiej. To ofiary kainowej zbrodni." Widział, jak ich zabierają. Codziennie po kilkanaście-kilkadziesiąt osób. Wszyscy myśleli, że wracają na wolność. Przez szkolnego kolegę każe pozdrowić matkę i ukochany Sanok. Podchorąży Peszkowski miał jechać ostatnim transportem. Dzięki temu przeżył.

Zdzisław Peszkowski wraz z Armią Polską gen. Władysława Andersa opuścił Rosję. Dalsza droga prowadziła szlakiem 2. Korpusu Polskiego przez Palestynę, Egipt, Irak, nawet Indie. Tułaczy los. Po demobilizacji pozostał w Wielkiej Brytanii. To tam podjął ostateczną decyzję o wyborze stanu kapłańskiego. Był rok 1950. W swoich wspomnieniach wiele lat później ks. prałat napisze: „Tak widocznie chciał Pan. Domine, Fiat Voluntas Tua". Na studia wybrał Seminarium Polskie w stanie Michigan w Stanach Zjednoczonych. 5 czerwca 1954 r. w katedrze w Detroit Zdzisław Peszkowski przyjął święcenia kapłańskie. Następnie w Orchard Lake rozpoczął działalność naukową i dydaktyczną. Swoje studia kontynuował na uniwersytetach amerykańskich oraz w londyńskim Uniwersytecie Polskim, uzyskując tam stopień doktora filozofii. W 1970 r. zostaje wyniesiony do godności prałata, Jego działalność naukowa jest ogromna. Uczestniczy w międzynarodowych zjazdach i konferencjach z dziedziny teologii, pedagogiki, historii i kultury. Zostaje naczelnym kapelanem Związku Harcerstwa Polskiego poza granicami kraju oraz kapelanem Koła i Fundacji byłych żołnierzy 2. Korpusu Polskiego. Przede wszystkim jednak głosi prawdę o sowieckich zbrodniach na Polakach. W 1988 r. pierwszy raz pojechał do Katynia. W roku 1990 na stałe wraca do Polski. Cały czas kontynuuje swoją walkę w imię prawdy o „Golgocie Wschodu". Został kapelanem Rodzin Katyńskich.

W roku 2004, kiedy to przypadało 50-lecie Jego kapłańskiej posługi, ks. Prałat ufundował 50 obrazów z wizerunkiem Matki Boskiej Katyńskiej tulącej do siebie głowę polskiego oficera przestrzeloną od tyłu.

Był to dar dla 50 kościołów, z którymi w ciągu życia był związany. Jeden z nich ofiarował sanockiej farze – swojej rodzinnej parafii. Dostojny Jubilat miał przyjechać i odprawić uroczystą Mszę Św. Dziękczynną. Tak się jednak nie stało. Przeddzień przyszła wiadomość o chorobie ks. prałata (zapalenie płuc) i jego hospitalizacji. Uroczystości jednak się odbyły, ale w mniejszym zakresie, a oprócz podziękowań Dobremu Bogu za tego niezwykłego kapłana, modliliśmy się gorąco o jego zdrowie.

W roku 2004, kiedy to przypadało 50-lecie Jego kapłańskiej posługi, ks. Prałat ufundował 50 obrazów z wizerunkiem Matki Boskiej Katyńskiej.

Do Sanoka ks. prałat przyjechał rok później w 2005 r. na uroczystości 125-lecia szkoły, obecnie I LO, a dawniej Gimnazjum Męskiego im. Królowej Zofii, którego był absolwentem. Wtedy między uroczystościami szkolnymi dla małej grupy osób odbyło się spotkanie z ks. Peszkowskim w Bibliotece Miejskiej im. Grzegorza z Sanoka. Nigdy nie zapomnę tego spotkania: wspomnienia, rozmowy, wspólny śpiew, błogosławieństwo i gorąca prośba księdza, aby nie zapomnieć o Katyniu, gdy on umrze. Zmarł 8 października 2007 r. w Aninie. Wiedząc, że jest już ciężko chory i leży w szpitalu, w drugiej połowie września 2007 roku udało mi się dodzwonić do koncertu życzeń w Radiu Maryja i przekazać Mu od Sanoczan pozdrowienia i obietnicę modlitwy. Czy słyszał? Nie wiem, ale mam nadzieję, że tak.

Ks. Peszkowski nad czaszkami rozstrzelanych w Katyniu

Ks. Prałat Zdzisław Peszkowski pochowany został w Panteonie Wielkich Polaków w warszawskiej Świątyni Opatrzności Bożej obok księdza od małych żuczków i czerwonej biedronki – ks. Jana Twardowskiego.

***

Czego mnie nauczył ten niezwykły kapłan?

Przede wszystkim przebaczania. Jeżeli krzywda jest duża, to nie da się łatwo przebaczyć. I choć boli, trzeba próbować przebaczać. Przebaczanie to proces trwający nieraz latami.

Drugą ważną rzeczą przekazywaną nam przez ks. Peszkowskiego, to nieustanne przypominanie nam o jakże optymistycznej prawdzie wiary zawartej w Credo: wiary w Świętych Obcowanie. Nawet w składanych przez siebie życzeniach to podkreślał.

Ksiądz prałat imponował mi również tym, że w jego wypowiedziach, wywiadach, rozmowach nigdy nie było złośliwości, szorstkości. Ten człowiek wysyłał do ludzi jakieś pozytywne kwanty energii i dobroci powodując, że ludzie się zmieniali. Najlepszym przykładem może być rosyjski prokurator wtedy pułkownik (dzisiaj generał w stanie spoczynku), który współpracował z księdzem Peszkowskim przy ekshumacji w Katyniu przez 2,5 miesiąca. Gazety pisały wówczas, że pułkownik się nawrócił, a podczas odprawianych przez prałata mszach czytał po rosyjsku Ewangelię. (neewsweek. pl, 5 września. 2011 r. „Nawrócony w Katyniu" Igor Miecik).

Wszyscy wierzymy, a zapewnie szczególnie poranione przez lata rodziny katyńskie, teraz też i smoleńskie, że życzliwy za życia ks. Peszkowski jest ich orędownikiem przed Dobrym Bogiem w niebie.

Rada Miasta Sanoka w 1995 r. nadała ks. prałatowi tytuł Honorowego Obywatela Królewskiego Wolnego Miasta Sanoka w uznaniu zasług oddanych dla upamiętnienia osób pomordowanych na Wschodzie i ukazania prawdy o zbrodni katyńskiej.

Z tej okazji ks. Prałat powiedział lokalnym „Nowinom": „Tytuł Honorowego Obywatela Miasta Sanoka ma dla mnie ogromną wartość. Moje rodzinne miasto zawsze było dla mnie najpiękniejszym i najcudowniejszym miejscem na świecie, do którego często powracałem myślami, gdy byłem daleko stąd i nie dane mi było tu przyjechać".

Hufiec Sanocki ZHP obrał sobie za patrona ks. druha Zdzisława Peszkowskiego. W jego parafialnym kościele, czyli w sanockiej farze, znajduje się obraz Matki Boskiej Katyńskiej ofiarowany przez ks. prałata oraz tablica pamiątkowa poświęcona temu wybitnemu kapłanowi.

Rada Miasta Sanoka w 1995 r. nadała ks. prałatowi tytuł Honorowego Obywatela Królewskiego Wolnego Miasta Sanoka.

MAŁGORZATA DĄBROWSKA

Ps. Korzystałam z książki ks. Zdzisława Peszkowskiego „Z grodu nad krętym Sanem w szeroki świat" oraz posiadanej jako sanoczanka wiedzy o rodzinie pp. Peszkowskich. Zdjęcia pochodzą również z ww. książki.

Podchorąży Zdzisław Peszkowski przed 1 X 1939 r. Zdjęcie ze zbiorów ks. Zdzisława Peszkowskiego

Ruiny Klasztoru karmelitańskiego w oddalonym o kilka kilometrów od Sanoka Zagórzu

Poczet pszczelarzy sądeckich

Krzysztof Tuleja

Jakże barwne potrafią być ludzkie biografie, dowodzą losy kolejnego bohatera moich pszczelarskich gawęd. Krzysztof Tuleja urodził się 9 listopada 1943 roku w Rzeszowie. Jego ojciec Eugeniusz pochodził z Jasła i pracował w kopalni nafty w Krygu. Natomiast mama, Emilia z domu Szaj, przyjechała na Podkarpacie z Grodziska Wielkopolskiego.

Na krótko rodzina Tulejów wróciła w rodzinne strony Emilii na lata 1945-1950 do Sulechowa. Eugeniusz Tuleja znalazł pracę w Fabryce Win i Wódek w Zielonej Górze. Przez krótki czas piastował także urząd burmistrza Sulechowa. Jednak nie dane było rodzinie Tulejów na dłużej zakotwiczyć na ziemi lubuskiej. W 1949 roku Eugeniusz Tuleja, jako inżynier budownictwa, otrzymuje nakaz pracy (takie były czasy – to uwaga dla młodszych Czytelników) do Nowej Huty, sztandarowej budowli polskiej drogi do socjalizmu. Cóż było robić. Rodzina Tulejów jeszcze raz spakowała manatki i osiadła w Krakowie. A bohater mojego felietonu był już coraz bliżej Nowego Sącza, o którym być może nawet wtedy nie myślał, że niedługo stanie się najważniejszą przystanią jego życia.

***

W 1967 roku Krzysztof Tuleja otrzymuje dyplom Politechniki Krakowskiej Wydziału Budownictwa Lądowego i jako specjalista od budowy dróg i mostów rozpoczyna pracę w Krakowskim Przedsiębiorstwie Robót Drogowych. Inżynier Tuleja spędza w KPRD trzy lata i właśnie wtedy poznaje, jak opowiada, „dziewczynę z Piekła". Mieszkańcy Nowego Sącza wiedzą, gdzie jest nowosądeckie Piekło, więc nie będę się rozwodził na ten temat. I to właśnie „dziewczyna z Piekła", czyli Zofia Bartłomowicz tak zawróciła w głowie Krzysztofowi, że ten, długo się nie namyślając, spakował swój krakowski dobytek i został od 1970 roku sądeczaninem. Już w Nowym Sączu urodziły się dzieci Zofii i Krzysztofowi Tulejom: w 1971 r. Anna, w 1972 r. Ewa i w 1973 r. Andrzej.

Krzysztof Tuleja profesji nie musiał zmieniać, dlatego trafił pod skrzydła Miejskiego Zarządu Dróg i Mostów, bo jako się rzekło, był już doświadczonym inżynierem. Wygląda na to, że klimat Nowego Sącza nadzwyczajnie służył inżynierowi Krzysztofowi. Dzięki, jak twierdzi skromnie, wyjątkowemu zbie-

gowi okoliczności, a nam wypada podkreślić, że także fachowości i zdolnościom organizacyjnym, Krzysztof Tuleja został powołany na stanowisko zastępcy prezydenta miasta Nowy Sącz i piastował tę funkcję w latach 1981-1987 za kadencji prezydentów Bolesława Basińskiego i Zdzisława Pawlusa. W gestii wiceprezydenta Krzysztofa Tulei pozostawały oczywiście sprawy dotyczące gospodarki komunalnej miasta. Po pracy w magistracie Krzysztof Tuleja wrócił do swoich macierzystych instytucji i po 1987 roku pracował w Wojewódzkiej Dyrekcji Dróg Miejskich (ma swój wielki udział w budowie Mostu 700-lecia na Kamienicy, czy alei Piłsudskiego z przejściem tunelowym pod torami kolejowymi do ulicy Nawojowskiej). Po reformie administracyjnej kraju w 1998 roku został zatrudniony w Zarządzie Dróg Wojewódzkich w Krakowie Rejon Dróg Nowy Sącz. Na zasłużoną emeryturę przeszedł w 2008 roku.

No, a gdzie w tym wszystkim są pszczoły? – zapytacie Państwo nie bez racji. No i niech ktoś powie, że przypadek nie rządzi światem, choć ja ten przypadek nazywam przeznaczeniem. Otóż w 1986 roku inż. Krzysztof Tuleja razem ze swoim przyjacielem i sąsiadem Michałem Podgórnym pojechali któregoś dnia do Słopnic k. Limanowej. A tam „panował" na 300. rodzinach pszczelich ś. p. Alojzy Podgórny, wybitny pszczelarz sądecki. I tak sobie panowie usiedli w Słopnicach, a Alojzy Podgórny raczył swoich gości nie tylko opowieściami z pól, lasów i pasiek, ale także własnoręcznie przyrządzoną miodówką. I siedzieli całą noc, jak mówi legenda, i popijali tę miodówkę, a Krzysztof Tuleja z minuty na minutę, z godziny na godzinę stawał się pszczelarzem. Nad ranem dostrzegł na stole rysunki techniczne, wykonane przez syna Alojzego, a przedstawiające zmodernizowany typ ula wielkopolskiego (muszę Wam, Drodzy Czytelnicy, wreszcie napisać artykuł o tych wszystkich typach polskich i niepolskich uli, bo tak, to rozmawiamy jak ślepi o kolorach, ale tymczasem słuchajcie, co było dalej). No i Krzysztof Tuleja poprosił pszczelarza Alojzego Podgórnego, żeby udostępnił mu te projekty. Pszczelarz Alojzy prawdopodobnie aż zapiał z zachwytu, bo nie ma większego honoru dla pszczelarza jak zaszczepić pasiecznego bakcyla obok siebie, rzucić ziarno, które wykiełkuje, pokazać pasję. Krzysztof Tuleja jeszcze zimą tego roku własnoręcznie zbudował 20 uli według projektu udostępnionego przez Alojzego Podgórnego. A potem wiosną, a jakże, pszczelarz Alojzy zasiedlił 10 uli i dalej wszystko potoczyło się jak w tysiącach polskich pasiek, rzemiosło bartne znalazło kolejnego oddanego pasiecznika. Kilkudziesięciopniowa pasieka Krzysztofa Tulei od lat stoi w podsądeckim Paszynie. Możecie jechać i zobaczyć na własne oczy!

I siedzieli całą noc, jak mówi legenda, i popijali tę miodówkę, a Krzysztof Tuleja z minuty na minutę, z godziny na godzinę stawał się pszczelarzem.

***

Krzysztof Tuleja od 1986 roku jest członkiem, najpierw Wojewódzkiego Związku Pszczelarzy w Nowym Sączu, a dzisiaj Karpackiego Związku Pszczelarzy w Nowym Sączu. Od 2003 roku piastuje (już trzecią kadencję) także funkcję prezesa Terenowego Koła Pszczelarzy w Nowym Sączu liczącego 120 osób. Karpacki Związek Pszczelarzy już dawno uhonorował swojego wybitnego członka Złotą Odznaką – to najwyższy honorowy zaszczyt w naszym związku.

Jak widać pszczelarstwo przychodzi czasem znienacka, można by rzec spada jak grom z jasnego nieba, a jak już człowieka opęta, to trzyma wytrwale i nie puszcza. A miodówka Alojzego Podgórnego była przecież tylko symbolicznym rekwizytem, pretekstem, a może podstępem i niezbędnym tłem pod budowę podwalin bartnej misji Krzysztofa Tulei.

Ale gdy przyjdzie mój czas, to zapytam Najwyższego, jak to było naprawdę w tych Słopnicach Roku Pańskiego 1986. Zostać pszczelarzem w jedną noc, to jest rekord nie do pobicia. Czapki z głów!

MACIEJ RYSIEWCZ

„Chata Magóry” – najmłodsze schronisko w Beskidzie Sądeckim

Wędrując wokół Piwnicznej w kierunku granicy słowackiej, przy zielonym szlaku na Eliaszówkę, na zacisznej polanie można ujrzeć dym z komina wydobywający się z uroczej „Chaty Magóry”, najmłodszego schroniska w Beskidzie Sądeckim.

Jej położenie gwarantuje azyl i wyciszenie, jednak z tego powodu też ciężko dostrzec ją ze szlaku. Jest zaznaczona jeszcze na niewielu mapach, a najczęstszą drogą reklamy jest w tym przypadku rekomendacja turystów, którzy ją już odwiedzili. Co kryje się pod nazwą „Chata Magóry” i kto ją prowadzi?

Pierwsze doniesienia o „Chacie Magóry” docierały do środowiska turystów beskidzkich około dwóch lat temu. Prawdziwy początek jej działalności można datować na wrzesień 2011, kiedy to właściciel – Andrzej Nowak – zarejestrował działalność agroturystyczną i rozpoczął reklamowanie swojego gospodarstwa w kręgach turystycznych. Skąd wziął się pomysł na chatę górską, skąd przybył i kim jest jej właściciel, wyjaśnia w rozmowie z wysłannikiem „Sądeczanina”.

Urodził się na Śląsku, a jego pierwszymi wspomnieniami o górach jest wycieczka z rodzicami w Pieniny, gdzie złamał wtedy nogę. W wieku licealnym chodził już na całego po górach i wstąpił do organizacji turystycznych. Wraz z PTTK przemierzył całe Beskidy i poznał Tatry, w których zauważył, że po górach można nie tylko chodzić po szlakach, ale również wspinać się na pionowe skały. Postanowił osobiście zakosztować wspinaczki. W tym celu wstąpił do Klubu Wysokogórskiego Katowice i rozpoczął kurs wspinaczkowy. Tak rozpoczęła się jego przygoda pod znakiem raków i czekana. Zdobywał tatrzańskie, z biegiem czasu także i alpejskie szczyty, wspinał się w Dolomitach, Pirenejach i w Alpach francuskich. Równocześnie interesowały go głębokie jaskinie, które eksplorował z towarzystwem speleologicznym. Na tym gruncie ma pewne osiągnięcia, przeżył też kilka niebezpiecznych sytuacji.

– *Zablokowałem się w ciasnym meandrze, w którym niesienie pomocy było niemożliwe i do dziś nie wiem, jak mi się udało samodzielnie uwolnić z pułapki* – opowiada pan Andrzej.

***

Jak znalazł się w Beskidach? W Beskidy, dokładniej w Gorce, trafił w latach 90. zeszłego stulecia, gdy dowiedział się o od znajomego o istnieniu „pewnej chaty pod Turbaczem gdzie żyje najstarszy hipis”. Tak mówiono o „Metysie”, czyli Romanie Fremim, który osiedlił się na Hali Długiej i od którego nazwano ową chatkę „Metysówką”.

– *Od razu się zaprzyjaźniliśmy* – wspomina „Metysa” nasz rozmówca, który jeździł tam coraz częściej. Poza tym uczestniczył w wysokogórskich wyprawach: – *W mieście spędzałem może dwa weekendy rocznie – na święta.*

W 1999 r. zmarł brat „Metysa”, człowiek również często bywający w Gorcach. Ta informacja dotarła do Andrzeja Nowaka, który wówczas prowadził na Śląsku firmę. Niedługo później w ślad za bratem odszedł także „Metys”.

– *Ktoś mi o tym powiedział* – wspomina – *ale mu nie wierzyłem, mówiłem, że się pomylił, ale pojechałem sprawdzić. Faktycznie, okazało się, że chata stoi prawie pusta, nie ma się nią kto zaopiekować.*

Z weekendowego wyjazdu zrobiły się cztery miesiące, po których pan Andrzej przyjechał do miasta, by zamknąć sprawy firmy i wrócił na Halę Długą, objąć funkcje chatara. Mówi, że z daleka od cywilizacji żył jak w bajce, w zgodzie z naturą, żywiąc się w dużej mierze jej darami. Taki tryb życia był oczywiście ciężki, zdarzało się, że zima odcinała na prawie pół roku dojazd, a dojście ze sklepu zajmowało 6 godzin. Jednak nie żałuje tego czasu i wspomina go bardzo dobrze: – Tam stwierdziłem, że to jest to, czym chcę się kiedyś zajmować, założyć schronisko w górach, by móc się z niego utrzymywać.

W „Metysówce" poznał wiele osób i część z tych przyjaźni przetrwało do dziś: – Nawet teraz moi przyjaciele przyjeżdżają do mnie już z rodzinami.

Gospodarowanie na Hali Długiej zakończył, gdy prawowity właściciel „Metysówki" – Gorczański Park Narodowy – nie przedłużył umowy użyczenia chatki i z dniem 1 stycznia 2006 r. musiał ją opuścić.

– *Zima była ciężka i my w tych śniegach musieliśmy się przeprowadzać* – zapamiętał. Z chaty wywożono rzeczy saniami, bądź na przypiętych do mebli nartach. Pan Andrzej znalazł już wtedy inną możliwość mieszkania w Gorcach, w najstarszej w tej części gór chacie z 1839 roku zwanej Kurnytową Kolibą. Wcześniej była tylko czasem wynajmowana studentom, a pamiętała czasy, kiedy podczas wojny stacjonował tam Józef Kuraś „Ogień" ze swoim oddziałem…

Mieszkał tam przez prawie rok do nieszczęśliwego wypadku, gdy od rozgrzanego komina rozpoczął się pożar. Ogień ugaszono bez większych strat, jednak z zabytkowego domku należało się wynieść. W międzyczasie pan Andrzej mieszkał pod Boguszą, a ostatecznie udało się mu znaleźć stare gospodarstwo na północnych stokach Eliaszówki. Tuż przy granicy słowackiej, ponownie zapuszcza korzenie i powoli spełnia swoje marzenia.

***

„Chata Magóry" dysponuje 30. miejscami noclegowymi na strychu i w dwóch izbach w innym budynku, zwanych „Stajenką" i „Obserwatorium", czyli w pokojach zbiorowych. W budynku głównym, będącym domem Andrzeja Nowaka, jest łazienka z bieżącą, ciepłą wodą oraz prąd i internet. Chata dzięki swojemu niepowtarzalnemu klimatowi jest idealnym miejscem wypoczynku młodzieży licealnej i studentów z całej Polski, a dzięki dogodnej lokalizacji także Słowacji i Czech. To, co niewątpliwie urzeka gości w izbie głównej, jest jej oryginalny wystrój łączący klimat typowej chatki górskiej z nowoczesnymi udogodnieniami. Turysta szukający odpoczynku i intelektualnej rozrywki, może sięgnąć wieczorem po lekturę z imponującej biblioteczki, lub przypomnieć sobie dawne czasy słuchając muzyki z kaset, a na pewno odnajdzie coś dla siebie w bogatej kolekcji. Wielkim zainteresowaniem cieszy się fotel bujany, który wraz z piecem stwarza przytulną atmosferę domu.

Podsumowując: jest tu wszystko co może sprawić radość i relaks strudzonemu wędrowcowi. Pan Andrzej planuje rozbudowę i dalsze inwestycje, z gastronomią włącznie. Gospodarzowi marzą się cykliczne imprezy muzyczne i koncerty plenerowe. Pierwszym z takich wydarzeń ma być mały festiwal bluesowy rozpoczynający się w długi weekend Bożego Ciała. Zapraszamy.

(MZ)

Od mistrzostw do mistrzostw

Hokej w Krynicy przed 81 lat

Kibice i miłośnicy hokeja, oprócz emocji sportowych związanych z odbywającymi się w Krynicy-Zdroju Mistrzostwami Świata w Hokeju na Lodzie Dywizji 1, Grupa B (15-21 kwietnia br.), mieli wyjątkową okazję do obejrzenia unikalnych zdjęć i pamiątek sprzed 80 lat.

Wtedy to Krynica po raz pierwszy była gospodarzem hokejowego turnieju na najwyższym poziomie. Wystawę „Mistrzostwa Świata w Hokeju na Lodzie Krynica 1931 r." przygotowała Biblioteka Publiczna w Krynicy-Zdroju. Ekspozycję można jeszcze oglądać w holu Miejskiego Ośrodka Sportu i Rekreacji (hala lodowa).

Hokejowe Mistrzostwa Świata, a jednocześnie Mistrzostwa Europy, odbyły się w Krynicy w dniach 1-8 lutego 1931 r. z udziałem najlepszych drużyn w tej dyscyplinie na świecie – Kanady, która zdobyła najwyższe trofeum, Czechosłowacji, USA, Austrii, Szwecji i Polski. Imprezę obsługiwało 100 dziennikarzy, co na tamte czasy było dużym osiągnięciem, realizowano transmisje radiowe i po raz pierwszy zawody obsługiwała ekipa filmowa. Zawody rozegrane zostały na „starym", odkrytym stadionie przy ul. Lipowej, który znajdował się na miejscu obecnego kina „Jaworzyna". Powodzenie imprezy zależało od odpowiednich warunków atmosferycznych, które na szczęście dopisały. Krynickie lodowisko, specjalnie na potrzeby mistrzostw, zostało zmodernizowane – zbudowano kryte trybuny oraz zainstalowano sztuczne oświetlenie, które umożliwiało rozgrywanie meczów w godzinach wieczornych. Przewodniczącym Komitetu Organizacyjnego mistrzostw został dr Stanisław Polakiewicz, ówczesny prezes Polskiego Związku Hokeja na Lodzie. W skład Komitetu weszli także: dyrektor Zakładu Zdrojowego inż. Leon Nowotarski, członek zarządu PZHL gen. Stefan Witkowski, inż. Tadeusz Kuchar, Bolesław Biega, mjr Wilhelm Remer, dr Mieczysław Dukiet, red. Henryk Butkiewicz. Organizatorzy i włodarze miasta postarali się, aby z okazji tego wydarzenia uzdrowisko zabłysło pełnym blaskiem. Na ośnieżonych ulicach pojawiły się piękne dekoracje oraz podświetlane rzeźby lodowe. Przed wejściem na lodowisko zamontowano ozdobną bramę. Wystrój zachwycił wszystkich gości oraz mieszkańców Krynicy. Uzdrowisko przez tych kilka zimowych dni znalazło się na ustach całego świata.

Na wystawie, którą przygotowała Biblioteka Publiczna, pokazano zdjęcia drużyn uczestniczących w rozgrywkach, pierwszy stadion hokejowy w Krynicy, sylwetki zawodników i elementy stroju i sprzętu hokejowego, jakiego przed laty używali zawodnicy. Powiększone fotografie grających zawodników, publiczności i oryginalnie udekorowanej Krynicy oddają atmosferę i klimat tej wielkiej międzynarodowej imprezy sportowej. Dzięki angielskojęzycznej wersji opisów i tekstów, ekspozycję mogli obejrzeć także zawodnicy i członkowie ekip drużyn uczestniczących w tegorocznych mistrzostwach.

AGATA JAROSZ

Świat fotografii Alicji Przybyszowskiej

O zapachu starego drewna, fotografowaniu i nie tylko rozmawiamy z Alicją Przybyszowską, autorką kilku wystaw i laureatką wielu konkursów fotograficznych.

Pani najnowszą wystawę fotografii pt. „Drevne Chramy" możemy oglądać w Bardejowie. Proszę powiedzieć o genezie i szczegółach ekspozycji.

– „Drevne Chramy" to tytuł, który nadali Słowacy, a w języku polskim to „Sacrum w kolorze drewna". Wystawa powstawała przez trzy lata. Jest efektem konkursu, który ogłosiła Małopolska Organizacja Turystyczna w Krakowie. Część zdjęć poszła na konkurs i w mniejszym lub większym stopniu została doceniona, a z resztą pasowało coś zrobić.

Samo zamiłowanie do cerkwi i drewna miałam już od dawna. Jako dziecko uwielbiałam zapach starego drewna, skanseny. Oprócz tego, że fotografuję, jestem przewodnikiem i często oprowadzam turystów po okolicznych cerkwiach. Stąd to uwielbienie. Na moich zdjęciach są cerkwie, głównie w stylu łemkowskim, ale jest też kilka kościołów po polskiej i słowackiej stronie. To je jednoczy.

Z jakiego obszaru są te cerkwie?

– Głównie z Beskidu Niskiego i jego odpowiednika po słowackiej stronie. Na wystawie, oprócz samych zdjęć, znalazły się również małe modele tych cerkiewek, specjalnie sprowadzone z muzeum, aby można było zobaczyć, jak to wygląda w rzeczywistości i zestawić to ze sztuką.

Na wernisażu pojawiło się wiele osób, zarówno fotografików, jak i osób zainteresowanych zdjęciami i architekturą sakralną – chociażby ci, dzięki których pomocy finansowej, w ogóle mogłam zorganizować coś takiego, a nawet osoby z Rzeszowa, które o tej wystawie dowiedziały się z internetu, co było dla mnie szalenie miłe.

Cz ta wystawę czy będzie również pokazywana również w Polsce?

– W Bardejovie można ją było obejrzeć do końca marca. Wystawa była też prezentowana w Polsce – w Magurskim Parku Narodowym, a jeżeli chodzi o kolejną wystawę, to trudno mi to jeszcze powiedzieć. Najważniejsze jest miejsce, w którym mogłaby się odbyć, a szczerze mówiąc, nie rozmawiałam jeszcze z galeriami na ten temat. Jeżeli tylko uda mi się znaleźć jakiś obiekt, myślę, że pojawi się ona na Sądecczyźnie.

„Chrevne chramy" to już siódma Pani wystawa, a jak z tematyką?

– Większość moich wystaw dotyczy krajobrazu i architektury, ale zdarzają mi się także portrety. Niektóre wystawy były tematyczne – „Sacrum w kolorze drewna" (poświęcone cerkwiom), „Sądeckie przystanki zadumy" (pokazująca sądeckie kapliczki) i „Polne impresje" na temat polskiego i słowackiego krajobrazu. Inne z kolei miały charakter relacji z podróży na Ukrainę, do Włoch i Wielkiej Brytanii, a jedna była reportażowa.

Jak powstają te zdjęcia – po pracy, w czasie wolnym...

– Raczej w czasie wolnym, w weekendy lub podczas urlopów (jak na Ukrainie, gdzie byliśmy prawie 4 tygodnie). Głównym elementem, decydującym o tym, że w ogóle bierze się do ręki aparat, jest światło. Fotografuję głównie krajobraz i architekturę, więc nie mam ograniczenia, że coś akurat się dzieje i trzeba to uchwycić w tym momencie. Ja muszę czekać na odpowiednie światło. Nie raz się już zdarzało, że do jed-

nej tylko cerkwi przyjeżdżałam kilka razy, w różnych okresach dnia. Na idealne momenty trzeba czasem bardzo długo czekać i niestety zdarzają się one rzadko. Bardzo ważne jest też wypatrzyć jakiś istotny element, dlatego dużo rozmawiam z ludźmi, którzy znają daną cerkiew i pokazują szczegóły, których na pierwszy rzut oka nie widać, o których turysta po prostu nie wie lub do których nie ma wstępu, na przykład za ikonostas. Kiedyś, podczas zwiedzania remontowanego kościoła w Harklowej, mogliśmy zobaczyć z bliska dopiero co odnowiony piękny sufit. W zasadzie każde zdjęcie ma swoją historię.

Głównym elementem, decydującym o tym, że w ogóle bierze się do ręki aparat, jest światło.

Skoro fotografuje Pani już 19 lat, więc na pewno miała Pani do czynienia również z fotografią analogową?

– To też był czas czekania, ale generalnie były to dopiero moje początki, więc eksperymentowanie – nauka sprzętu na Zenicie, gdzie wszystko trzeba było ustawiać manualnie. W zasadzie należę do pokolenia przejściowego, ponieważ niby zaczynałam od fotografii analogowej, ale nigdy nie pracowałam sama w ciemni, bo istniały już ogólnodostępne laboratoria. Efekty tych prac były różne – po odebraniu wywołanych zdjęć czasem była radość, a czasem rozczarowanie. Nigdy nie miało się pewności, co wyjdzie. Przez dość długi czas nie mogłam się przekonać do zdjęć cyfrowych, ale kiedy okazało się, że mam już wiedzę, jak aparat działa i jak to wszystko poustawiać, to odkryłam nowy wymiar fotografii i oczywiście więk-

ALICJA PRZYBYSZOWSKA

Sądeczanka, przewodnik górski, pracownik administracji samorządowej. Członek Krynickiego Towarzystwa Fotograficznego w Krynicy od 2005 roku. Fotografią pasjonuje się od 19 lat, wykonując pierwsze zdjęcia aparatem „Zenit TL". Początkowo były to zdjęcia rodzinne, z czasem rozwinęła tematykę swoich prac na otaczający świat. Fotografuje głównie pejzaż i architekturę, ale nie brak na jej pracach również ludzi i ich spraw. Członek sądeckiego oddziału Stowarzyszenia Civitas Christiana. Laureatka nagrody „Srebrne Jabłko Sądeckie – za zasługi dla Ziemi Sądeckiej" w dziedzinie fotografii. Od 2010 roku wiceprezes Krynickiego Towarzystwa Fotograficznego. Jest laureatką wielu konkursów fotograficznych. Wystawy indywidualne: „Huculszczyzna dziś" (2006), „Przez Zielony Albion" (2008),"Sądeckie Przystanki Zadumy" (2009), „Śladami Świętych" (2009), „Polne Impresje" (2010), „Sacrum w kolorze drewna" (2011).

sze możliwości. Teraz używam Canona 5 D2 i pewnie tak już zostanie

Czy bliscy podzielają Pani zainteresowania fotograficzne, wspomniała Pani, że mąż również jeździ na plenery?

– Wszyscy w jakiś sposób interesujemy się fotografią, choć nie ukrywam, że ja najbardziej. Mąż również należy do Krynickiego Towarzystwa Fotograficznego, ale ma mniej cierpliwości do tego wyczekiwania na odpowiedni moment. Ośmioletni syn Hubert też powoli zaczyna uczyć się tej sztuki i całkiem nieźle mu to już wychodzi.

Proszę powiedzieć coś o Krynickim Towarzystwie Fotograficznym?

– Z tego co wiem, to nie ma takiej grupy w Nowym Sączu i w naszym gronie mamy wielu sądeczan. Towarzystwo to działa już od 35 lat i w zasadzie spotkania te stały się tradycją. Często organizujemy plenery, choć przeważnie we własnym zakresie. Przykładowo: mnie i mężowi udało się w 2005 roku zorganizować coś takiego w Serbii i nie ukrywam, że dla większości członków Towarzystwa była to duża egzotyka i pewnym stresie wiele obaw z uwagi to, że kraj ten nie był jeszcze bezpieczny. Na fotografiach utrwaliliśmy więc także pozostałości po wojnie i to, jak ci ludzie teraz żyją. Ten plener był niezwykły i jednocześnie bardzo udany, a po nim stworzyliśmy wystawę. Koledzy byli w Jordanii, Maroku – wszystko zależy od fantazji i możliwości finansowych.

Rozmawiał JANUSZ BOBREK

WSPIERAJĄ NAS MEDIALNIE: MIESIĘCZNIK „SĄDECZANIN" I PORTAL WWW.SĄDECZANIN.INFO

- „Uzdrowisko Krynica-Żegiestów" S.A.
- Centrum Rekreacji WSB-NLU „OLIMP" w Nowym Sączu;
- Supermarket „Rafa" w Nowym Sączu,
- Bar „Małgorzatka" w Nowym Sączu;
- „UŚMIECH DZIECKA" s. c. Dorota Pierzga, Marta Mikulska w Nowym Sączu;
- Sklep Zielarsko-Medyczny „MELISA" s. c. w Nowym Sączu;
- Zakład Fryzjerski Stanisława Jasińska w Nowym Sączu;
- Salon Cosmetic Ewa Elster w Nowym Sączu;
- Galeria Obrazów oraz Salon Fryzjerski „Rene" w Nowym Sączu;
- Salon Fryzjerski „OLIVIA" Dorota Kosal w Nowym Sączu;
- Gabinet Kosmetyki Estetycznej „LAWENDA" Ewa Żygłowicz w N. Sączu;
- Angielskie ABC/Centrum Korepetycji Joanna Tomyślak w Nowym Sączu;
- „SARA" Fryzjer Damsko-Męski Elżbieta Najduch w Nowym Sączu;
- Muzeum Okręgowe w Nowym Sączu;
- Fryzjer P. P. H. U. „NATALIA" Beata Kania w Nowym Sączu;
- „Multimed Sp. z o. o." w Nowym Sączu;
- Salon Fryzjerski Barbara Pawlik w Nowym Sączu;
- F. H. U. „KRYSZTAŁ" Anna Plata w Nowym Sączu;
- Lecznica Weterynaryjna „SERWIN" Szpital Weterynaryjny w Nowym Sączu;
- Gabinet Kosmetyki Dłoni „LAWENDA" Beata Małgorzata Chrzan w N. Sączu;
- „SYDA" Daniel Truszkowski w Nowym Sączu;
- Firma Handlowo – Usługowa „Kręgielska" w Nowym Sączu;
- Miejski Ośrodek Kultury w Nowym Sączu;
- „Bizart" – biżuteria, Wioletta Olszowska w Nowym Sączu;
- Salon fryzjerski, Anna Pietrzak w Nowym Sączu;
- NZOZ „TWOJE ZDROWIE" Chirurgia Jednego Dnia w Nowym Sączu;
- SPA dla PSA Sylwia Micigolska w Nowym Sączu.
- Salon Fryzjerski „Jola" Jolanta Sikorska w Nowym Sączu;
- Handel Artykułami Przemysłowymi i Spożywczymi – Kwiaty Irena Ptaczek w Nowym Sączu;
- Gabinet Stylizacji Paznokci Edyta Dobosz w Nowym Sączu;
- Studio Zdrowia – Gabinet Rolletic Elżbieta Górecka w Nowym Sączu;
- Salon Fryzjerski „Karin", stylizacja paznokci, wizaż w Nowym Sączu;
- Gabinet stylizacji paznokci i wizażu „Joanna" w Nowym Sączu;
- Salon Fryzjerski „JAROLA" s. c. Aleksandra Hajnosz-Michalik, Aleksandra i Jarosław Wingralek w Nowym Sączu;
- „HABART" Stacja Kontroli Pojazdów w Powroźniku;
- Zakład Fryzjerski Czesława Olszak w Nowym Sączu;
- Centrum Informacji Turystycznej w Nowym Sączu;
- Krynicka Organizacja Turystyczna w Krynicy – Zdroju;
- Salon Fryzjerski „Ewa" Grzegorz Wańczyk w Nowym Sączu;
- Osiedle „Zielony Gaj" (Chełmiec – Gaj);
- Szkoła Podstawowa nr 21 w Nowym Sączu.
- Gabinet Masażu i Neuromobilizacji „FizjoMed" Marta Ryfiak w Nowym Sączu;
- Salon fryzjerski „Revolution", Katarzyna Gargas w Nowym Sączu;
- Gabinet Kosmetyczny Wiesława Wokacz w Nowym Sączu;
- „TB" Tomasz Baliczek z Nowego Sącza;
- Centrum Usług Pielęgniarsko-Opiekuńczych „RÓŻA" Marta Głąbińska;
- FRAMESI BEAUTY CENTER Karol Fedko w Nowym Sączu;
- ART-AN Estetyka Ciała w Nowym Sączu;
- Centrum Kosmetyczne Karolina Zasowska w Nowym Sączu;
- Studio Fryzur i Urody „LAWENDA" Beata Iwańska w Nowym Sączu;
- EDDAR Edyta i Dariusz Wielocha z Królowej Górnej;
- Galeria Fryzur „COSMO" Bożena Ryba w Nowym Sączu;
- „Elite nails" Stylizacja paznokci Katarzyna Giedroń w Nowym Sączu;
- „Mały Robinson" w Nowym Sączu;
- Małopolskie Centrum Kultury „Sokół" w Nowym Sączu;
- Gabinet Kosmetyczny Agnieszka Sołoduszkiewicz w Nowym Sączu;
- Sądeckie Towarzystwo Sportowe w Nowym Sączu;
- Sądecki Uniwersytet Trzeciego Wieku w Nowym Sączu;
- Myjnia Samochodowa F.H.U. Zenon w Nowym Sączu.

FOT. ARCH.

Zasługują na medal

W dniu 11 kwietnia 2012 r. w Nowym Sączu młodzi ludzie podczas tankowania swojego pojazdu na jednej ze stacji benzynowych zwrócili uwagę na dwóch młodych mężczyzn, którzy przyjechali na stację.

Z ich zachowania wyglądało, że są mocno nietrzeźwi. Co więcej – chcieli jeszcze dokupywać alkohol. Młoda para zaniepokojona tym faktem, jak i dalszym przebiegiem wydarzeń, ponieważ mężczyźni wsiedli do samochodu m-ki Fiat Punto i odjechali – postanowiła zadzwonić na policję, a do czasu jej przybycia jechać za podejrzanie zachowującymi się mężczyznami. Kierujący Fiatem dojechał do ul. Górki Zawadzkie, po czym – jak wynika z relacji świadków – mężczyzna siedzący do tej pory na fotelu pasażera, wsiadł za kierownicę. Na miejsce, gdzie dojechali mężczyźni, przybył patrol policji, który wylegitymował dwie osoby w wieku 26 i 31 lat. Obaj sądeczanie znajdowali się w stanie nietrzeźwości, mieli ok. 2 promili alkoholu w wydychanym powietrzu. Pobrano również krew do dalszych badań. Jak się okazało 26-latek kierował Fiatem Punto pomimo orzeczonego zakazu prowadzenia pojazdów mechanicznych. Obaj usłyszą zarzut kierowania w stanie nietrzeźwości. Sprawa nie ujrzałaby światła dziennego, gdyby nie postawa dwójki młodych ludzi. Sytuacja, w której zadecydowali, że muszą zareagować, a nie udawać, że czegoś nie widzą zasługuje na szczególną pochwałę i powinna być przykładem dla innych. Młodzi ludzie jechali za Fiatem Punto, wskazali policji miejsce, gdzie zatrzymali się kierowcy, rozpoznali kierujących oraz złożyli w tej sprawie zeznania. Tak naprawdę dzięki ich postawie i zaangażowaniu zatrzymano dwóch nietrzeźwych kierujących.

Nietrzeźwi kierowcy na naszych drogach są często przyczyną wielu tragicznych zdarzeń drogowych, wzbudza to w naszym społeczeństwie zdecydowany sprzeciw. Dwójka młodych sądeczan zrobiła coś więcej, po prostu zareagowała na zło i przyczyniła się do wyeliminowania z ruchu kolejnego zagrożenia.

ST. SIERŻ. PAWEŁ GRYGIEL
Oficer Prasowy KMP Nowy Sącz

W Straży Granicznej pracę zaczął Mamut...

Straż Graniczna w Nowym Sączu wprowadza właśnie nowoczesny system komputerowy do walki z przestępcami. Jego robocza nazwa to Link/Mamut.

System stworzyli naukowcy z Katedry Informatyki krakowskiej Akademii Górniczo-Hutniczej. Nowoczesny program komputerowy ma być pomocny w walce z przestępcami. Aplikacja Link/Mamut pracuje już w Straży Granicznej w Nowy Sączu, wdraża ją także pilotażowo policja.

– Jest to narzędzie działania analityka-kryminalisty i jest to praca tajna, dlatego niewiele można o niej powiedzieć – wyjaśnia mjr Krzysztof Kowalczyk, rzecznik prasowy Karpackiego Oddziału Straży Granicznej w Nowym Sączu.

Narzędzie przetwarza, zestawia i wizualizuje dane pochodzące z masowych źródeł informacji. Wspiera w ten sposób analityków kryminalnych badających w trakcie śledztwa m.in. billingi i wyciągi bankowe. Po analizie danych program może narysować diagramy zależności i kontaktów, np. pomiędzy członkami grupy przestępczej.

– Analityk, badając przy pomocy programu billingi grupy podejrzewanych osób, stawia hipotezę wraz z wyrysowanym grafem: kto z tych osób należy do grupy, a kto nie, kto pełni funkcję przywódczą, a kto jest „żołnierzem". Program powstawał w ścisłej współpracy z policyjnymi ekspertami – powiedział PAP współtwórca systemu Grzegorz Dobrowolski z Akademii Górniczo-Hutniczej. System jest dostosowany także do pracy innych służb. Niektóre funkcje zostały przygotowane na życzenie Straży Granicznej i pomagają jej np. w śledzeniu aktywności przemytników.

Program został przekazany Komendzie Głównej Policji, obecnie jest wdrażany pilotażowo w województwie małopolskim. Do jego obsługi przeszkolono już kilkudziesięciu funkcjonariuszy. Sądecka policja jeszcze nie dysponuje urządzeniem. **(MC)**

FOT. ARCH.

TŁOCZNIA MAURERA

Producent soków

100% tłoczonych

ze świeżych owoców i warzyw

Wicej informacji na naszych stronach internetowych
www.maurer.com.pl
www.lackieogrody.pl

Zapraszamy na zakupy
w naszym sklepie firmowym

Czynne: pon. – sob. 8.00 – 19.00
niedziela 9.00 – 19.00
przerwa 12.30 – 13.00

Tel. 18 444 64 27 soki@maurer.com.pl
soki@lackieogrody.pl dostawa@maurer.com.pl

NOWY PRODUKT

EKOLOGICZNE WINA
owocowe

EUROPEJSKIE DNI OPEROWE

EUROPEAN OPERA DAYS

11–15 MAJA 2012 NOWY SĄCZ

11 MAJA PIĄTEK

19.00 – Galeria SOKÓŁ
wernisaż wystawy kostiumów operowych ze zbiorów Opery Krakowskiej (Polska). Aranżacja i opieka kostiumologiczna: Bożena Pędziwiatr.
19.30 – Scena plenerowa na dziedzińcu /lub sala multimedialna
Moda na operę czyli piękno na wybiegu - pokaz mody w reżyserii Bożeny Pędziwiatr.

12 MAJA SOBOTA

15.45 – sala im. Barbackiego
Bez paniki. To tylko balet – lekcja baletowa dla młodego melomana, Opera Śląska.
17.00 – sala im. Lipińskiego
Bogdan Pawłowski – *Kot w butach* – interaktywne widowisko baletowe, Opera Śląska.
19.00 - scena plenerowa na dziedzińcu /sala im. Sichrawy/
Giovanni B. Pergolesi – *La Serva Padrona* – opera buffa: Maria Fajtova (sopran), Tomas Kral (baryton) - Czechy, kwartet PRIMA VISTA (Polska). Anton Birula – teorba (Polska), Monika Raczyńska – klawesyn (Polska).
20.15 - scena plenerowa na dziedzińcu /sala im. Sichrawy/
Giovanni B. Pergolesi – *Livietta et Tracollo*, Krakowska Opera Kameralna.
21.45 – sala im. Lipińskiego
Operowe noce – George Bizet – *Carmen* – retransmisja z Royal Opera House Covent Garden w Londynie.

13 MAJA NIEDZIELA

15.45 – sala im. Sichrawy
Wprowadzenie do opery *Madame Butterfly*, Stefan Münch – słowo, Jolanta Skorek-Münch – fortepian.
17.00 – sala im. Lipińskiego
Giacomo Puccini – *Madame Butterfly* – spektakl operowy, Państwowy Teatr w Koszycach (Słowacja).
22.00 – sala im. Lipińskiego
Operowe noce – *Tribute to Pavarotti* – retransmisja koncertu poświęconemu Luciano Pavarottiemu z Petry w Jordanii, z udziałem m.in.: Angeli Gheorghiu, José Carrerasa, Plácido Domingo, Andrei Boccelliego oraz Zucchero i Stinga.

14 MAJA PONIEDZIAŁEK

17.00 – sala im. Lipińskiego
Giselle - retransmisja spektaklu baletowego w technologii 3D dla rodziców i dzieci, Teatr Maryjski w Petersburgu.
20.00 – sala im. Lipińskiego
Operowe noce – Gaetano Donizetti – *Lucrezia Borgia* – retransmisja spektaklu w technologii 3D z English National Opera w Londynie.

15 MAJA WTOREK

19.30 – sala im. Lipińskiego
Sergiusz Prokofiew – *Romeo i Julia* – bezpośrednia transmisja spektaklu baletowego z Opera National de Paris.

SOKÓŁ

Na wszystkie wydarzenia wstęp wolny. Na spektakle i projekcje filmowe realizowane w sali im. Lipińskiego, lekcje baletowe oraz wprowadzenie do opery Madame Butterfly wstęp na podstawie bezpłatnych wejściówek które można odebrać w kasie MCK SOKÓŁ, ul. Długosza 3, począwszy od 25 kwietnia do wyczerpania wolnych miejsc. Szczegóły: www.mcksokol.pl, www.operaslaska.pl

PROGRAM REGIONALNY
NARODOWA STRATEGIA SPÓJNOŚCI

Małopolska

UNIA EUROPEJSKA
EUROPEJSKI FUNDUSZ ROZWOJU REGIONALNEGO

Projekt współfinansowany przez Unię Europejską w ramach Małopolskiego Regionalnego Programu Operacyjnego na lata 2007–2013

Fundusze Europejskie dla Małopolski